





Egz. archiwalny IBL

# Z ŻYCIA ŻYDOWSKIEGO.

---

## POWIASTKI.

### I.

Zwichnięta Karjera. — Świekra i Synowa. —  
Nawróceni.

---

(Odbitka z „Izraelity“.)

---

**WARSZAWA.**

Druk Wł. Dębskiego. — Senatorska 20.

**1880.**

**INSTYTUT**

**BADAŃ LITERACKICH PAN**

**IBL BIBLIOTEKA**

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72

Tel. 26-68-63



ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.  
Варшава 7 Июля 1879 года.

22.710

# ZWICHNIĘTA KARJERA.



# ZWICHNIĘTA KARJERA.

## I.

Ilekróć w godzinach przedpołudniowych przechodzę koło gmachu bankowego i spoglądam na czarną, ruchomą masę moich współwierców długokapotowych, zalegających passaż podkolumnowy i skwer przeciwnie — nie mogę się obronić smutnemu uczuciu. Ci ludzie, obskakujący każdego przechodnia pytając, czy nie potrzebuje czego *weksłować*, wydzierający sobie wzajem, wśród waśni, każdego interessanta, u którego na wymianie podartego rubla lub kuponu mogą parę groszy zarobić — ci ludzie, są to po największej części ojcowie rodzin, szukający zarobku na chleb powszedni dla swoich. Wychowani dawnym zwyczajem bez znajomości jakiegokolwiek praktycznego fachu, młodo ożenieni, w niedługim czasie ujrzeni się ojcami licznego rodzeństwa, bez sposobu jego wyżywienia. Szczupły posąg wzięty za żonę, dawno na różnych spekulacjach postradali; potem się jeli tego i owego, a gdy w niczem się nie wiodło, nie pozostało, jak tylko wyjść, jak to mówią „przed bank” i wekslarstwem się zająć. Znajdziesz tu i tak zwanych dyskonterów, którzy z za-

łożonemi w tył rękoma, świadomi swej finansowej wyższości, przyjmują tu od usługowych i prowizjożądnych pośredników—oferty w wekslach kupieckich do dyskontowania, na 2 i 3% miesięcznie. Znajdziesz wśród tych ostatnich i młodych, wymuskanych fanaberjów, z angielskimi cylindrami na głowie, z błyszczącymi od szuwaksu butami na nogach, z eleganckimi laseczkami o rękojeściach ze słoniowej kości w rękę, lub w ustach, paważnie i dumnie przechadzających się wśród masy, a wyglądających jakiegoś zyskownego interesiku. Są to zazwyczaj niedawno ożenieni synowie bogatszych rodzin zachowawczych, którzy na „keście” (na stole) u własnych czy żony rodziców, nie mając ni chęci, ni zdolności do czego innego, imają się, przy pomocy otrzymanego posagu, łatwego a intratnego rzemiosła— procentowiczów.

Lecz większa część tej przedbankowej publiki składa się, jak rzekłem, z ludzi biednych, obarczonych rodzinami, którzy w przedpołudniowe godziny przychodzą szukać zarobku u podwoi świątyni Merkurego, a resztę dnia poświęcają wszelkiego rodzaju pośrednictwu, gdzie i jak je wynajdują.

Bez wątpienia i ci ludzie są społeczeństwu potrzebni, i ich zajęcie jest w pewnej mierze użyteczne, gdyż są drobne interesa zamienne, które, w większych zwłaszcza ogniskach handlowych, takiego rodzaju pośredników koniecznie potrzebują. Zresztą, nietylko u nas napotykasz pośredników tej kategorii, ale w każdym wielkim mieście za granicą uwijają się na placach przedgieldowych roje submeklerów, pomocników agentowych, podpomocników, stręczycieli i t. p. — Mimo to wszakże, trudno na widok tych ludzi zalegających plac publiczny, odegnać od siebie bolesne uczucie, a jeśli, czytelniku-izraelito, nie oswojonyś jeszcze z tym widokiem, to patrząc na te gromady długokapotowe stojące przed bankiem, gdy jeszcze w przechodzie kilku z nich naraz cię obskoczy, natarczywie pytając: „Brauchen sie niszt wus zu



wekseln?" (nie potrzebujecie czego zamienić?), pomimowoli srom uczujesz i ból duszę twą ogarnie...

Dni kilka temu, gdym przechodził tamtęmi strony, młody jakiś nieznany przedbankowicz zbliżył się do mnie i tonem nieśmiałym zapytał, już nie w żargonie, ale czystą polszczyzną: „Pan potrzebuje może co wymienić?” Spójrzałem na młodego wekslarza, i pod tem spójrzeniem, on, zawstydzony, oczy spuścił. Było w jego rysach coś niezwykłego, czego w tej klasie ludzi nie zwykło się napotykać wcale; malowała się w nich dziwna jakaś mieszanina wstydu, nieśmiałości i melancholji. Powierzchnością nie wyróżniał się w niczem od reszty chałatowych swych towarzyszy; lecz wyrazem twarzy, mową i ruchami, zdradzał niezwykłego przedgięldowego wekslarza. Przyjrzałem się bliżej tej twarzy, i zdało mi się, że ją znam, że ją kiedyś przy okazji niezwykłej widziałem. Nie mogąc na razie tego sobie przypomnieć, w miejsce odpowiedzi na propozycję wymiany, rzekłem do młodego człowieka: — „Zdajesz mi się pan być znajomym. Nie zechcesz mi wymienić swego nazwiska?” — Rumieniec pokrył przy tych słowach twarz mego wekslarza, i w widocznem zakłopotaniu, ze słowami tylko: „Pan mię zna, i ja pana dobrodzieja znam” — oddalił się i znikł w tłumie.

Zainteresował mię ten żydek. Jakto zwykle bywa przy drobnych, uronionych z pamięci okolicznościach, które gwałtem chcemy sobie na myśl przywołać, gubiłem się przez dzień cały we wspomnieniach, gdzie tego młodego człowieka, i przy jakiej okazji go widziałem. Aż oto, cofając się myślą wstecz, wygrzebałem z pod zaspu minionych wrażeń, chwilę szukaną, i mój młodzian kapotowy stanął żywo przed oczyma mego ducha. Znajomość to z przed lat ośmiu przeszło.

Było to w r. 1867. — Mieszkałem wówczas w dzielnicy najbardziej mymi współwiercami zaludnionej. Pewnego dnia melduje się i wchodzi do mego pokoju

młody żydek, oświadczając nieśmiało, głosem drżącym od wzruszenia, iż ma do mnie wielką prośbę.

Chłopiec mógł mieć lat 18, ubrany był po żydowsku, miał jeszcze loczki przy skroniach, i cała jego powierzchowność zdradzała, że to dziecko naszej braci, hołdującej chasydyzmowi. Twarz miał przyjemną, ujmującą, z czarnych oczu tryskało życie, inteligencja, a w głosie dźwięczało coś rzewnego, błagalnego.

Wskazałem mu krzesło, i on, nieśmiało naprzeciw mnie usiadłszy, wyłuszczył w żargonie prośbę swą. — Rozumie się, iż myśli jego, prosto i naiwnie wypowiedziane, innemi tu oddają słowa:

— „Jestem synem reb Chaima S., którego pan może zna. Mieszkamy wpodłe; a że słyszałem i wiem, że pan wspierasz młodych ludzi, co chcą się kształcić, ośmielam się więc i ja przyjść do pana po radę i pomoc. Ojciec mój, to zagorzały chasyd; wychowywał mnie dotąd po swojemu. Codziennie muszę chodzić do *Sztybel*\*), skakać i dłońmi klaskać przy modlitwie, jak wszyscy tam chasydzi, potem słuchać głupich ich opowiadań o cudach rebege, i za zdrowie jego nawet kielichy wychylać. Resztę czasu poświęcać muszę na uczenie się Talmudu... Obrzydło mi to życie próżniacze i postanowiłem rozbrat z niem wziąć. Chcę czegoś pożytecznego się nauczyć. Wiem, że istnieje żywotniejsza wiedza, niż ta, której się poświęcam, że jest świat piękniejszy i lepszy, niż ten, w którym dotychczas żyję... Oto, do pana, jako *maskila* (oświeconego) i opiekuna tych, co szukają oświaty, udaję się z prośbą o pomoc. Wskaż mi łaskawie drogę i możliwość wydostania się z nieznośnego otoczenia, w którym żyję, bym mógł wyjść na człowieka użytecznego sobie i światu!..”

Zdziwiła mnie niezmiernie ta mowa młodego chasydka. Wiedziałem, że wśród zacofańców są już młodzi ludzie, którzy do czego lepszego wzdychają, ale takiej

\*) Modlitownia i uczelnia chasydów.

świadomości celu i stanowczości w dążeniu do niego, nie spodziewałem się.

— Zkąd ci, mój chłopcze, przyszła ta myśl do głowy? — pytałem zaciekawiony. Kto cię objaśnił, że na zły jesteś drodze, że chasydyzm jest próżniactwem, że istnieje lepszy świat, niż ten, w którym żyjesz?

Chłopiec zarumienił się nieco — milczał przez chwilę; wreszcie, nabrawszy śmiałości, odezwał się:

— „Przyznam się, że lubo lepsze pojęcia kiełkowały już we mnie oddawna, że z ukradkowego czytania nowszych książek hebrajskich przeczuałem już coś lepszego, to jednak sam nie doszedłbym do zupełnego tego uznania, i przy surowej czujności, jaką ojciec nademną rozciąga, wyrósłbym, jak inni moi rówieśnicy, na gorliwego wielbiciela cadyka — gdyby nie pewna znajomość. Oto, gdy byłem jeszcze dzieckiem, mieszkaliśmy w jednym domu z państwem C. Ci mieli synka w tym samym co ja wieku, i córeczkę o rok od nas młodszą. Jako dzieci wspólnieśmy się bawili, choć rodzice nasi do odmiennych zupełnie klas ludzi należeli. O ile mój ojciec jest człowiekiem starej daty i nienawidzi oświatę, o tyle p. C. jest ucywilizowanym i żyje postępowo. Choć więc ojcowie nasi żyli daleko od siebie i prawie się nie znali, my, dzieci, przedstawaliśmy z sobą najlepiej i lubili się wzajem. Tak doszliśmy naszego 9-go roku życia, kiedy rodzice moi z owego domu wyprowadzili się. Od owego czasu nie widziałem więcej moich towarzyszy lat dziecińczych. Dopiero przed paru tygodniami spotykam na ulicy ucznia w mundurze z książkami pod pachą. Poznałem w nim wnet mojego towarzysza zabaw, i z uczuciem radości, jakie spotkanie takie zwykle budzi, zawołałem: Adaś! On na mnie spojrział, i również mię poznawszy, krzyknął: Abramek! — i dopiero witania i wypytywania: Jak się masz? czemu cię tak długo nie było widać? etc. Ja patrzyłem i podziwiałem jego wzrost

piękny, wejrzenie śmiałe, mundur okazały; on z politowaniem i widocznie z niechęcią, zarazem spoglądał na długą mą kapotę, na pejsy przy skroniach, na aksamitną czapkę, którą jako chasyd nosilem, bo sukienna uchodzi za profanację. Snać jednak, wspomnienia miłych lat dziecinnych, kiedyśmy jeden bez drugiego prawie żyć nie mogli, wzięły w nim górę, i po krótkiej na ulicy rozmowie, w której nie przepomniałem zapytać się i o figlarną Brońcę, Adaś, na wpół serjo, na wpół żartem, rzekł do mnie: „Ty chasydzie szkaradny, jakże się nie wstydzisz być takim! Przyjdź - no ty kiedy do mnie — mieszkamy przy ulicy Miodowej w domu N., przerobimy cię już na porządnego chłopca, bo mi żal ciebie, doprawdy..”

W parę dni później, ukradkiem, powiedziawszy ojcu, że idę do Sztybel, udałem się do mieszkania państwa C. Adaś zaprowadził mię do swego pokoiku, gdzie żartując wciąż zemnie i z mego chasydostwa, opowiadał mi czego w szkole się uczy, pokazywał książki przeróżne, mapy, wzory i t. d. Byłem jakby oszołomiony tem wszystkim. Nie przypuszczałem wcale dotąd, by istniała inna jaka na świecie mądrość, prócz tej, jakiej ja się uczyłem; aż oto dowiedziałem się, że są nauki daleko pożyteczniejsze, ciekawsze i bardziej umysł oświecające. I jak kto nagle z ciemności na świat boży wprowadzony łaknie światła i całą piersią je pochłania, tak i ja, oczy swego ducha otworzywszy na jasną krainę wiedzy, pożałowałem tej wiedzy całą siłą mej duszy i postanowiłem jej się oddać..“

Notabene, jak powiedziałem, Abramek nie temi słowy się wyrażał, ale barwnymi i dosadnymi wyrazami ze swojego narzecza silił się trawiącą go żądzą nauki i wstręt do próżniaczego chasydowskiego życia, jak najdobitniej oddać.

— Wstyd i upokorzenie głębokie — ciągnął po chwili dalej — uczulem w obec towarzysza mych lat dziecięcych. On kształcił się w tak pięknych naukach,

przy pomocy światłych nauczycieli, we wspaniałych gimnazjach, a ja trawię swe dni w cuchnącej izdebce, w towarzystwie ciemnych fanatyków, na studjach przedawnionych, które mi nigdy żadnego pożytku nie przyniosą... I gdym tak się oddawał tym myślom, patrząc z tajemną zazdrością na mego przyjaciela, z przyległego salonu doleciały mi cudne dźwięki fortepianu. — „To figlarna twoja Brońcia gra!” — rzekł z uśmiechem Adaś. I za ledwie domówił słów tych, gra umilkła, lekki chód dał się słyszeć, i do pokoiku weszło dziewczę, tak piękne, tak urocze, jakiego nigdy we śnie nawet nie widziałem — prawdziwa królowa. Adaś, nielitościwy Adaś, drwiąc sobie ze mnie wciąż, rzekł śmiejąc się do siostry: — „Patrz-no na tego tu żydziaka, którego ci przyprowadziłem! Poznajesz go?” Ona podniosła na mnie swe czarne, płonące oko, i przypatrując mi się przez parę sekund, zawołała: „To wszak nasz Abramek z ulicy N!” — „On to, w całej swej okazałości” — odparł braciszek, i nuż posłużyłem obogju za cel wesółych drwinek przypominając nasze niegdyś miłe zabawy dziecięce; to mię strofowali, że tak się od nich oddaliłem, to znów szydzili z mego ubioru, z mych pejsów, z mej mowy i niezgrabności... Rumieniłem się i bladłem na przemian pod wpływem tych spójrzeń tych wspomnień, tych żartów i przycinków. Lecz błogo mi było w ich towarzystwie, błogo jak w raj, a gdym nieśmiało podniósł oczy na urocze dziewczę, które srebrzystym swym głosem szczebiotało wesoło o naszym dzieciństwie — serce mi zadrżało z radości, czy z obawy, — uczucia błgiego i niespokojnego zarazem, z którego sam sobie rachunku zdać nie mogłem. I tak pożegnałem moich towarzyszy młodości z mocnem, niezachwianem postanowieniem zrzucenia z siebie obmierzłych łachmanów, by wyjść na porządnego człowieka...”

Szczera ta naiwność młodego chasydka w opowiadaniu wrażeń, pod któremi zwrót ów w nim się

dokonał, niezmiernie mię zainteresowała. Nie był tu obcym wpływ pięknej dziewczyny, i wstyd ze swego zacofania przed nią, i chęć spodobania się jej... Nie to wszakże nie szkodzi — pomyślałem — *Mitoch szelo lizmo bo lizmo* — jak starzy mówili — pomóżmy chłopcu!

— Dobrze, Abrahamku! — rzekłem po chwili. W czem zdołam, dopomogę ci. Chcesz się uczyć — to się da zrobić. Ale co będzie jak ojciec o tem się dowie?

— Będę się w początkach wystrzegał ojca; pragnę przedewszystkiem, aby mi kto dawał wskazówki, jak i czego się mam uczyć, a gdy już będę dostatecznie przygotowany, to nie będę się już wcale ukrywał, i albo tu postaram się wstąpić do gimnazjum, albo też pojedę do Wrocławia i wstąpię do tamecznego seminarjum, czy dokądindziej. Chcę przedewszystkiem coś umieć...

Wystarałem się o dwóch uczniów gimnazjalnych, którzy chętnie podjęli się udzielać młodemu chasydowi lekcji ze szkolnych przedmiotów — bezpłatnie. On, w godzinach w których mógł wymknąć się z pod czujności ojca, uczył się pożądliwie, namiętnie.

Przez czas niejaki przychodził on do mnie zdawać sprawę ze swego postępu i dziękować mi za tyle cenną mu pomoc. Uczniowie udzielający mu lekcje, ile razy ich spotykałem, nie mogli się dosyć nachwalić pojętności chasydzkiego swego elewa, i z wewnętrznem zadowoleniem, jakie każde dobre dzieło do którego się przykładamy w nas budzi, dostrzegłem sam zadziwiające zmiany w mym protegowanym. Ile razy do mnie przychodził, starał się już mówić po polsku, i sam sobie błędy poprawiał, a gdy mówił o naukach, bystremi pytaniami i uwagami prześcigał daleko wiadomości, jakie na lekcjach otrzymywał.

Po kilku atoli miesiącach przestał u mnie bywać, uczniowie którzy go uczyli, dali mi znać, że elew wię-

cej nie przychodzi. Zastanowiło mię to zrazu; lecz w toku zajęć i interesów, niebawem zapomniałem o tym protegowanym.

Aż po ośmiu latach spotkałem go znów jako wekslarza pod kolumnami banku.

I przypomniawszy go sobie, ciekawy już byłem dowiedzieć się o późniejszych jego kolejach, które go aż do zaczepiania przechodniów przedbankowych doprowadziły. Nazajutrz poszedłem już umyślnie przed bank, i odszukawszy w tłumie mego wekslarza, przemówiłem doń po imieniu, i prosiłem, by mię odwiedził i przygody swe w ciągu ubiegłych lat 8-iu opowiedział.

Przyszedł, i to, co mi na swój sposób opowiedział, postaram się tu czytelnikom moim w właściwszej podać formie.

## 2.

Reb Chaim *Szochet* należał w świecie chasydowskim warszawskim do owej małej liczby wybranych, którzy w tłumie pobożnych pątników, przybywających na święta do G., by oglądać świątobliwe oblicze cadykowe, odznaczani bywają pierwsi przywitaniem rebego: *Szałem Alechem!* Nie był to człowiek bogaty; prowadził handel skór przy ulicy F., i nieźle mu się wiodło, dzięki pracy i zabiegliwości żony jego, Fradli, która sama cały interes prowadziła, siedząc od rana do wieczora w sklepie. On sam bowiem był zbyt zajęty pobożnymi praktykami: rano przygotowywaniem się do modlitwy, potem nabożeństwem w Sztybel, następnie odczytywaniem kilku kart z ksiąg świętych, wieczorem znów modleniem się i gawędzeniem z przyjaciółmi o wykładach Tory i cudach rebego, — by miał jeszcze czas do zajmowania się świeckimi sprawami. Od czego, proszę was, kobieta, jeżeli nie do zaopatrywania domu we wszelkie potrzeby, by mąż mógł swobodnie Bogu służyć?... Owóż, bogatym nie był reb Chaim, ale miał dosyć, by z „dobrym bratem” wstąpić codzień do Maliniaka na szklanę wina, na szabas zaprosić

gościa do siebie, i zostającemu w biedzie towarzyszowi w cadyku z pieniężną nawet przybiedz pomocą. To też sława reb Chaima jako chasyda, daleko i szeroko słynęła — i sława ta była zasłużoną. Odznaczał się tyle żarliwą czcią dla cadyka, wiarą w mistyczne jego nauki, zapalem pobożnym w modleniu się, w braniu oczyszczających kąpeli (mikwos) i t. d., ile fanatycznym wstrętem dla tych, co nie należeli do sług rebego, i nienawiścią dla oświecenia (Aufklärung) w ogóle. Usta jego pod zawieszonymi wąsami ściągały się pogardliwe, ilekroć była mowa o t. z. „snopach” (żydach-konserwatystach, nie-chasydach), a szeroka bujna broda irzęsała się z gniewu, z ciemnych oczu przysłoniętych gęstymi brwiami, błyskawice padały, gdy w jego obecności mówiono o t. z. „niemcach” (żydach postępowych). — „*Maharsym, jemach szemom!*” (Burzyciele przekleci)—były słowa, jakie usta jego wtedy szeptały. Kpił on ze świata i ze wszystkich spraw jego. — „Co oni tam wiedzą? — mawiał zwykle, gdy szła rzecz o t. z. ukształconych — co znaczy cała ich mądrość, cóż się mieści w ich księgach? — Głupstwa, *szmadsztyk*, brak wszelkiej bojaźni bożej, wszelkiego jarzma królestwa bożego!.. W jednej literce świętej Tory, w najbliższym słówku, jakie *on*, niech żyje (rebe), ze świętobliwych ust swych wypuszcza, mieści się nieskończenie więcej mądrości, niż we wszystkich ich księgach razem wziętych... A widać to wszak po życiu, jakie prowadzą. Cóż, rozpusta, zezwierzęcenie, znieważanie najświętszych przykazań bożych, publiczne palenie cygar w sobotę, *chucpa*, swywola, brak wszelkiego wędzidla religijnego — oto, co cechuje ich życie i postępowanie. Zaprawdę, świat istnieje dla cadyków — oni są jego duszą, jego filarem, tylko dla ich *zechus* (zasług) on istnieje”...!

Tak żył i tak myślał reb Chaim Szochet, pierwszy z pierwszych chasydów w Warszawie.

Państwo Szochet mieli jednego tylko potomka, i to



wyżebrzonego z łaski cudotwórczego męża. Gdy bowiem w lat 10 po weselu — on liczył pod *chupą* 15-tą, ona 14-tą wiosnę życia—Fradla nie została jeszcze pobłogosławiona, rodzice młodej pary, również prawowierni chasydzi, wyprawili młodą bezpłodną do Cadyka w G., i dzięki jego błogosławieństwu i wstawieniu się, w rok potem Fradla powiła syna, któremu na wspaniałem *brysie*, (\*) wyprawionem u jej rodziców, gdzie młode stadło jeszcze na „keście“ zostawało — nadano patriarchalne imię „Abraham“. Od tego czasu, kiedy widoczny cud ten się stał, datuje owa osobliwa cześć i uwielbienie reb Chaima dla Cadyka w G.

Nie dziwnego, że Abramek był okiem w głowie u matki, a pociechą i nadzieją jedyną ojca. W pierwszych jego latach dziecięcych, rodzice nie znali granic w pieczętotach dla jedynaczka. Karmili go ptasiem mlekiem, ubierali w najkosztowniejsze ubrania, w których się jednak walał w najlepsze na podwórzu, bez żadnego nad sobą nadzoru — bo pięćć dziecko a czuwać nad niem, wychowywać je, są to u prawowiernych żydów dwie rzeczy odrębne, które nie z sobą łącznego nie mają. Abramek bawił się na podwórzu z dziećmi mieszkających tam państwa C., i wtedy to wywiązała się między dziatwą owa zażyłość, którą przypadkowe spotkanie później, jak widzieliśmy, wznowiło. Abramek bardzo wczesnie zaczął uczęszczać do uprzywilejowanego chederu, gdzie kilkanaście dzieci czystej krwi chasydowskiej początkowe nauki hebrajskie pobierało,—chasyd nie posyła nawet dzieci swych do szkół, gdzie *misnagdy* dziatwę swą kształcą. — W siódmym roku życia, czytając już po hebrajsku, i kilku rozdziałów tygodniowych Pięcioksięgu z komentarzem *Raszi* się nauczywszy, przeszedł na naukę Talmudu, do debatów głębokich nad kwestjami małżeńskimi i t. p., a to pod kierunkiem specjalnego

---

(\*) Uezta po akcie przyjęcia do przymierza.

melamda, sprowadzonego na ten cel z prowincji przez kilka rodzin. Jednocześnie reb Chaim uznał syna za dojrzałego już do życia chasydzkiego—wprowadził go do szybel, i w niedługim czasie po tym pierwszym występie, pacholę nauczyło się już biegać, skakać i w ręce klaskać podczas modlitwy—przy okazji szczególnych wiwatów i w kieliszek zajrzeć, przemawiać do starszych przez „ty“, uczestniczyć w ich rozmowach o rebem i jego cudach, słowem—urabiał się powoli na przyzwoitego chasyda, jak na prawego syna reb Chaima przystało.

Fradla aż rosła z radości, patrząc na ten wczesny rozkwit swego jedynaka. Ktoż był jej równym, gdy w sabat, mąż, obwinieły pod chałatem w *talis*, (\*) ze *sztrajmel* (\*\*) na głowie, wrócił ze szybel, mając przy boku syna w takimże samym stroju, z wdzięcznie skręconemi loczkami u skroni, jaśniejącego jak jutrznia wschodząca obok rozpromienionego słońca pobożności! Serce jej rozplywało się z błogości, gdy *Wromele* (Abramek) opowiadał przy stole o nowym jakim w szybel usłyszanym wielkim czynie rebego.

— Żebyś mi sto lat żył! — mawiała wtedy uszczęśliwiona matka, garnąc na talerz syna najpiękniejsze kawałki ryb i innych szabasowych przysmaków.

Cóż dopiero, gdy Abramek, skończywszy lat 13, stał się *bar-micwa*, i ojciec po raz pierwszy wziął go ze sobą na wyświęcające błogosławieństwo do cadyka w G., gdzie passowany został na rzeczywistego chasyda! Trzeba było w następną sobotę być u reb Chaima na *lekich i bronfen* (piernik i wódkę) z tej okazji dane, by się naocznie przekonać, że nie tylko matki starej Grecji umierały z radości na widok uwieńczonych swych synów, ale i rodzicielki chasydowskie umieją to szczęście niebiańskie odczuwać, na widok swoich wyświęconych odrośli.

Aby z przeszłości naszego bohatera niczego nie

(\*) Płaszcz modlitewny.

(\*\*) Czapka futrzana, w sobotę tylko i święta noszona.

pominać, napomknę jeszcze, że zaraz owej soboty dawały się słyszeć wśród podochoconych gości propozycje małżeńskie dla 13-to letniego solenizanta. Jakoż, w następne dni „szadcheny“ (swaci) zaczęli serjo pukać do serc rodziców, proponując świetne partje z wnukami cadyków, gdzie posagu siła i matuzelowe lata „kestu”. Lecz reb Chaim, snąc dla tajnych widoków świetniejszego nierównie związku—z córką samego rebe może, wymijające dawał swatom odpowiedzi. Trzeba bowiem na pochwałę pobożności naszych chasydów powiedzieć, iż o zapewnienie losu dzieciom swoim, o ich szczęście przyszłe, mało się troszcza. Odnosi się to zarówno do partji małżeńskich, gdzie głównie baczy się na *Ichus* \*), jak i do wychowania. Uczyć dzieci czego praktycznego, coby im później w życiu przydać się mogło, starać się im los zapewnić—mogą tylko ci, co nie mają dostatecznego *bitochon* (zaufania w opatrzności bożej). On (Bóg) dopomoże! — oto hasło tych pobożnych mężów, które ich zwalnia od niepotrzebnych trosk i kłopotów około własnej przyszłości, a tym bardziej dzieci. Maksyma: „Radź sobie, a Bóg ci dopomoże!” — nie stoi w ich słowniku.

Minęły cztery lata. Abramek z chłopięcia wyrósł na młodziana. Szczęśliwi rodzice z dumą patrzyli na okazałego swego jedynaka, używającego już sławy niepospolitego talmudysty i chasyda, mającego kiedyś sławę przynieść cadykowemu imieniu. Aż oto niebo ich marzeń i nadziei nagle się zachmurzyło...

Pewnego dnia, długi Icyk, zelota, prawdziwy cerber sztybłowy, przystępuje wieczorem, po nabożeństwie, do reb Chaima, i ze zwykłą zuchwałą zażyłością rzecze doń:

— Słuchaj-no ty, dawaj pilniejszą bacność na swego synala! Niepodoba mi się on od pewnego czasu.

— Cóż to takiego?—zapytał zlekniiony ojciec.

— Cóż takiego?... Powiadam ci, że *szmadsztyki* chodzą mu już po głowie. Wystaw sobie: od paru ty-

\*) Pochodzenie.

godni, ile razy przychodzi do Sztybel, zamiast wziąć sefer (książkę) i uczyć się, gromadzi koło siebie młodzików, i prawi im o *melicach* (poezjach), o *sypurym* (powieściach) jakiegoś tam Mappu, o *Haskule* (oświacie) i tym podobnych bałamuctwach i zgorszeniach, które są dla nas zakałą. Strofowałem go nieraz za to, ale on odpowiada mi hardo: „Icyku, to nie twoja rzecz, ucz ty tam swoich przy kieliszku, a mnie daj spokój ze swemi morałami!” Dziś przyszedł on znów i usiadł w kącie pod arką, jakby się z czemś ukrywał, wyjął z kieszeni papier jakiś i zaczął czytać. Tak zaś był zatopiony w czytaniu, że nie widział nawet, jak ja powoli się zbliżam i patrzę, że czyta— „Hamelitz” gazetę jakąś, jak mi powiedziano, przez odeskich epikurejczyków wydawaną... Wyobraź sobie mój gniew, moje oburzenie! On, syn Chaima, czyta takie rzeczy, i gdzie?—w Sztybel, obok arki świętej! Chciałem wyrwać mu *trefposel*\*) i wypoliczkować go. Ale wstrzymałem się, bałem się, co prawda, żeby mi nie oddał dziesięć za jedno; ale powiedziałem mu, że doniosę o tem ojcu, i oto masz—i raz jeszcze mówię ci: czuwaj nad synalem, bo wyjdzie on *letarbus rooh!* (na ohydę i zgorszenie).

Reb Chaim słuchał zdumiony i gęste brwi marszczył. O jego synu, o jego *Wromele* donoszą mu takie rzeczy!.. Robak zaczął toczyć jego ojcowsko-chasydowskie wnętrze... Milczał, i tryumfujący Icyk poszedł uraczyć się za czyn zasłużony, jaki popełnił—kieliszkiem.

Wróciwszy do domu, reb Chaim zastał żonę zajętą przygotowywaniem wieczery. Zachmurzoną usiadł, nie mówiąc ani słowa; dopiero gdy żona zapytała go o przyczynę tej posepności, zaczął:

— Piękne rzeczy słyszę o naszym *iिंगele* (chłopcu). Kieruje się na *maskila*, na bezbożnika, *jemach szemom!* Wystaw sobie—czytuje w sztybel jakieś gazety epikurejskie—*trefposły!*...

\*) Książka niemoralnej treści.

— Ktoż ci to powiedział?—zapytała matka złężniona.

— Kto mi powiedział? Eliasz prorok, ptak z powietrza przyniósł mi tę *bsyre!* (wieść radosną). Powiadam ci, że tak jest i koniec...

Ukąszenie zjadliwe żmij, nie sprawiłoby Fradli większego bólu, niż ta wieść straszna o jej jedynaku, o jej Wromele.

— *Barwonosenu harabin* (dla wielkich grzechów naszych),—szepnęła z głębokiem westchnieniem Fradla.—Zkąd się to dziecku dostało?

Wtem nadszedł Abramek. U chasydów dzieci nie witają rodziców, gdy się z nimi schodzą — to zwyczaj nowo modny, u goimów tylko i „niemców” praktykowany. Lecz spostrzegł syn wnet na brwiach ojca zawisłą burzę, i pełne wyrzutu i boleści łzawe wejście matki; usiadł i niedługo czekał na wybuch nawałnicy.

— Pocięchę wielką mam z ciebie—zaczął ojciec—przyłączyła się do ciebie *kliða* (zły duch). Kto to słyszał: *chusen* (kawaler, któremu partję swatają), zamiast uczyć się i być „żydem ucziwym,” czytuje szmatsztyki w Sztybel, bezbożności!..

Abramkowi przy tych słowach stanęło na myśli jego zajście z długim Icykiem, i walka sroga w nim zawrzała. Zapłonął i on gniewem, bo dusza jego już była zarażona miłością dla oświaty, już *kliða*, jak ojciec się wyraził, uczepiła się wszystkimi pazurami jego rozumu. W takich przejściach ognistsze dusze młodzieńcze rzadko kiedy oprzeć się mogą nawałowi ogarniających je uczuć i pragnień. Chciał on wzajem wybuchnąć potokiem skarg na ciemnotę, w której go dotychczas chowano, lawą żaru dla lepszej wiedzy, którą przeczuwa, której przedsmak już skosztował. Lecz pohamował się—rozważa wzięła w nim górę, i nie bez uniesienia odrzekł:

— Powiedział ci to zapewne długi Icyk?— (dzieci

chasydowskie nie przemawiają do rodziców inaczej jak przez *ty* — panuje u nich równość rodzinna i towarzyska jak najzupełniejsza) — Czarny sen na jego głowę! Dał mi Josel Michels do przeczytania gazetę „Hamelitz,” gdzie znajduje się wyborne wyjaśnienie pewnego ciemnego ustępu w Talmudzie; usiadłem na chwilę i czytałem, i ten pijak robi z tego wnet wielkie rzeczy!.. Oto ta gazeta, obacz sam, co tu napisano, i powiedz, czy co złego zrobiłem to czytając. — Przy tych słowach Abramek wyjął z kieszeni Numer „Hamelitzu” i położył przed ojcem.

Dla reb Chaima były to słowa na wiatr puszczone; owszem, przyznanie się syna do czytania epikurejskiego pisma, bardziej go jeszcze rozjątrzyło. Nie chcąc wszakże doprowadzić waśni do ostateczności, do skandalu, porwał wyklęte pismo, zmietosił je (drząc zadrukowanego po hebrajsku papieru, choćby największe zawierał bluźnierstwa — nie wolno), i rzucił w kąć.

— Żeby mi więcej tego nie było — słyszysz! — krzyczał na głos, — żebym więcej nie miał od ciebie tego zmartwienia i wstydu!..

Na tem zakończyła się pierwsza scena w dramacie wyłamania się młodego chasyda z pod więzów ciemnoty, jakie wychowanie nań włożyły.

Od tego zaś czasu datuje czujniejsza już bacność reb Chaima nad swym jedynakiem. Pilniej prowadzi go do sztybel, i czujniej śledzi jego postępowanie w domu i za domem.

Odtąd i nasz bohater miał się więcej na ostrożności. Nie czytywał już w sztybel „Hamelitzu” i nie rozmawiał z nikiem o „melicach” i t. p.; za to częściej bywał u swego kolegi chederowego, Josła Michla, który, syn mniej zagorzałych rodziców, więcej nierównie używał swobody. Ojciec jego był to jeden z owych kameleonowej natury ludzi, co to wedle potrzeby zmieniają barwę swych przekonań, w gruncie żadnych nie mając. Chasyd z chasydami, modlący się w soboty

i święta w sztybel, oddający nawet od czasu do czasu hołdownicze wizyty cadykowi, umizgał się jednocześnie i do postępowego świata. Nosił się już nawpół po europejsku, w mowie i obejściu starał się być skończonym światowcem; obcował często, już dla interesu, już z nawyknięcia, w towarzystwie „niemców”, z którymi razem dowcipkował, a nawet śmiał się szczerze, ilekroć o rebem drwiące opowiadano dykteryjki, — była to postać janusowa, mająca jedną twarz obróconą ku jasnej sferze cywilizacji, a drugą — ku mrocznej dziedzinie mistycyzmu. Ta dwulicowość, tak często dziś między naszymi współwiercami tej kategorii napotykana, i tak trudna na pozór do wytlómaczenia, znajduje swą rację w prostej zręczności życiowej, umiejącej przybrać charakter dany w miarę potrzeby i wymagania interesu — obok wewnętrznej, duchowej czezości... Co zaś prawdziwie dodatniego w ludziach tych się mieści, to poczucie konieczności lepszego już wychowania dzieci; pod tym bowiem względem zafananej połowie swej roli jawny już kłam zadają. Takich hermafrodytów w łonie sekciarstwa posiadamy już mnóstwo w Warszawie, i oni to stanowią owo istotnie przechodnie pokolenie, stojące na rozdrożu między starem a nowem, gdyż ich dzieci, właśnie dla owej dwoistości w wychowaniu — dwoistości, będącej nie harmonijnie obmyśloną całością, lecz chaosem ze sprzecznych, wzajem wyłączających się żywiołów złożonym — wychodzą najczęściej na ultra-postępowców i liberałów. Do tej klasy ludzi należał i ojciec przyjaciela naszego Abramka, który w najlepszej żyjąc harmonii ze światem chasydowskim, ba, nawet za autorytet „mądrości” tu uchodząc, nie wahał się jednak córki swej na pensję posyłać, a dla syna, obok melamda do Talmudu, trzymać nauczyciela przychodniego do wykładu języków i innych świeckich przedmiotów.

Do tegoż to syna chasyda-progresisty, zaprzyjżnionego z nim od czasów chederowych, nasz Abramek

częściej przychodził, szukając tu owej swobody duchowej, jaką gdzieindziej miał sobie srodze zakazaną. Młodzi ludzie razem czytywali nowe i stare dzieła hebrajskie treści poetycznej, lub filozoficzno-krytycznej, czasopisma i. t. p., zwierali się wzajem ze wstępu, jaki czują do chasydowskiego życia, z pragnienia dla lepszej wiedzy, w ponętniejszem otoczeniu.

Trwało to tak kilka miesięcy. Abramek w domu i w modlitewni nie zdradzał niczem zmiany, jaka w nim się dokonywała — starał się okazywać pobożnym jak zwykle; tem swobodniej za to oddychał w towarzystwie swego przyjaciela, którego codzień prawie odwiedzał, i który, w porównaniu do niego istny już uczony, coraz głębiej wpał weń odrazę dla nieuctwa i zapal dla oświaty. Aż oto pewnego dnia miało miejsce spotkanie naszego bohatera z towarzyszem jego lat dziecińczych, Adasiem C., i następne u tegoż odwiedziny, o których na początku opowiedziałem. Na grunt dostatecznie już przysposobiony, padł niespodzianie siew zapładniający, który w bujny miał się rozrość kłos — przykład towarzysza lat dziecięcych, upokarzające jego strofunki i wyszydające zachęty. Czar pięknej dziewczyny, tej, z którą nigdy na podwórku się bawił, i która teraz stała przed nim w całym majestacie olśniewającego piękna — jej koleżeńska z nim poufałość, jej drwiny z jego stroju, z jego nieuctwa — dokonały reszty...

Abramek wrócił od państwa C. do domu, rozmarzony, zamysłony, pełen żalu na los swój i otoczenie. Szczęściem, reb Chaim siedział zatopiony w czytaniu jakiejś księgi świętej, a Fradla jeszcze nie była wróciła ze sklepu, — inaczej bowiem, gdyby go ojciec czy matka zagabali w tej chwili jakimś wyrzutem, wybuchłby on niewątpliwie, i Bóg wie do czego by przyszło.

Nazajutrz - to owego pamiętnego dnia w życiu Abramka, odwiedził on mnie, z prośbą o udzielenie mu



pomocy dla wydostania się z chasydowskiej sfery. Jak już opowiedziałem, wystarałem się dlań o bezpłatne lekcje u kilku uczniów, i Abramek uczył się zapamiętane, chciwie; z dniem każdym czynił postępy i przychodził często zdawać mi z nich sprawę.

Do niegdyś swych towarzyszy—Adasia i Brońci C., nie przychodził on więcej. Jak ongi pierwsza para człowiecza w raju, skosztowawszy z zakazanego drzewa wiedzy poczuła srom swej nagości — tak i nasz bohater, im bliżej poznawał naukę, tym boleśniej uczuwał dotychczasowe swe nieuctwo, tym bardziej się wstydził zejść się znów z wyprzedzającymi go tak daleko przyjaciółmi. — „Zobaczą ich, staną przed nimi znów — mawiał sobie — gdy nie będę już miał czego przed nimi się wstydzić, gdy zrzucę z siebie te łachmany i wyjdę na człowieka ukształconego. Wtedy, o, wtedy...”

Uczył się więc Abramek z całym zapalem łaknącej światła duszy. Co dzień pobierał lekcje u uczniów, u których godziny całe przepędzał, a gdy przed przyjacielem swym Joslem Michlem nic nie miał ukrytego, i ten wiedział o wszystkim—u niego więc przepędzał resztę dnia na powtarzaniu lekcji i czytaniu. Do Sztybel, prócz na ranne nabożeństwo wraz z ojcem, przez dzień cały ani już zaglądał. W domu, w obec rodziców, starał się niczem nie zdradzać. Kochał on ojca i matkę szczerze, i im większa otchłań duchowa między nimi się wykopywała, im bardziej zatracala się w jego duszy cześć dla świętości, do których ubóstwiania oni go zaprawili, tym staranniej ukrywał przed nimi przewrót jakiemu uległ, — czuł on, jaką boleść odkrycie to by im sprawiło, i póki mógł, pragnął im tej boleści zaoszczędzić. Ojciec, zatopiony cały w mistycyzmie, mało zwracał uwagi na syna, w którym zresztą, prócz owego zajścia z powodu lektury „Hamelitz” — zajścia zbyt mało w gruncie znaczącego, by nie miało być wkrótce w niepamięć puszczo-

nem — nie miał powodu przypuszczać jakich zbroczeń z prawego chasydzkiego toru. Fradla znów, zajęta cały dzień w sklepie, ani mogła, ani przyzwyczajoną była śledzić, gdzie syn całymi dniami przebywa; dla niej dosyć było widzieć go rano wychodzącego z ojcem na nabożeństwo, a wieczorem przy stole rodzinnym, gdzie rozmawiano o bieżących dnia sprawach, o cadyku i t. p., przy czym Wromele jak zwykle okazywał się gorliwym chasydem i „dobrem dzieckiem”.

Niedługo atoli mogła trwać ta cisza złowroga, lawa nurtująca podziemia musi prędzej czy później wytworzyć sobie ujście i ognistym potokiem wybuchnąć. Chwila taka musiała nadejść w stosunku Abramka do rodziców, i na sprowadzenie jej wszystkie szatańskie moce jednego dnia jakby się spiknęły; pierwsza wśród nich uosobioną była znów w naszym znajomym cerberze sztyblowym — Icyku długim.

Było to ku końcowi lata, w miesiącu Elul, na kilka dni przed *Rosz-haszana* (Nowym rokiem), kiedy skruchą pobożną przejęte są wszystkie dusze prawowierne w Izraelu, przygotowując się do wielkiego dnia Sądu. W sztybel dochodzi znów do reb Chaima długi Icyk i rzecze:

— Powiedz-no ty, czemuż to twego syna nie widać? Od kilku tygodni ani zajrzy do sztybel; ponieważ czuwa się, aby tu trefposłów nie czytał, widać obrał sobie siedlisko wśród samych „apikorsym,” gdzie może wszystko dowoli robić, by wreszcie nas wszystkich hańbą okryć...

Rumieniec wystąpił na twarz biednego ojca.

— Nie wiedziałem o tem — wybąknął z westchnieniem, i wyszedł.

Na ulicy zatrzymuje go znów znajomy, towarzysz w cadyku, i rzecze:

— Chaimie, szukam cię już od paru dni, by cię wyłajać z powodu twego Wromele. *Szomer Israel*, czy

ty o tem nie wiesz, lub za twoją wiedzą się to dzieje? — bo nie rozumiem...

— Cóż takiego? — zapytuje z drżeniem reb Chaim.

— Cóż takiego? Wiesz gdzie mieszkam, w tym samym domu mieszka od ulicy niemiec X., którego dwaj synale chodzą do szkoły — skończeni goimiy. Oto, twój synek co dzień u nich bywa, i jak służąca ich opowiedziała mojej żonie, przesiaduje u nich godzinami całemi i uczy się tam wszelkiej bezbożności...

Reb Chaim już nic na to nieodpowiedział; serce mu się ścisnęło, lzy zalewające pierś głos mu przytłumiły. Wrócił do domu i usiadł zrozpaczony — gniew bez granic zawładnął jego duszą. Coś go ciągnęło do szafy, gdzie stały księgi religijne. Rostworzył ją, oczyma śledził między księgami, których syn często używał, spostrzegł w tyle ukrytą książkę jakąś — dobył ją, otworzył, i, o zgrozo, był to — trefposel, książka niehebrajskiem pismem zadrukowana! Z drżących rąk jego wypadła książka, a sam, unicestwiony boleścią, zawlókł się do fotelu, gdzie padł zemdłony.

Nadeszła Fradla, i na widok omdlałego męża krzyknęła o pomoc; zbiegli się domownicy i przywołano reb Chaima do życia. Otworzył oczy, a gdy żona wypytywać się zaczęła, co mu się stało? wskazał tylko palcem na otwartą szafę i na książkę na ziemi leżącą, i „nasz syn” cicho wyszeptaly jego usta.

Fradla podniosła książkę, widziała co zawierała i domyśliła się wnet nieszczęścia, jakie ich spotkało. Nie była atoli jak mąż pod wpływem poprzednich wrażeń; to też spokojnie zniosła cios i przysiadłszy się do męża, rzekła:

— Chaimie! Nasz syn zeszedł na bezdroża — widzę to. Bóg zesłał na nas tę próbę ciężką i musimy ją przebyć. Ale do kogoż mamy się udać po przebłaganie tego gniewu, jeżeli nie do cadyka, do tego, którego wstawieniu się i modłom syna tego zawdzięczamy?

Pojedziesz wszak na święto do G.? Oto, zabierz go ze sobą. On niech żyje, wypędzi z niego klipę i nawróci go na drogę prawą!

Reb Chaim przyjął radę żony z widocznem zadowoleniem.

— Masz słuszość — rzekł — nie pozostaje, jak go do cadyka zawieść. Niech on tu poradzi...

Oboje rodzice niespokojnie wyglądali nadejścia syna. Nadszedł, widocznie zmieszany, — śnać powiedziano mu już na podwórzu, że ojciec nagle zasłabł. Nie znając atoli przyczyny, pełen troskliwości przystąpił do ojca, z zapytaniem co mu jest?

— Co mnie jest? — odrzekł reb Chaim — jest mi to, co musi być każdemu bogobojnemu ojcu, gdy dowiaduje się, że syn jego odpadł od Boga i oddał się szatanowi. Tego i ja na tobie dożyłem, za moje grzechy ciężkie. Oto twoje trefposły, jakie chowaś między świętymi księgami, i gdzie ty swój czas przepędzasz? — na naukach bezbożnych, u goimów, — biada mi, biada!...

Abramek poczuł, że zasłona opadła i że stanowcza nadeszła chwila. Bolało go niewymownie widzieć ojca znękanego boleścią, matkę cicho płaczącą; lecz czyż mógł, czyż powinien był tego ojca i tę matkę dalej okłamywać? czyż mógł się wypierać prawdy? czyż mógł szczerze cofnąć się z drogi, którą jako jedynie prawą obrał sobie i polubił? Ta walka ciężka, jaka zawrzała w jego duszy pod wpływem bolesnych wyrzutów ojca, nie mogła inaczej się zakończyć, jak szczerem przyznaniem się, jak wyłonieniem przed rodzicami całego swego wnętrza, — czy oni go pojną, czy nie.

— Ojczy kochany i matko droga! — zaczął — przyznaję się wam, że zszedłem z drogi, jaką dotychczas mię prowadziliście. Obrzydło mi to życie próżniacze w Sztybel. Nie bawią mię opowieści o cudach rebebo, bo w nie nie wierzę, bo rebe jest zwyczajnym, jak my wszyscy człowiekiem. Liczę już 18-ty rok ży-

cia, i czegoż się nauczyłem, cóż umiem?—Nic, prócz znajomości kilku ksiąg Talmudu, która do niczego mi się przydać nie może, chyba do profesji melamda lub rabina, a nie życzę sobie być ani jednym ani drugim. Istnieją inne nauki, które lepiej oświecają umysł człowieka i są mu pożyteczniejsze. Czemż mamy stronić od tych nauk? Czyż Bóg sam nie nakazał nam, byśmy go lepiej poznawali w Jego tworach? Czy nie namaszczył ludu naszego na lud rozumny i oświecony? A czy jesteśmy nim teraz? Czy raczej ciemnota nasza i nieuciekstwo nie są celem pośmiewiska i wzdargy u wszystkich narodów świata? Czyż nasi współwyznawcy postępowi nie mają słuszności, jeśli nas, chasydów, uważają za plagę Judaizmu, bo zatopieni w czci dla ciemnych nauk, oddając hołdy ludziom mieniącym się być pośrednikami Boga na ziemi, obrażamy Boga, trwonimy życie nasze na próżniactwie, stronimy sami od wszelkiej użytecznej wiedzy i prześladujemy tych, co ją nabyć pragną, i tym sposobem stawiamy tamę rozprzestrzenieniu się między ludem naszym tyle potrzebnej mu oświaty!.. Nie, drodzy rodzice, nie mogę już tych przekonań dzielić, i dla tego postanowiłem sobie czego pożytecznego się nauczyć. Oto cały mój grzech, z którego otwarcie się wam wyповідаam!..

Reb Chaim i jego żona tysiącem miotani byli uczuć, słuchając tej mowy swego jedynaka. Zapał, jaki płynie z natchnienia wyższą myślą, wyższem dążeniem, góruje zawsze nad entuzjazmem ciemnoty i rozbraja go. To też, w obec tej stanowczości, z jaką Wromele idee swoje i zamiary wyłuszczał, gniew i oburzenie umilkły w sercach rodziców, i ciche tylko westchnienia dobywały się z ich piersi. Wreszcie, ojciec, tonem w którym lży drżały, odezwał się:

— Mój synu, Bóg nas ciężką dotknął próbą, dozwalając ci się zbliżyć do bezbożników, by cię na swoje grzeszne drogi zawiedli. Nie pomogą tu więc gnie-

wy i łajania. Ale jedno uczyni dla ojca i matki, jeśli masz choć odrobinę czci i miłości dla nas. Oto, jedź zemną na święta do G.; chcę, aby cadyk cię widział; być może, że jego modłom uda się złego ducha z ciebie wypędzić, i przywrócić cię nam takim, jakim byłeś „uczciwym żydem” i dobrym synem. Uczyni to, a przebaczę ci wszystko, co dotąd się stało. Przynajmniej także, że do tego czasu nie będziesz więcej obcował z tymi „apikorsym” i nie będziesz się uczył ich bezbożności...

Gdy ojciec zamilkł, matka szepnęła cicho synowi:

— Wromele, moje dziecko—nie odmawiaj tego ojcu, błagam cię o to!

Teraz znów uczucie synowskie z kolei przemówiło i przywiodło do milczenia zapal dla idei.

— Dobrze!—rzekł Abramek po chwili namysłu i widocznej walki ze sobą.—Pojadę z ojcem do cadyka w G!

I spokój uroczysty zapanował odtąd w domu reb Chaima, w stosunkach między synem a rodzicami. Abramek zaprzestał bywać u uczni, nie chodził do przyjaciela swego Josła Michla, nie bywał nawet w szybel na ranne nabożeństwo z ojcem.

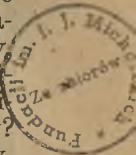
W kilka dni później wyjechali na święta noworoczne do cadyka w G.

Świat cadykowy!.. Tak często mówimy o nim z lekceważeniem, z urąganiem, a jednak, jak mało kto z nas, postępowych, zna ten świat bliżej, jak mało kto sądzić może z naocznego przekonania o magicznej sile, jaką ognisko mistycznego koła, niby słońce złudne, wypromienia z siebie, czciami i bojaźnią napawając najoddalniejsze kręgi, i tysiące wielbicieli w jedną nierozzerwalną falangę niewolniczą zamieniając! Znałem ja chasyda, człowieka z pewną już oglądą, dosyć nawet rozsądnego, który wciąż mi mawiał: „Wasze drwiny i szyderstwa są w gruncie tylko powtarzaniem tego,

coście od innych słyszeli; ale bądźcie raz sami u cadyka, przypatrzcie się własnymi oczyma jego życiu i otoczeniu, a ręczę wam, że, inaczej zupełnie o nim sądzić będziecie, że zamienicie się sami w jego czcicieli!"—Chasyd ten mówił jako taki, jako człek zasklepiony w swoich wyobrażeniach o religiji, enocie i czcigodności; lecz słuszność miał, co do wpływu cadyka na swe otoczenie. Jest on w istocie ogromny, tak, że wyznawcę o mniej jasnych pojęciach, chwiejnego z przekonań, i skłonrego jeszcze do wierzeń mistycznych, łatwo skaptować może. W czym to leży? Oto, mojem zdaniem, najprzód w naturalnym wpływie, jaki wywiera na nas widok massy, niosącej cześć jednostce czy ideałowi—wpływ, który mimo woli nas porywa; powtóre zaś—w dziwnego rodzaju tajemniczo-pobożnej powadze, jaką przywódcy chasydowi umieją się otaczać, i która, jak każda podnioslejsza wybitność w charakterze, imponuje i nieokreśloną cześć budzi... I nie tylko tu, w łonie zaściankowego sekiarstwa, ale i na szerszej widowni życia znajdujemy prawdę tę stwierdzoną. Dajemy się nieraz porwać tłumom w oddawaniu oznak czci ludziom i rzeczom, dla których w gruncie nie podobnego nie czujemy, ba, których w duszy wyśmiewamy. Wpływ to rzutu massy, imponującej swą zbiorowością.

Ale wróćmy do naszych pałników—reb Chaima Szochet i syna jego Abramka, którzy na święta noworoczne peregrynowali do cadyka w G.

Jeśli kiedy, czytelniku, jadąc bocznym traktem, napotkasz na drodze dużą brykę, pełną chałatowych podróżników, z których jedni siedzą na wozie, drudzy na drabinach, inni na drażku, wszystko w dziwnym bezładzie, to nie pytaj wcale, kto to są ci podróżni? bo to nie są ani kupey jadący na jarmark, ni godownicy wracający z wesela, ale jest to karawana chasydowska, peregrynująca do rebego na święta. Koleją żelazną, tam nawet gdzie idzie, chasydzi nie chętnie



jadą do cadyka,—jestto pewna profanacja tym nowomodnym sposobem jeździć, Bóg wie z kim tam w wagonie siedzieć, być może z kobietą jeszcze, by mimowoli na nią spojrzeć—toć wszak sidła szatana, któremi pobożne dusze usiłuje opętać i splugawić! Nasi chasydzi, w swej surowej obyczajowości,—z dawną rycerskością i nowoczesną donzuanerją w jawnej stoją sprzeczności. Nie raz np. zobaczysz na ulicy zatrzymujący się wehikuł, zwany „omnibusem”; wchodzi doń kobieta i w tejże chwili wyskakuje z pudła, z odwróconą od wnętrza twarzą, żyd kapotowy, który szybko uchodzi—to chasyd, uciekający od towarzystwa kobiety w omnibusie. Ludzie z nich się śmieją, nazywają ich dzikimi; ale co oni sobie z tego robią?—prawdłem prawdziwego chasydyzmu jest: Postępuj drogą pobożną, nie bacząc na to, co ludzie o tem mówić będą—jeżeli cię wyśmiewają, tym większą będziesz miał zasługę u pana Boga!

W gronie takich-to pielgrzymów, zdążających do rebege, znajdował się reb Chaim, a nieopodal niego, między dwoma brodatymi chasydami—nasz bohater Abramek. Siedział milezący, smutny, wśród gwarliwego rozhoworu współpodróżników. Myśl jego odbiegała w świat marzeń i nadziei, jaki już sobie był wytworzył, w sferę wiedzy—jaką już był rozpoczął sobie przyswajać; a teraz, w jakim towarzystwie się znajduje? dokąd jedzie? — między ludźmi, do których czuł już wstręt głęboki--do siedziby fanatyzmu i ciemnoty!..

Gdy tak był w dumaniu zatopiony, a czereda pątnicza gorącą wiodła dyskusję o granicach władzy cadykowskiej, jeden z jego sąsiadów, wąsaty chasyd z fajką w ustach, trąca go po ramieniu i rzece: „Ty jakoś mileczysz—zdajesz się nie wierzyć w te opowieści o świętych mężach? Opowiem ci więc jedną rzecz, która cię dowodnie przekona, jak dalece moc ich cudowna sięga. Jedziemy wszak teraz, co?—a gdybyś-



my ot tak np. zechcieli, aby wóz ni ztąd ni zowąd się zatrzymał, toby on nam figę pokazał—nieprawdaż? Inaczej z cadykami—ich życzeniu wszystko, co żyje i nie żyje, musi być powolne. Oto, gdy ongi wielkiego rabi z „Ładi”, oskarżonego u władzy przez podłych ludzi, wieziono do X., celem jego uwięzienia, po drodze zapadł sabat, i urzędnicy eskortujący go nie dali się żadnemi prośbami rebego nakłonić do zatrzymania się. Wtedy rabi zapłakał w duszy i śledził w swem życiu, czem mógł sobie na ten wielki grzech zasłużyć. I przypomniał sobie, że raz nie dość ściśle przestrzegał jednego z przepisów sabbatowych i poczuł głęboką skruchę w sercu. Aż oto w tejże chwili—pekła oś, połamały się koła, powóz rozpadł się w kawałki, i podróżni zmuszeni byli zatrzymać się w drodze przez cały sabat... A co? teraz już uwierzysz, co ci święci mężowie potrafią, gdy zechcą?..

— Ale co tu gadać! odezwał się sąsiad z drugiej strony—cały świat wszak wie o tem, że cadykom niebo i ziemia są posłuszne. Przekonani są już o tem nawet „niemcy” „apikorsy.” Oto, opowiedział mi Szmil z Izbiicy, że słyszał, jak dwaj niemcy sobie opowiadali, iż znajomy jednego z nich, kupiec drzewa, gdy potrzebował zwieść partję drzewa do rzeki dla spławienia wiosną, a dla braku śniegu droga była kiepską, udał się do cadyka w N., i ten przyrzekł mu pomodlić się o śnieg, i akurat w kilka dni później spadł śnieg tak obfity, jakiego ludzie jeszcze nie widzieli. Potrzebaż oczywistszego dowodu nieograniczonej władzy cadyków?..

Abramek nie był wcale usposobiony do słuchania tego rodzaju opowiadań—doszły go jednak ostatnie słowa opowiadacza i pomimowoli uśmiech ironiczny przemknął po jego twarzy. Dostrzegł to nieopodal siedzący prześladowca jego, Icyk długi, który pochylił się do niego i rzekł:—Tobie „kofrym” (heretycy) dobrze już głowę zawrócili—ja to już dawno mówię!

Abramek nie nie odpowiedział—spójrzył tylko z wyrazem pogardy na fanatyka, i oddał się dalej swym myślom.

Tak zajechali do G. Miasteczko to nędzne, zamieszkałe przez samych prawie chasydów, dworzan rezydującego tam Dalai-lamy; w porze atoli przedświątecznej wre tam życie niezwykle—kilka tysięcy pątników z blizka i zdala zjeżdża się tam dla obchodzenia świąt w pobliżu cadyka. Reb Chaim, i tu wielce poważany, przejeżdżając z synem przez rynek, witany był przez tłumy znajomych. Stanęli wreszcie w nędznej żydowskiej oberży, i niebawem izba ich zapełniła się bractwem wszelkiego kalibru i znaczenia.

Wypocząwszy nieco, reb Chaim udał się z synem wprost do mieszkania cadyka. Winienem tu uprzedzić, iż przed wyjazdem swoim z Warszawy, reb Chaim napisał był już do rebego, iż przyjedzie na święto wraz z synem, którego sprawowanie się wymagało interwencji cadykowej.

Przed domem rebego, przy zaułku nieopodal rynku położonym, tłum długokapotowy gwarzył, pchając się w progi święte. Lecz odźwierny herkulesowej postaci, o rudej brodzie, czerwonym nosie, zażawionych oczach i nabrzęklej twarzy, odtrącał natrętnych, wołając ochrypłym głosem: „Nie można, rebe się modli!”. Gdy jednak spostrzegł reb Chaima z synem, wnet uśmiechnął się dobrotnie i wpuścił ich do świątyni.

Weszli do siedziby cadykowej. W pierwszej izbie stało kilkunastu chasydów, cicho z sobą rozmawiając i czekając rychło danym będzie znak wejścia. Przy drzwiach do drugiej izby stał znów adjutant, snąc jeden z bliższych wierników cadyka, a gdy spostrzegł wchodzących:—„Reb Chaim Szochet z Warszawy!”—rzekł z uszanowaniem, i wpuścił ich do sanktuarjum.

Ojciec i syn weszli do przenaświętszego. W szerokiej izbie o dwóch oknach, prosto umeblowanej, z dużą szafą z książkami przy jednej ścianie, ze *sten-*

*drem* (pultem modlitewnym) i „mizrach” (wizerunkiem oznaczającym wschód) przy drugiej, przy dużym stole w głębi, siedział na fotelu mały człowieczek z długą siwą brodą, po pas mu spływająca, odziany w biało-atłasowy kaftan, z takąż krymką na głowie—pochylony nad jakimś foljałem. Na widok wchodzących, podniósł z pod siwych brwi dwoje oczu, a w tem spójrzeniu było coś dobrotliwego, pobożnego i imponującego zarazem. Nasz Abramek znał już tę twarz, przypominał ją sobie; lecz inną mu się ukazywała dziś, niż przed pięciu laty, gdy był tu z ojcem dla odebrania błogosławieństwa do *bar micwa*, i uczył się mimowoli pod wpływem jakiejś mocy nieznaney. Gdy przybysze zbliżyli się o kilka kroków, starzec podniósł się i z szerokiego rękawa wyciągnął chudą dłoń najprzód do ojca, potem do syna: „Szalem Alechem!” — „*Alechem Szalem*, rabi!—odrzekł reb Chaim nieśmiało—to mój syn!”—Cadyk spójrzał na Abramka i pobożne oczy badawczo weń utopił.

— Siądź tutaj przy mnie, mój synu!—rzekł rabi.

Młodzian usiadł na ławie przy stole, w czci pełnem oczekiwaniu.

— Powiedziano mi—zaczął cadyk głęboko westchnąwszy—że z nieba próbę ciężką na cię zesłano, aby cię doświadczyć i serce twoje wypróbować. Masz zasługi, mój synu, u Ojca niebieskiego, bo jak powiedziano: „kogo Przedwieczny kocha, tego próbami nawiedza.” Szatan stanął ci na drodze, jako kusiciel, chcąc czystą twą duszę światowością usidlić i na ztratę skazać. Ale „zechus awos” (zasługi ojców) czuwają nad tobą i nie dadzą ci zginąć. Zwróć się, mój synu, z bezbożnej drogi, abys żył, tu i tam. Bądź „uczciwym żydem” bogobożnym i służbie bożej oddanym! Cała mniemana mądrość bezbożników czem ona jest?—*hawel hawalim!* (próżność nad próżnościami). Grunt—to bojaźń boża w pełnieniu świętych przyka-

zań Tory, i posłuszeństwo dla nauk mędrców i cadyków!

Rabi umilkł na chwilę; zakrył twarz rękoma, i kiwając głową szeptał coś pocichu, jakby modlitwę. Potem podniósł się i zaczął chodzić tu i tam po izbie; wreszcie przystanął, i ze złożonemi dłońmi i oczyma w górę wzniesionemi, modlił się:

„O Boże miłosierdzia, któryś przez usta proroka swego niegdyś wyrzekł: „Nie chcę zguby grzesznika, ale by się nawrócił i żył!“ ześlij swą łaskę na tego młodzieńca, ustrzeż go od grzechu i zepsucia, i dozwól, by kroczył zawsze drogą sprawiedliwych!”—Temi słowami zbliżył się do młodzieńca, stojącego przy stole w dziwnem osłupieniu, oparł dłoń na jego głowie i ciche wyszeptał błogosławieństwo,—potem rzekł:

— Idź teraz, mój synu, mam nadzieję w Nim, błogosławione niech będzie Jego imię! że „klipa” nie będzie miała więcej do ciebie przystępu, że pozostaniesz uczciwym żydem i prawym sługą bożym!

I temi słowami pożegnał przybyszów, którzy obaj w odmiennem usposobieniu izbę rebeego opuścili. Reb Chaim promieniał z radości i nadziei; nasz Abramek znajdował się w dziwnym stanie oszołomienia. Słabe go był w gruncie charakteru, wstręt dla chasydostwa i pragnienie oświaty zapuściły już były korzenie w jego duszę; lecz grunt to był miękki i dla trujących soków przystępny. Umysł jego, młody a wrażliwy, nie miał jeszcze dosyć czasu, by zahartować się i wytrwać na obranej drodze — nie zyskał jeszcze tej pewności siebie, by w każdej okoliczności pozostać wiernym sobie. To też imponujący wpływ cadyka i jego otoczenia—tego, w którym od dzieciństwa i niedawno jeszcze zwykł był widzieć pół-boga—nie mógł nie wstrząsnąć młodocianemi jego aspiracjami, nie mógł nie zagłuszać lepszych dążeń jego ducha...

Wyszedł od rebeego milczący, zamysłony, skupiony w sobie. Nie wiedział już sam, co się z nim dzieje.

Znużony walką wewnętrzną, gdzie po jednej stronie lepsza sprawa, samej sobie zostawiona, żadnego nie miała poparcia, gdy ze strony ciemnoty tak potężnie nań nacierano, popadł w rodzaj apatii umysłowej, gotowej biernie czynić wszystko, co mu każą...

Święta noworoczne przepędził w pobliżu i pod okiem cadyka — modlił się przy nim w jego bóżnicy, a wraz z ojcem zapraszany był, w szczupłej liczbie wybranych, do stołu cadykowego, gdzie słuchając z zachwytem pobożnych wykładów rebego, posilano się resztkami z jego talerzy.

Reb Chaim okiem badawczem ojca patrzył z radością na wpływ zbawienny, jaki bliskość cadyka na zbląkanego jego syna wywierała, a pragnąc wpływ ten ile można przedłużyć, postanowił pozostać tu przez cały tydzień aż po dzień Odpustu (Jom kipur). Jednocześnie, za poradą, rozumie się, rebego i przyjaciół, nie zaniedbał zawiązać pewną negocjację, delikatniejszej jeszcze natury, któraby stanowczo i nazawsze syna ubezpieczyła przed pokusą światową. Abramek codziennie bywał u rebego, gdzie słuchał jego namaszczenia pełnych nawoływań do skruchy i pobożności; resztę czasu przepędzał w modlitewni cadyka na czytaniu ksiąg świętych. A gdy go raz długi Icyk widział tak siedzącego nad Talmudem, przystąpił doń, i z złośliwą ironją rzekł:

— Tak, tak, bratku, wiedziałem, że tu wyjdzie ci szmadsztyk z głowy, że staniesz się żydem, jak się należy. Tak to dobrze — a teraz może pójdziemy do Szapsego; siedzą tam nasi i krzepią się winkiem, jakiego, ręczę ci, nie dostaniesz i u M. na Grzybowie!

Abramek przyjął i to urąganie nienawistnego sobie indywiduum, biernie — był moralnie złamany, unicestwiony prawie.

„Jom kipur“ obchodzony był u rebego z większą jeszcze pobożną ostentacją, niż Nowy rok. Abramek, znużony postem i modlitwą, wrócił wieczorem z ojcem do

oberży, by posilić się i czynić przygotowania do jutrzejszego wyjazdu do domu; lecz czekała go tu innego rodzaju niespodzianka. Ojciec przystąpił doń, i z czułością, na jaką chasyd w takich razach zdobyć się może, rzekł doń: „Wromle, moje dziecko, wypatrzyłem tu dla ciebie *katę* (narzeczoną). Dziś spisujemy „*Tnoim*” (*zaręczyny*) z córką reb Szapsy. Musimy się nawet śpieszyć i zaraz tam pójść, bo goście już są zaproszeni”. Uderzony tą niespodzianą dlań wiadomością, młodzian nasz nie zdołał nawet zdać sobie dokładnie sprawy z tego co usłyszał, i w biernej uległości odrzekł nieśmiało, choć nie bez zarumienienia: „Jeżeli ty to uznajesz za właściwe, to dobrze!”

Reb Szapse, właściciel szynku i handlu win w G., używał wielkiego poważania u chasydów, jako gorliwy członek bractwa i nadworny podczaszy rebego. Był dosyć zamożny; prócz handlu trunków, prowadził jeszcze interes zbożowy i miewał stosunki z okolicznymi obywatelami ziemskimi, którzy cenili w nim jego prawość i sumiennosc. Reb Szapsze był ojcem jedynaczki, imieniem Mirele, dziewczyny szesnastoletniej, o dosyć gładkiej twarzy, ale, jak wszystkie córy chasydowskie, zwłaszcza na prowincji, bez żadnego wykształcenia i obejścia, nie umiejąca, zaniedbana, na wpół dzika. Z tą to dziewczynką, córką bogatego i dostojnego, jak mówiono, domu, usłudźni swaci umyślili skojarzyć naszego Abramka, młodzieńca—warszawianina, który wraz z żądzą wiedzy, zapragnął już był czegoś piękniejszego i układniejszego, niż niezdarnej córki małomiasteczkowego chasyda... Ale, jak rzekłem, zmożony walką z sobą samym i otoczeniem, ulegał niewolniczo życzeniom ojca. Poszedł z nim na *zaręczyny* do reb Szapsy, gdzie grono łaknących kieliszka gości gwarliwie wyglądało ich nadejścia, by odczytać gotowe już *Tnoim*, i *Mazoltof!*—krzyknąć... Posadzono Abramka przy stole, obok najznamienitszych gości. Pani Szapsowa, kobieta nie pierwszej już młodości, wielce pobożna,

wprowadziła do izby dla słuchania „Tnoim“, córkę swą, podlotka o dzikiem wejrzeniu, całą w szkarłatach, wyrwającą się z rąk matki, by uciec do kuchni, Abramek z podełba rzucił okiem na porającą się z matką dziewczynkę, którą mu na towarzyszkę życia przeznaczono, i pomimowoli przesunął w jego wyobraźni obraz zachwycającej Brońci — lecz przez chwilę tylko mógł te porównania bolesne czynić. Głos lektora zaręczyn, a potem szcęk tłuczonych garnków i huczne „mazoltof“, przywołały biednego do rzeczywistości. Wromele i Mirele zostali zaręczeni. W Tnoim ojcowie przyrzekli posag, ale ten miał pozostać w ich ręku, aż gdy młoda para na własny świat wyjdzie; prócz tego reb Szapse zobowiązał się dać „kiest“ młodej parze przez lat sześć po weselu.

Ułożono się, że Abramek nie wróci już do Warszawy i pozostanie u rebe go aż do wesela, które odłożono na następne *Chanuka*. Tak się też i stało. Pierwszego dnia „Chanuka“ zjechała się familja reb Chaima do G., i szczęśliwa Fradla poprowadziła swego jedynaczka pod „chupę“.

Odtąd koleje naszego bohatera tworzą pasmo wewnętrznych, a płonnych z sobą samym walk, utyskiwań i rozczarowań, obok nieprzerwanego dążenia do kresu, który umieścił go pod kolumnami bankowemi, dla zagabiania przechodniów o wymianę podartych rubli, a mnie służył za punkt wyjścia do mego opowiadania...

Historja to prosta, powszednia, żadnemi dramatycznemi sytuacjami nieprzetkana, — zato tem tragiczniejsza, tym bardziej do myślenia nawołująca. Powtarza się ona dziś, w epoce dokonywającego się przełomu wśród zacofanej naszej braci, dosyć często, niestety... Dobrych chęci, pragnień, porywów ku wiedzy i kulturze, u wielu już napotkacie młodzieńców tej klasy. Wielu, wśród mroku w którym pielegnuje ich fanatyzm, dostrzeżę przypadkiem, czy z przyczynienia czyjzego, promyk świa-

tła—uczuwa całe jego dobroczynne ciepło, wyrывa się ku nieznanemu słońcu, co go wysyła, chce zerwać pęta, jakie nosi, by na jasną dziedzinę swobody się wybić, szuka dłoni bratniej, któraby w tym procesie odrodzenia pomagała i drogę wskazywała. Lecz bardzo niewielu, bo pojedyncze zaledwie tu i ówdzie jednostki, posiada tyle energii ducha, tyle niezłomnej siły woli, by wszelkie po drodze skruszyć zapory i niezachwianie do upragnionego celu podążać. Inni, po pierwszych uczynionych krokach, już dla braku hartu duszy, już dla ogromu przeszkód, jaki ciemnota usiłuje w koło nich nagromadzić, sami sobie zostawieni, wyczerpani walką i otoczeniem, z zagrzebanymi w głębi duszy lepszymi aspiracjami, pada znów bezsilna w objęcia obskurantyzmu, gdzie głos owych dążeń powoli coraz bardziej się uciśsza, aż wreszcie zupełnie zamilka. Takich młodzieńców, powiadam, istnieje już dziś wielu pośród naszych chasydów i ortodoksów; ich wejrzenie nie wam o tem nie powie: wyglądają oni i żyją wedle wymogów ich otoczenia, ale gdybyście w głąb ich ducha zajrzeć mogli, dostrzeżlibyście tam niejedno lepsze pragnienie przytłumione, niejedną iskrę wygasłą, niejedno jasne marzenie rozwiane... Są i tacy, którym żar ów duszę wypala i nad otchłan zaguby ich sprowadza, — inni wędnieją powoli, aż niepostrzeżeni ztracają się w tłumie. Są to nowi Jkarowie, co skrzydła sobie przyczepiają, by z labiryntu ciemnoty ku jaśniejszym wzbić się wyżynom, ale którzy obezsileni lotem, spadają znów i toną w morzu zacofania... Inną byłaby bezwątpienia ich dola, gdyby istniała gdzieś dłoń silna, zasobna w środki materialne i duchowe, do którejby się w potrzebie po pomoc uciec mogli... Lecz takiej pomocy u nas niema, niestety! My, lepsi, oświeceni, tylko skargi i żale mamy dla wstecznej braci — o podawaniu ręki tym z nich, co z mroku wydobywać się pragną — serjo nie myślimy...

Wróćmy atoli do naszego Abramka, którego dalsze



przejęcia własnymi jego, o ile się to da, słowy pokrótce tu opowiemy.

„Po mojem weselu, zostawiony w G. na „kieście” u rodziców mej żony, wiodłem przez czas niejaki byt zagłuszony niejako, letargiczny. Teść mój, rad niezmiernie z nabytku we mnie uczynionego — byłem przecież synem reb Chaima Szochet z Warszawy, a przytem *Ilujem* (talmudystą z otwartą głową), — traktował mnie jak ojciec własny. Słyszał był wprawdzie o moich przedweselnych światowych zachciankach, ale cadyk, który wciąż mną się opiekował, upewniał go, iż „klipa” stanowczo mię już opuściła, i duch prawdziwego chasyda znów do mnie wrócił, a stoi wszak w Talmudzie napisane: „że gdzie nawróceni grzesznicy się ostoją, tam zupełnie cadykowie nie ostaną się”. Świekra moja, szczęśliwa nad wyraz, nie wiedziała już sama jakimi mię karmić przysmakami i łakociami; w tem bowiem prostoduszne matki żydowskie najbardziej zwykłe okazywać swą pieczołowitość dzieciom — na innych oznakach całą ich istotę zapełniającej miłości macierzyńskiej, nieboraczki mało się znają. Co do siedmnastoletniej żony mojej, nie wiele powiem: połączyłem się z nią z powolności jedynie dla życzenia ojca, bez żadnego serdecznego pociągu, którego ona, zaniedbana z wejścia, strasznie zacofana duchowo, obudzić we mnie nie mogła, i tak z nią żyłem.

Pierwsze tedy miesiące po weselu upłynęły mi jakby w letargu; pielęgnowany, pieszczony nieledwie w domu, fetowany za domem, poważany w gronie starszych w bóżnicy i kolo rebego, choć czułem się tu już w gruncie obcym, nie miałem nawet czasu do rozmyślenia o swoim położeniu. Żyłem więc przez czas pewien jakby w rodzaju oghuszenia. Niedługo atoli stan ten mógł trwać. Odcięty od wszelkiego stykania się ze światem, otoczony samymi fanatykami, w ciągłym musowem praktykowaniu przesądnych zwyczajów i oby-

czajów, nie mając ani żywej duszy, z którąbym mógł choć słowo o innej jakiej wiedzy, prócz chasydowskiej, zamienić, zacząłem powoli budzić się z uspienia i całą nieznośną próżnię, w której żyłem, uczuwać. Ocknęła się we mnie na nowo, i z tym większą energją, chęć do nauki i oświaty, a że tu nie mogłem nawet marzyć o jakichbądź środkach zaspokojenia tej żądzy, gdyż prędzej znajdziesz w Saharze źródło wody zimnej, niż w rezydencji cadykowskiej książkę jaką świecką, że nie powiem człowieka ukształconego—zaczęły więc mię trapić nudy straszliwe, i życie takie stało mi się nieznośnem. Dostrzegli po niej jakim czasie tę zmianę we mnie moi teściowie, widywali mię codzień milczącym, zaszepionym; teść mój zwłaszcza miał sposobność dostrzegania, że w „szybel“ nie modłę się już i nie ucę Talmudu z taką, jakby sobie życzył, pilnością. Lecz ni on, ni świekra nie dawali mi w obejściu swem niczem znać zmartwienia swego z tej przyczyny, choć wyraźnie je z ich oczu i mowy wyczytać mogłem. Teść mój mógł wtedy już trwożyć się powtórnem nawiedzeniem mię „klipy“, mógł radzić już o tem z „cadykiem“, lecz nikt nie miał prawa otwarcie mię zaczepiać, gdyż, prócz cichego zniechęcenia, nie dałem jeszcze żadnego dotykającego powodu do posądzania mię o coś złego. Aż wreszcie traf przyśpieszył nieuniknioną katastrofę. Pewnego dnia wstąpił do nas jeden z okolicznych obywateli ziemskich, z którym teść mój w handlowych zostawał stosunkach, i gdy nikogo w pokoju prócz mnie nie zastał, wszczął ze mną rozmowę. Mówiłem już wtedy nie źle po polsku i odpowiadałem temu panu na różne zapytania, stosunkowo do mego otoczenia, dosyć poprawnie. Widocznie to go zdziwiło, bo młody chasydek prowincjonalny, wysławiający się dość dobrze krajowym językiem, należy do białych kruków. Rozmowa zawadziła o chasydów, o ich uporny zastój, etc.; ja, porwany swobodą konwersacji, znalazłem tu sposobność

wynurzenia tak długo tłumionych w sobie myśli i uczuć: opowiedziałem dzieje me przedweselne, wysiłki czynione dla wyrwania się z chasydowskiego koła, przyczem niebacznie wyjawilem cały swój wstręt dla zacofanego sposobu życia i pragnienia dla lepszej wiedzy i godniejszej egzystencji — słowem, odsłoniłem przed tym panem całe me wnętrze. Zachwycony był mną widocznie, wydawałem mu się perłą drogocenną znaną w śmietniku, i ten to zachwyty niedyskretnego pana stał się wnet przyczyną gwałtownego przejścia w mojem życiu. W trakcie naszej rozmowy nadszedł teść mój. Po zwykłym przywitaniu, gość w te odezwał się do niego słowa:

— Mogę ci, Szapse, winszować takiego zięcia! Nie przypuszczałem doprawdy tyle rozsądku w tobie, byś tak ukształconego męża wybrał dla swej córki. Ale czemuż nie bierzesz sobie już z niego przykładu, byś obrzydłe chasydostwo całkiem rzucił? Słuchaj tylko co on o waszych rebach i o was mówi! Uważa on was za fanatyków, za bałwochwalców; boleje, że musi wśród was żyć, że musi udawać niby takiego jakimi wy jesteście, i nie może oddawać się naukom prawdziwie użytecznym!...

Drżenie mimowolne mię przejęło, gdym słyszał te chwalby nieproszone, wychodzące z ust gadatliwych, jak zwykle tajemnicy obcej nie umiejących uszanować. Podniosłem oczy na mego teścia i dostrzegłem na jego twarzy wyraz bolesnego zdumienia, wstydu i goryczy. — Oszczędzę tu panu opowiadania scen, jakie później między mną a mem nowem rodzeństwem nastąpiły, opisu gorzkich wyrzutów, miotań się, obelg ze strony mego teścia, łez rozpaczki mojej świekry, osłupienia na wpół idjotycznej nawet mej małżonki, skandalu, jakie odkrycie to sprawiło w chasydowskim świecie G., u cadyka, który mię wykłął, w stybel, słowem w całym mieście, tak, że nie mogłem bez ściągnięcia na siebie czynnych

niemal obelg, na ulicy nawet się pokazać, — dosyć, że we dwa dni później, upakowawszy swoje manatki, jakie z łaski mi wydano, opuściłem dom moich teściów, siedm-nastoletni wytwór mojego żebra, i ze słowami wielkiego myśliciela Spinozy, które onego czasu utkwily mi były w pamięci: „Zegnam was, moi penaci!“—wróciłem do Warszawy, do moich rodziców.

Rodzice moi byli już listownie zawiadomieni o wszystkim co zaszło — łatwo więc możesz pan pojąć, jakie znalazłem u nich przyjęcie. Matka płakała, płakała wciąż z załamanemi rękoma, bolejąc nad „złym duchem“ jaki mię opętał. Ojciec, od pewnego czasu często na zdrowiu zapadający, znękany, przyjął mnie zimno, milcząco, nawet ręki do „Szalem alechem“ nie podał. Serce było już w nim znać złamane—nie miało już nawet wyrzutów dla mnie...

I cóż mi wypadało czynić? Po takim przyjęciu przyszła mi myśl opuszczenia i rodzicielskiego domu, by pójść w świat, gdzie mię oczy poniosą... Wyjawiłem ten zamiar matce,—ona, zawsze matka o nieprzebranym i nigdy nie wysychającym zdroju uczuć, wstrzymała mię.— „Pozostań! — rzekła z płaczem — może Bóg wszechmocny ulituje się nad tobą i wydali z ciebie szatana! Ojciec jest chory, trzeba go pielęgnować, nie mam znikąd żadnej pomocy w interesie, w którym źle idzie. Pozostań! nawet „goimy“ trzymają się przykazania Bożego: „czcij ojca i matkę“ Miałżebyś ty, choć „apikores“ wyrzec się swych rodziców? Pozostań i nie wtrącaj nas przedwcześnie do grobu!“.

Pozostałem. Jakie odtąd prowadziłem życie, nie będę panu opisywał. Odtrącany od ojca, oplakiwany przez matkę, uważany przez oboje za straconego, wegetowałem raczej, niż żyłem. Zniechęcony już do wszystkiego, jedyną uciechę znajdowałem w pomaganiu matce w interesie, który, obdłużony niepomiernie, przy zmniejszającym się coraz targu, chylił się niepowstrzymanie ku upadkowi.

Trwało to tak przez rok cały. Stan nasz majątkowy coraz bardziej się pogarszał. Ojciec, trawiony ciężką, chroniczną niemocą, położył się do łóżka, z którego nie miał już powstać. Matka, nieszczęśliwa moja matka, nikła z dniem każdym pod brzemieniem troski o ojca i kłopotów koło utrzymania domu, którego podupadły handelek nasz już nie dostarczał. Dzielać taką dolę z najbliższymi swoimi, puściłem w niepamięć całą swą burzliwą przeszłość, wszelkie marzenia uleciały mi z głowy, a wdrażając się bezmyślnie napowrót w życie tych, wśród których się wychowałem i wzrostem—oddawałem się pracy w interesie rodzicielskim. Wreszcie śmierć nieubłagana nawiedziła naszą siedzibę. Ojciec mój, czując się blizkim zgonu, przywołał mię do siebie, i ująwszy konwulsyjnie mą rękę, zamierającemi usty przebaczył mi zmartwienie, jakie mu sprawilem, i błagalną wyraził prośbę, bym sprowadził żonę swą i żył życiem bogobożnym, służbie Boga oddanem, jak na „uczciwego żyda“ przystało. Płacząc, dałem konającemu ojcu to zapewnienie. W parę godzin wyzionął ducha, a nazajutrz cały świat chasydowski Warszawy odprowadził na cmentarz zwłoki reb Chaima Szochet — pierwszego chasyda w Warszawie.

Nie wiele już mam panu do opowiedzenia. W kilka tygodni po śmierci ojca, sprowadziłem żonę mą do Warszawy, i przyjąłem owdowiałą matkę do siebie. Wierzy-ciele nasi, którzy szanując ojca mego, za życia jego czynnie nie występowali, zaczęli nam po jego śmierci ciężko dokuczać, tak, że znajdujące się resztki towaru, od dość dawna już nie odnawianego, zajęli i na pokrycie swych należności sprzedali. Pozostałem bez funduszków, bez sposobu utrzymania rodziny. Imałem się tego i owego— nie niedopisywało — aż wreszcie, bez zasobów, bez umiejętności praktycznej, ojciec kilkorga już dzieci, z chorą obłożnie matką w domu, nie pozostało, jak przykładem wielu mych współbraci, z wiatru

oczekiwać pomocy. I oto, wychodzę codzień przed bank, gdzie na wymianie pieniędzy, parę złotych na chleb dla swoich zarabiam“...

Oto historia zwiecznionej kariery, jednej z wielu, które wśród prawowiernych współwyznawców naszych naszych dziś napotkać można.

*S. Pelryn.*

ŚWIEKRA I SYNOWA.





# ŚWIEKRA I SYNOWA.

SZKIC OBYCZAJOWY (\*).

Skreślił **E. K.**

---

Nikt się tak nie cieszył wkrótce nastąpić mającem weselem, jak mała Blümele, dwunastoletnia siostrzyczka narzeczonego. Dziewczynka licząca lat dwanaście, a do tego mająca brata, którego wesele ma się wkrótce odbyć, jest najszcześniejszem w świecie stworzeniem. Jeśli jednak wielu raduje się czem pospółu, to każdy po swojemu, w sposób sobie właściwy się raduje — u każdego radość jest odmiennie zabarwioną. U Berty i Józefa, samej parze naręczonych, radość serca była wolną od przymieszki smutku i obawy — i to nie bez powodu. Ona wszak opuścić musiała dom swego dobrego ojca, miłe ustronie rodzinne, i, lubo przy boku ukochanego męża, zawsze w obce udać się stro-

---

(\*). Szkic ten, żywcem zdjęty ze świata pojęć i zwyczajów zachowawczych żydów naszych na prowincji, zachowuje całą charakterystykę ich mowy i sposobu wyrażania się. Aczkolwiek żargonowe te dźwięki niełatwe są do oddania w polskim języku, i dziwnie brzmią w uszach, do lepszej mowy nawykłych, dla wierności jednak obrazu, staraliśmy się cechę tę ile można zachować.

ny. Józef znowu trapił się myślą, czy zdoła ubóstwionemu dziewczęciu ofiarę tę wynagrodzić, i szczęśliwym je uczynić. Bardziej stanowczą okazała się Małka, matka narzeczonego. Ona czuła się szczęśliwą, iż dożyje tak długo upragnionego dnia, a odnośnie do synowej najlepsze żywiła zamysły.

— Moja „sznur“ (synowa) — mawiała — nie będzie nawet czuła, iż nie jest w domu przy ojcu. Jak skoro wesele się odbędzie i w dom mój ją wprowadzę, będę ją traktowała jak własne swoje dziecko, jak Blümele, którą pod sercem nosiłam. — Tak się wyrażała jej radość. Ze jednak w duszy czuła się nieco zaniepokojoną tem, że przyszła jej synowa pochodzi z miejsca, gdzie nowa moda, tak zwane „ukszałcenie“ zaczęło się wkorzeniać — nie trudno było odgadnąć, bacząc na to, że Małka była arcy-pobożną niewiastą, która ani na włos nie zbaczała z praktyk, jakie z wychowania i długoletniego zwyczajenia za nietykalne świętości uważała. Tak tedy i jej radość nie była zupełnie wolną od troski. — Jedną tylko Blümele, dwunastoletnie dziewczę, nie myślała o rzeczach, któremi starsi się kłopotali; cieszyła się z głębi serca — jej radość była czystą, niczem niezmaconą.

Gdy brat jej niedługo po zaręczynach wyjechał do narzeczonej, by jej zawieść prezenta oblubieńcze: duży łańcuch złoty, wiązkę pereł, składającą się z sześciu sznurków z brylantową klamrą, brylantowe kolczyki i także pierścionki, Blümele już mu towarzyszyła, i podjęta była przez przyszłą bratową i jej ojca z całą serdecznością. Po powrocie do domu, nie mogła się dosyć naopowiadać o wszystkich uprzejmościach, jakich doznawała, i jak piękną i dobrą jest jej bratowa, panna Berta!... Pokazała ona jej całusięnką wyprawę — kufer pełen bielizny i wszystką bogatą garderobę: czarno-jedwabną „paradną“ suknię, i szaro-jedwabną mniej „dobrą“, i trzecią jeszcze w pasy, która u innej narzeczonej mogłaby za najprzedniejszą uchodzić; potem

znów „paradny“ czepek z prawdziwemi brukselskiemi koronkami, i mniej dobry, i tyle innych jeszcze ładnych rzeczy, jak je tylko księżniczka mieć mogła. — A gdy matka powiedziała: — „Powiedz mi, Blümele-życie, dla czego to nazywasz narzeczoną Józefa „panną Bertą“? Czy nie wiesz, że po żydowsku na imię jej „Bela“? — Blümele śmiała się i odpowiadała: — „Nazywam ją tak, ponieważ wszyscy ją tak nazywają — taka dziś moda”. — Blümele tylko o swej bratowej opowiadała, o niczem innem nie mówiła, o niczem nie myślała, wszystkie jej uczucia i myśli około bratowej krążyły. Nigdy jednak radość jej nie była tak pełną, jak dziś właśnie, kiedy się sposobiono do wyjazdu na wesele, gdyż bryki mające zabrać gości weselnych, stały już przeddrzwiami.

Dniem wprzód upakowano wszystkie rzeczy, jakie należało zabrać, by z całym szykiem w wielkiem mieście wystąpić. Małka mogła w swym stroju wyglądać nieco po staroświecku, nosiła jeszcze czarno-jedwabny fartuch, którym paradowała; mimo to jednak, tualeta jej nie ustępowała, co do bogactwa i przepychu, w niczem nowomodnej. Blümele czuwała, żeby przy pakowaniu niczego niezapomniano, i obowiązek ten spełniła z całą sumiennością. Przez całą noc ani oka nie zmrużyła. Najprzód, późno bardzo poszła spać, a potem, gdy około północy się położyła, dopiero nie mogła zasnąć. Już brzmiały jej w uszach wesołe dźwięki taneczne, przy których jutro na „Vorspielu” (wieczorze poprzedzającym wesele) wkoło kręcić się będzie, a z radości serce jej omal nie pękło. Zaledwie mogła się doczekać świtu, a gdy nieco się rozwidniło, ona pierwsza w całym domu wstała, ubrała się i do drogi szykowała. Nie chciała nawet śniadania zjeść, ale wciąż tu i tam biegała, a gdy na rozkaz matki musiała do stołu zasiąść, zadała sobie gwałt, by połowę filiżanki kawy wypić, — drugiej połowy żadną miarą wypić nie mogła. Co chwila przybiegała do okna, by

zobaczyć, czy najęte bryki już nadjechały, a gdy te się zatoczyły, nie mogła już wytrzymać w pokoju i wyleciała, by czuwać, aby wszystko porządnie się zmieściło.

I wszystko znalazło porządne swe umieszczenie. W pierwszej i drugiej bryce ulokowali się przeróżni wujowie i ciocie narzeczonego, w trzeciej zasiadł sam naręczony z matką i siostrą, i tak cała wyprawa godowa ruszyła w drogę.

Gdy grono weselne odjechało, w miasteczku mówiono: „Kto mi tylko dobrze życzy aby taką partję zrobił, jak ją robi Josef, syn Małki! Zarty-to córka rebi Zeliga R?... co? Takich reb Zeligów nie znajdziecie trzech w całym kraju!” — Po przyjeździe znowu gości do miejsca zamieszkania naręczonej, mówiono tam znowu odwrotnie: — „Bercia R. może się za szczęśliwą uważać, robi świetną partję. Josef nie jest wprawdzie wysoko ukształconym człowiekiem, ale jest synem Małki, i wiadomo, jakie bogactwa kiedyś otrzyma!”.

Matka naręczonego i naręczona leżały sobie w objęciach. Stara kobieta o zmarszczonej twarzy wylewała łzy radości, tuląc do matczynego łona swego prześliczne, kwitnące dziewczę; ścisła ją i całowała bezustannie. Starość i młodość były tu tak ściśle spojone, że trudno było orzec, gdzie jedna się kończy, a druga zaczyna. Starość zdawała się pod tchnieniem młodości ożywiać i odmłodnieć.

Witania, uściski i całusy przeróżnych wujaszek, ciotek, kuzynów i t. d. nie miały końca, aż wreszcie taneczne melodje w izbie weselnej zabrzmiały, wabiąc młodzież obojej płci na „Vorspiel”. Kuzyn naręczonego rozpoczął taniec z naręczoną, kuzyn tej ostatniej tworzył drugą parę z Blümela, siostrzyczką naręczonego, i tak się tany skoczne rozpoczęły i w uprzątniętej sali godowej młodzież żwawo dokoła się kręciła, aż się starsi spektatorowie i spektatorki, rozmieszczeni w koło ścian, obawiać poczeli, by kolistym tym ruchem sami nie byli porwani. Lecz na „Vorspielu” żonaci i zamę-

żne nie mają prawa do tańca — „Vorspiel” należy wyłącznie do wolnych.

Taniec stawał się coraz zławszym. Matka narzeczonego znajdowała się także w sali tanecznej, i oko jej z lubością śledziło za uroczem dziewczęciem, które stać się miało jej córką.

— Tańczyć to umie, bez uroku—istny cud Boży!— rzekła do kobiety jakiejś, obok niej siedzącej.

— Jak baletniczka — odezwał się młody student, daleki krewny na wesele zaproszony.

— Co, co? — pytała Małka.

— Dajcie mu mówić— rzekła sąsiadka — kpi on z całego świata, Berci nawet nie zostawia w spokoju. Ale cóż z tańca? Żeby to nawet lepiej umiała, jak umie, to w parę lat po weselu pustoty te wyjdą z głowy; ale jej piękność...

— No, a piękność — przerwała Małka — czy piękność nie znika, gdy się ma dzieci?

— Lecz włosy, proszę was — patrzcie tylko na jej włosy! Czyście już kiedy widzieli takie włosy? Nie można powiedzieć, żeby były rudemi. Są niemi potroszę, ale świetnieją i błyszczą, jak promienie słońca.

— Nu i cóż z włosów?— odparła Małka— z „nakryciem” (\*), jutro rano na zdrowie, to koniec z włosami, czy są rude, czy nie, choćby świetniały i błyszczały, jak rogi na głowie wielkiego naszego nauczyciela Mojżesza, jak jest w „Chumesz” (Biblii) wymalowany. Główna rzecz, powiadam wam, główna rzecz to, jak napisano, pobożność i bojaźń Boża— wszystko inne jest marnością.

— Co? — zapytała sąsiadka— więc u was młode kobiety nie noszą jeszcze własnych włosów?

---

(\*) Obrzęd przedślubny rzucenia zasłony na głowę narzeczonej.

— Oby Bóg strzegł i uchował! — odrzekła pani Małka, załamując dłonie—Jak to własne włosy? Kobieta zameżna—własne włosy? Kobieta, która raz stała pod „chupa” (baldachimem)—własne włosy? Czyż myślicie, że u nas już nie ma „jüdiszkeit” (religji żydowskiej?).— Ulicznicy biegaliby za taką kobietą i ciskaliby na nią kamieniami! U nas spluwanoby na taką; niktby nie chciał w jej „czterech łokciach” (w jej pobliżu), stać. Jakto własne włosy? Jak że możecie takie słowo nawet z ust wypuścić i nie boicie się grzechu?

— Zabawną jesteś, pani, doprawdy—odparła znów druga,— udajecie, jakbyście od nas o sto mil byli oddaleni, i jakbyście nie wiedzieli wcale, co u nas się dzieje! Tym sposobem może mniemacie także, że wawsza „sznur” da sobie, jak która u was dziewczyna, włosy odciąć i włożyć obcą peruczkę?

— Jak to mogę mniemać?—rzekła Małka —także mi mowa! I cóż innego mam mniemać? Czyż nie jest ona dzieckiem żydowskim, nie wyrosła w domu żydowskim?

— Ale ja wam mówię, że się grubo mylicie, jeśli sądzicie, że Berta R. da sobie włosy odciąć!

— Tylko — jak?

— Także mi mowa! — Berta R. i włosy sobie odciąć!

— Milczcie lepiej, i nie gadajcie głupstw!

— No, wszak zobaczymy; jutro rano zobaczymy—zakładam się z wami o ile chcecie.

— Nie potrzebujecie się zakładać — jak powiem: „odciąć”, to się odetnie. Sądzę, że znaczą jeszcze coś u mego syna.

— A jak Berta nie zechce?

— Na moje życie, jak mię tu widzicie, to jutro jeszcze, w „Chupetag” (dzień weselny) gotowam partję rozwiązać.

— No! to będzie dopiero jutro muzyka — rzekła kobieta, co tak żywo z matką narzeczonego rozprawiała, i oddaliła się. I Małka poszła do swego pokoju. Być może, że rozmowa ta nieco ją zaniepokoiła, być może i nie; w każdym razie uważała za stosowne udać się już na spoczynek, by jutro nie przybyć na „Bede-kens” (Obsłony) z zaspianą twarzą.

Powoli i sala taneczna się wypróżniła, niezmordowani tancerze i tancerki obstawali wprawdzie jeszcze za ostatnim kontredansem, ale i muzykanci jakoś nie byli już dosyć rażni. Za pomocą kilku butelek dało się ich natchnienie dla ostatniego tańca jeszcze wzniecić, a gdy i ten się skończył i dźwięki przebrzmiały, sala powoli opustoszała; każdy poszedł szukać swego gniazda, by we śnie zaczerpnąć świeże siły dla jutrzejszego dnia.

Nazajutrz rano urządzono w izbie weselnej *krzesło obsłonne* (Deckstuhl) w postaci bogato przyozdobionego tronu, dla oblubienicy, na którym głowa jej miała zostać okrytą złocistym welonem, jakby koroną królewską. Niewiasty dosyć wcześnie się zebrały, by żadnego tanczka nie opóźnić, bo w poranek weselny mężatki tańczą z panną młodą; nie są to skoczne pląsy, ale poważne, obyczajne pas, któremi się młodą oblubienicę niejako w stan małżeński wprowadza. Muzykanci przygrywają tu smętne melodie, za zwyczaj rzewny jaki śpiew synagogialny z czasów „dni straszliwych” (Jomim-noroim). Najważniejsze atoli zadanie przed ceremonją ma tak zwany *marszałek* (trefnis), który najlepszych swych rymów używa, by narzeczoną wzruszyć, a zarazem i rozweselić. Posłannictwo jego jest tragikomiczne. — Rabinowa wytańczyła właśnie menuet, i trefniś udzielał pannie młodej rymowane lekcje kucharstwa, przeplatane wspomnieniem o zmarłej jej matce; już się zbliżali mężowie, co z rabinem na czele przybywali z synagogi dla spełnienia obrządku „obsłony”,

gdy głos donośny rozległ się w izbie weselnej, przestraszeniem zdejmując obecnych.

— Nie! — wołała dziewczica na tronie siedząca, ujrawszy nielitościwe nożyce, z którymi przyszła jej świekra do niej się zbliżała, by piękną ozdobę jej głowy odciąć.

— Nie! — wołała — nie zniosę tego, nie dam sobie włosów odciąć! — I pani Małka z przestraschu cofnęła się o trzy kroki od krzesła.

Tymczasem mężczyźni weszli, izba była przepelniona. Pan młody stał lekliwie na boku, matka zżyła się, panna młoda zdawała się być na wszystko gotową; pełna współczucia stała przy niej Blümele — wszyscy inni stali bezporadni. Przez chwil kilka panowała cisza złowroga, jakby przed uraganem, aż wreszcie potok mowy przez chwilę wstrzymany, z całą znów wybuchnął gwałtownością.

— Słyszaneż-to rzeczy? — zaczęła dopiero matka narzeczonego z pozornym spokojem, ochłonawszy nieco z gniewu — słyszaneż-to rzeczy, aby panna młoda odważyła się na takie głupstwa i nie dała sobie włosów odciąć?

— U was tam na prowincji nie słyhać tego — u nas coś podobnego już się zdarzyło — odezwał się głos jakiś. Pani Małka wnet głos ten poznała — należał on do jej interlokutorki z wczorajszego wieczoru, a ta była ni mniej ni więcej, tylko ciotką panny młodej.

— Cóż ja tam mam z waszego gadania? — wołała Małka — czy u nas na prowincji, czy u was tu! Co to ma znaczyć u nas na prowincji? Czyż my na prowincji mamy innego Boga, lub wy tu macie inną *Torę* (zakon)?

— U was, na prowincji, to jeszcze bardzo ciemno — rzekła ciocia Esterl, tak bowiem się nazywała.

— Ciemno! — odparła Małka — tak, w nocy.

— Nie, ale w jasny dzień! — rzekła dalej ciocia



Esterl. Bóg tego nie żąda, aby odcinano sobie piękne włosy z głowy.

— Bóg tego nie żąda? — wołała Małka rozjątrzona — Jakto Bóg tego nie żąda? Tylko kto, tylko kto inny tego żąda?

— Wy, wy tego żądacie!

— Ja tego żądam?

— Tak, wy, wy! Jeżeli tego nie żądacie, to czemu tak hałasujecie?

— Brednie. Ale nie dam sobie nic wmówić. Gadajcie wy, reb Zeligu! Wy jesteście ojcem waszego dziecka. Rozkażcie, aby sobie zaraz dała włosy odciąć!

— Coś podobnego dziecku mojemu nie rozkazuję; takie sprawy załatwia każdy sam ze swoim sumieniem. Jeśli moja Berta chce, może to uczynić, jeżeli nie, to drugie dobre.

— Jeżeli więc rzeczy tak stoją — rzekła Małka spokojnie — to mój Josef nie jest więcej narzeczonym, a wasza panna Berta nie jest narzeczoną. Skończyło się (punktum), i możemy w spokoju wrócić z kąd przybyliśmy.

— Co? Chcecie partję rozwiązać w dzień wesela? — pytała ciocia Esterl.

— Czemu — pytała wzajem rozgniewana Małka — czemu nie mam rozwiązać w dzień wesela?

— Nie wstydzicie się tego? Nie jest-że to hańbą i sromotą?

— I wy mnie to mówicie? Czyż nie jest większą hańbą i sromotą, jeśli kobieta-żydówka własne nosi włosy? — Chodź! Josefie, idźmy!

Zakłopotanie ogólne doszło przy tych słowach do swego zenitu. Panna młoda, która dotąd wyczekując siedziała na swym tronie, zeszkoczyła zeń, by wyjść z pokoju, i za ledwie usiłowaniami ciotki jej udało się ją zatrzymać. Józef, pan młody, blady jak trup, padł prawie zemdlały w objęcia teścia. Wszyscy krzyczeli, jeden starał się drugiego uspokoić, lubo sam był pe-

len największego niepokoju: każdy radził, chociaż sam stał bezporadny, i tak powstał krzyk, hałas, który mało mógł wpłynąć na rozplątanie zawilej sytuacji. A jednak udało się to dziecięciu. Blümele rzuciła się na szyję matki, i płakała i błagała i całowała ją, i odniosła zwycięstwo.

— Pozwól tylko, matko droga, aby wesele się odbyło. Jedyne masz syna, i chcesz mu radość zatruć w dzień wesela? Zobaczysz, matko droga, jak skoro nasza Berta będzie u nas w domu, wtedy robić będzie wszystko, czego od niej zażadasz. Cóż masz z tego, czy daje sobie włosy odciąć, czy nie? Dla tego chcesz partję rozwiązać? Czy życie od tego zależy? Bądź tylko, matko droga, cierpliwa, aż po weselu. Niechaj ona dziś postawi na swoim; może ma do tego jakie powody, których nie może odkryć. Zobaczysz, nie będziesz tego żalować!

Przy rzewnych dźwiękach lubego głosu dziecięcego, które jakby z wyżyn rajskich schodziły na nędzny padół ziemski, zmiękło serce matczyne, i Małka ustąpiła.

W milczeniu przyozdobiono głowę oblubienicy, niepozabawioną naturalnej swej ozdoby, złotem i djamentami przetkanym czepkiem i powiewnym welonem doń przyczepionym, który twarz jej zakrywał.

— *Mazol-tof! mazol-tof!* (dobre szczęście) — rozlegało się ze wszech stron, ale już nie z ową swobodą i wesołością, z jaką życzenie to zwykle bywa wywoływaniem. Ciężar jakiś zaległ izbę weselną, tłumiąc wybuch wszelkiej szczerzej radości. — Wesele w ogóle nie było bardzo wesołe. Stare kobiety zwłaszcza skrzętnie zbijają głowy i gadu gadu.

— Juźci — rzekła jedna — natrafili na Bertę R., aby w dzień ślubny partję jej rozwiązać.

— I cóż myślisz — rzekła druga — natrafili na Małkę, aby narzeczona jej syna nie chciała sobie włosów dać odciąć! Zarty-to Małka i jej pobożność!

— I wy myślicie, zauważyła trzecia — że Małka da jej włosy własne nosić. Trzeba chyba nie znać Małki, aby coś podobnego przypuścić. Tu jest ona sama, a gdzie wiele gończych, tam lis przepadł; ale niechaj tylko będzie w domu, to nowomodnej „sznur” inną piosnkę zanuci, a panna Berta będzie musiała tańczyć, jak jej świekra zagra.

— Daj Boże — zaczęła czwarta — aby to się wszystko dobrze skończyło. Nie chcę ust moich otworzyć do wypowiedzenia złego; ale zobaczycie, a potem powiecie, że to ja przepowiadałam.

— A ja wam mówię — rzekła piąta — że Berta zastosuje się we wszystkim do zwyczajów, jakie tam panują.

— Tylko nie do peruki — wpadła znów pierwsza. Kto ma włosy tak ładne, jak ona, nie daje ich sobie odebrać, by obce na głowę włożyć...

Tak rozprawiały kobiety w izbie weselnej, i temat ten stał się wnet przedmiotem rozmów i dyskusji na całej ulicy.

Gdy się wybierano do „chupy” (ślubu), matka wzięła na bok syna i szepnęła mu:— „Proszę cię, Josefie, twoja narzeczona może i nie pości w dzień ślubny? U niej wszak i to jest możliwem?”

— Pości, matko, pości uczciwie, możesz o to być spokojną—krzywdzisz ją swemi domysłami.

— Nu — odrzekła matka — już tak dalece miała-by być zła, żeby aż w dzień ślubny nie pościć? Ale pomyśl tylko, Josefie, twoja „kalle” (narzeczona) ma iść pod „chupę”, mając włosy na głowie! Oh, żem tego dożyła! Gdyby to odemnie samej zależało, tobym teraz, teraz jeszcze, wszystko rzuciła i do domu pojechała; niech robią wesele bez narzeczonego.

— Nie rozpoczynaj-że, matko, na nowo — błagał syn.— Wierzaj mi, miałem już dosyć dziś tego rano; pół zdrowia straciłem.

— Myślę, co myślę — rzekła matka, więcej dla uspokojenia siebie, niż syna. Na prawdę, jak to Blümele mówiła — żelazną głowę ma to dziecko — bądźmy cierpliwymi, aż w zdrowiu do domu przyjedziemy, a potem zobaczymy, kto jest panią w domu: ja, czy ona.

— W domu możesz robić co ci się podoba — rzekł Josef — nie rób tylko tu więcej rejwachu, i nie złość się, bo mi wstyd doprawdy.

Matka przyrzekła, że się spokojnie zachowa, i na tem tajna rozmowa syna z matką skończyła się.

Odbyła się bez przeszkody „chupa”, a następnie wieczorem wielka uczta weselna. Lecz brakło już tu owej szczerzej wesołości, jaka zwykle uczty godowe cechuje. Wino, muzyka, wywoływanie prezentów ślubnych przez trefnisia, poczęści wprawdzie odganiały złe duchy, lecz główne postacie, a najbardziej matka nowożeńca, nie wychodziła z posepnego swego nastroju. I tańce po wieczery nie były zbyt wesołe i nie długo trwały, tak, że o północy pustki już panowały w lokalu weselnym, a „serwery” (kredencarze) tylko zajęci jeszcze byli uprzątaniem naczyń stołowych.

Następnego dnia przed południem, po chłodnych pożegnaniach, wyruszono w drogę. Józef zabrał ukochaną swą Bertę do nowe jdlu niej ojczyzny. I ojciec jej tam towarzyszył.

W miasteczku stały grupy mężczyzn, kobiet i dzieci, oczekując powrotu godowników. Wieść o tem co zaszło w dzień ślubny, już ich była wyprzedziła, i każdy pałał ciekawością zobaczenia, czy to prawda; każdy na własne oczy chciał widzieć, czy synowa Małki istotnie śmieć będzie z własnymi włosami, jak dziewczyna jakaś, do miasta wjechać.

Bardziej jeszcze ludzie byli ciekawi, jak sobie po-bożna świekra w takim razie postąpi, gdyż nikt nie przypuszczał, aby niesłychany ten występki biernie przyjmowała, lub przyzwolenie swe na to dała. Cie-

kawość była nadzwyczajną, i ciekawe też prowadzone były o tem rozmowy na ulicy.

Dom, w którym córka reb Zeliga R. odtąd zamieszkać miała, stał w przedniej części ulicy, i był jak inny parterowym. Niemniej jednak był czystszy i okazałszy od innych; we środku frontu dwoje drzwi oszklonych prowadziły do dwóch oddzielnych lokali, z których jeden, na prawo, stanowił mieszkanie matki, drugi zaś przeznaczony był na mieszkanie dla młodego stadła.

Berta zajęta była wypakowywaniem rzeczy z kufów i umieszczaniem kosztowności sprowadzonych w szafach. Pomagała jej w tem gorliwie miła Blümele, która z całą dziecięcą serdecznością do bratowej się przywiązała i ani na krok od niej się nie oddalała. Od czasu do czasu zaglądała także świekra, by zobaczyć, czy wszystko należytem idzie porządkiem. Lubo w sercu żywiła żal ciężki, jednak religja i gospodarstwo to są dwie odrębne rzeczy, a ostatecznie szło wszak o urządzenie jej syna.

Tak tedy zajrzała znów do pokoju synowej, i okiem badawczem rozejrzawszy się do koła, szybko wyszła, bez powiedzenia słowa nagany lub pochwały. Po sposobie zaś, jakim drzwi za sobą zatrzasnęła, łatwo było poznać, iż dostrzegła coś takiego, co niechęć jej w wysokim stopniu wzbudziło. Jakoż, wnet wzięła na bok syna i w te przemówiła do niego słowa: — „Powiedz mi tylko, co to za mężczyzna, którego sobie tam nad łóżkiem zawiesiła?”

— Mężczyzna? — zapytał Józef, i lekki rumieniec wystąpił mu na twarz. Znał on zbyt dobrze swą młodą towarzyszkę z lat jeszcze przed zaręczynami — była ona zarówno piękną, jak skromną — by mógł niegodną o niej myśl jaką nawet przypuścić. Pytanie jego „Mężczyzna?” miało zatem pewien odcień zdumienia i obrazy zarazem.

Matka zaś ciągnęła dalej: — „Musi to być obraz jakiegoś świętego, bo tak ze swemi długimi włosami

wygląda. Okiem tylko nań rzuciłam i miałam już dosyć. Proszę cię, wejdz i dowiedz się, co to ma znaczyć, bo czegoś podobnego nie ścierpię w żydowskim swoim domu.

Po tem wyjaśnieniu Józef swobodniej odetchnął i lekki rumieniec znikł mu z lica. — Reb Zelig R. nadszedł właśnie, gdy Małka ostatnich słów z wielkim naciskiem domawiała.

— Cóż to takiego? — czego nie ścierpicie? — zapytał reb Zelig łagodnie.

— Kochany teściu — rzekł Józef — co to za mężczyzna — za obraz, chciałem powiedzieć — co moja Berta nad łóżkiem sobie zawiesiła?

— I to jest czego cierpieć nie chcecie w waszym żydowskim domu? — rzekł reb Zelig, śmiejąc się serdecznie — komedja doprawdy. Tak jesteście jeszcze zacofani, że nie wiecie nawet, co to za obraz?

Matka i syn spoglądali na mówiącego wielkimi oczyma.

—Wszak to Fryderyk Szyller!\*) — rzekł r. Zelig, śmiejąc się wciąż.

Nie można było twierdzić, by nazwa ta była odpowiednią do rozproszenia wątpliwości matki i syna; lecz śmiech reb Zeliga tak ich zdekongertował, że wstydzili się nawet zapytać: kto to jest ten Fryderyk Szyller? — Małka atoli, prędko oprzytomniawszy, rzekła: — „Tak, tak, to się zowie świat, w którym obecnie dla wielkich grzechów naszych żyjemy. Same nowe mody. W poczciwym żydowskim domu zawiesić jakiegoś tam Fryderyka Szyllera! W poczciwym domu żydowskim bywało zawieszano sobie „Mizrach” (wi-

---

\*) Jak wiadomo, przed niewiele jeszeze laty wstecz, w wielu domach żydowskich u nas młodzież kształciła się przeważnie na niemieckiej literaturze, a głównie na utworach poetycznych Szyllera, który największej czci w tych kołach używał.

zerunek wskazujący stronę wschodnią), a jeśli już koniecznie kogoś, to reb *Akiwę Eigera*, lub „Nasielskiego” (niegdyś rabina warszawskiego), pamięć sprawiedliwych niechaj będzie ku zbawieniu! To są osoby, które prawdziwie do domu żydowskiego passują. Ale co tu ma do czynienia taki Fryderyk Szyller? Czy to był jaki pobożny człowiek?

— Machtenis! — odrzekł reb Zelig R. — możecie co do obrazu być zupełnie spokojną. Ten Szyller był to bardzo pobożny człowiek, to jeden z mędrców narodów świata, i jego obraz może tak dobrze być zawieszony, jak rabi Akiwy Eigera, lub „Nasielskiego”.

— Lehawdil! (do odróżnienia) — wtrąciła szybko Małka.

Ale reb Zelig ciągnął dalej: — „A grzech, jaki mniemaniem waszem córka moja popelnia zawieszaniem tego obrazu w swoim pokoju, biorę na siebie.

— Bierzecie grzech ten na siebie „*Mechuten!*” — rzekła kobieta z ironicznym uśmiechem. Jeślibym was nie obraziła, to powiedziałabym jeszcze, że dla was Berta nie potrzebuje także peruczki włożyć i może własne nosić włosy. Czy i ten grzech bierzecie na siebie?

— Co jedno ma do drugiego? — odparł reb Zelig. Inna rzecz obraz, a inna własne włosy. Powiedziałem już wam, jak się na tę rzecz zapatruję. Jeśli moja córka zechce perukę włożyć, to nie mam nic przeciwko temu, a jeśli nie, to drugie dobre. Zostawiam to jej samej — do spraw kobiecych nie mieszam się.

— Sprawy kobiece! odparła Małka — więc dobrze, więc my kobiety same między sobą rzecz tę załatwimy. U was w domu musiałam ustąpić. Czemu? bo nie chciałam wesela zakłócić. Teraz zaś musi to się stać inaczej. Przysięgam wam więc na moje zdrowie, że przed sabatem jeszcze musi sobie dać włosy odciąć, albo nie pozwolę, by w sabat do „szkoły” (bóżnicy:) poszła; nie dam jej tam wejść, by wyglądała jak

dziewczyna jaka, i żeby mnie i jej lata przeklinano, w twar zplwano. A zasłużyłabym na to, gdybym mego dopuściła.

— Słuchajcie co wam powiem — zaczął teraz reb Zelig głosem nieco donioślejszym. Mówiłem, że nie mięszam się do spraw kobiecych i przy tem obstaję. Ale nie ścierpię także, byście jakiś mus na córkę moją wywierali. Wy tak samo nie macie prawa mięszać się do sprawy jej włosów, co ja...

— Jakto nie mam prawa się mięszać?

— Cierpliwości tylko, cierpliwości, dajcie mi dokończyć. Oto, możecie wszelkich łagodnych używać środków, możecie ją perswadować, prosić, nakłaniać — jeśli was usłucha, to dobrze, a jak nie, to zostawcie ją w spokoju. Jeśli się zaś na to nie godzicie, to moja Berta powróci wraz ze mną do domu. Biorę ją z sobą, a gdzie dotychczas nie była zbyteczną, tam i nadal nią nie będzie.

— Czemuście tego nie mówili przed „chupa?”

— Czemu? — powiem wam. Ponieważ sądziłem, że po odbytem weselu zreflektujecie się, przyjdziecie do rozsądku i można będzie z wami rozsądnie pomóc. Owóż, powtarzam to raz jeszcze, a szczególnie tobie, Józefie, powiadam to, tyś moim zięciem do stu lat, a Berta jest twą żoną. Wy oboje kochacie się i między sobą już się porozumiecie. Ale jak skoro usłyszę, że córka moja z powodu własnych włosów doznaje jakiego musu, to przyjadę i odbiorę ją. To mówię, a ci co mię znają, wiedzą dobrze, że umiem dotrzymaść tego, co przyrzekam.

Energiczna ta mowa nie mogła nie sprawić wrażeń na świerze, a bardziej jeszcze na Józefie, który starał się unikać tego wszystkiego, coby teścia zniechęcić mogło, i dla tego w jego obecności wyzyskał na matce przyrzeczenie, że żadnych innych względem synowej nie użyje środków, jak tylko tych, które teść za dozwolone uznał.



— Namawiać ją — możesz, kochana matko — rzekł Józef — i ja ją będę nakłaniał, ale nie z nożycami w ręku.

Tak stały rzeczy, gdy sabat nadszedł i pobożna Małka dożyć musiała tego wstydu, że synowa jej, jak dziewczyna jakaś, z własnymi włosami poszła do synagogi.

Zajście to niemałą wywołało sensację w miasteczku. Było to coś niesłychanego. Nigdy jeszcze, odkąd gmina istnieje, coś podobnego nie wydarzyło się. Zdumienie, gniew i oburzenie naprzemian malowały się na wszystkich twarzach w bóżnicy mężczyźni i kobiety. Wprawdzie, nie plwano jej w twarz, jak tego Małka obawiała się, lecz co o niej mówiono, stwierdzało najzupełniej złowrogie proroctwo świekry, że przeklinać będą jej i synowej lata. Kilku tylko było dosyć rozsądnych, co nie czynili świekry odpowiedzialną za grzech synowej; inni mniej byli pobłażliwi i twierdzili, że oniby sobie już radę dali z uporem takiej grzesznicy. Jedni byli zdania, że należałoby, aby gmina wystąpiła przeciwko temu bezprawiu, by ono szerszych nie przybrało rozmiarów. Na dziś jest ona jedyną, co wykracza przeciwko prawu i zwyczajowi; ale jeśli się temu wczas nie poradzi, to później i inne za złym pójdą przykładem i cała gmina stanie się grzeszną. Mało tylko było takich, co odradzali mieszanie się do spraw prywatnych, gdyż każdy za grzechy swoje sam odpowiada. Większość była najzupełniej przekonaną o konieczności przedsięwzięcia czegoś przeciwko noszeniu własnych włosów, tylko niezgodną była, co do środków ku temu użyć się mających. Jeden twierdził, że trzeba, aby jutro w niedzielę rano zebrał się „kahał” (starsi gminy) i postanowił, że mężatce noszącej własne włosy nie wolno progu bóżnicy przestępować. Na to odpowiedziano, że środek ten chybiłby celu, bo jeśli kobieta jaka jest już tak zepsuta, że własne nosi włosy, to sobie także nic nie będzie robić z niechodzenia do bóż.

nicy, i owszem, rada będzie mieć wymówkę do siedzenia w domu i wyśmiewania takiego zakazu. Inny znów zrobił zarzut, że „kahał” nie ma prawa wydawać rozporządzeń w sprawach dotyczących religii — jest to rzeczą rabina, i dla tego wnosił, aby posłano do rabina z wezwaniem, by miał w bóżnicy kazanie przeciwko noszeniu własnych włosów. To prędzej doprowadzi do celu, gdyż każdy będzie wiedział o kim tu mowa, i żona Józefa, zmożona srogim wstydem, jakim spójrzania wszystkich kobiet ją okryją, włoży perukę. Podano jeszcze mnóstwo innych projektów, lecz żaden nie zyskał przyjęcia, i koniec końców nie uradzono. W miasteczku wzburzenie było wielkie; za to w domu Małki smutna panowała cisza. Większa część znajomych wstrzymała się zupełnie od wstąpienia w sobotę po południu ze zwykłym w takich razach powinszowaniem dla młodego stadła — ztąd przykre zdekongertowanie w domu. Małka nie mówiła, i inni milczeli. Pośród ogólnego tego wzburzenia, dwie istoty tylko, czując się wyższymi po nad drobnostkami tego świata, błogo do siebie wzajem się uśmiechały — była to Berta i Blümele.

Po odjeździe reb Zeliga do domu, stanowiska czterech postaci, główną tu rolę odgrywających, poczęło się jaśniej zarysowywać.

Matka Józefa była dobrą, pocziwą i pobożną niewiastą; ostatni ten przymiot tworzył raczej jej wadę niż enotę, była bowiem pobożną, nie z zasady, ale z przyzwyczajenia. To też nie знаła innej granicy dozwolonego i zakazanego, nad tę, do której długą praktyką się wzwyczaiała. Nie mogła wcale pojąć, aby się mógł znaleźć taki, coby inaczej myślał, czuł i postępował, niż ona. Aż oto ten wypadek jej się nawinął. To, czego nigdy nie przeczuwała, stało się teraz rzeczywistością — raziło ją jako fakt dotykalny. Gdyby szła bezwarunkowo za porywem swego serca, toby pobożność jej pewnie teraz wyrodziła się była w fa-

natyzm, bo uważałyby to sobie za czyn wysokiej zasługi względem Boga, zuchwały taki występek jakimibądź środkami wytepić. Pewnieby zwyciężyły nożyce, gdyby słowo okazało się bezskutecznem. Lecz energiczny ten środek był jej odciętym, bo przyrzekła swemu synowi żadnego rodzaju musu nie wywierać. O niedotrzymanie z jej strony słowa nie należało się niepokoić—słowo wyrzeczone było jej świętością. Była fanatyczną, ale nie nieuczciwą. Mogła żałować, że nieogłędnie słowo owo wyrzekła, że w chwili słabości prośbom syna uległa; lecz niezdolną była jednego grzechu drugim zmazać. Ten mus atoli, jaki sobie zadawała, bardziej jeszcze pogarszał jej zachowanie się względem synowej. Dopóki mogła się jeszcze spodziewać, że energją i stanowczością wolę swą przeprowadzi, a w ostatecznym razie synowę zmusi, dopóty zachowywała względem tejże, jeżeli nie dawną czułość, to całą miłość macierzyńską. Nie okazywała tego uczucia tak jawnie jak onego dnia, kiedy narzeczoną syna swego poraz pierwszy do serca przytuliła, ale chowała je w całej pełni w sercu, i z niecierpliwością oczekiwała chwili, kiedy odcięte włosy obalą szrankę oddzielającą ją od synowej. Wtedy dopiero okaże jej całą swą niepodzielną miłość. Lecz nadzieja ta zawiodła. Z danem przyrzeczeniem wyrzekła się wszystkiego, prócz perswazji, prostego słowa, a słowo zamierało jej na ustach, nie mogła go znaleźć. Gdyby po za słowem stała siła, mus, toby całego skarbu swej wymowy użyła, zanimby do represji się uciekała. Lecz gdy droga ta została jej odcięta, to i władzę mowy utraciła, bo wiedziała, że słowo jej nie poskutkuje. Synowa widziałyby w tych wysiłkach jeno dowód niemoicy energicznego działania. I świadomość ta gniołła serce poczciwej kobiecie, i usta jej zamykała. Milczała więc, i ztąd wywiązał się ów stosunek nieznośny, w którym znajdują się osoby rozdwojone, nieznajdujące słowa porozumienia. Matka milczała i tłu-

miła ból w sobie, a w miarę tego, jak zniką jej możność wpłynięcia na synowę, sam widok tejże coraz przykrzejsze budził w niej uczucia, a pierwotne przywiązanie zamieniało się w nienawiść. Tak, znienawidziła swą synowę i nie ukrywała się z tem wcale. W tem jawnem okazywaniu nienawiści widziała jedyny jeszcze środek ocalenia siebie, t. j. swej czci i renomy w mieście.

— Cóż mam czynić? — mawiała ilekroć nad położeniem się zastanawiała, a zastanawiała się dosyć często — coż mam czynić? Wpadłam w błoto, z którego wydźwignąć się nie mogę. Największe zło człowiek sam sobie wyrządza. Ja to byłam, co tak za tą partją obstawałam. Prawda, że spodobała się memu Josefowi, ale i coż? Dobre z niego zawsze było dziecko, a gdybym powiedziała: nie! toby jej nie pojął, choćby sto razy bardziej ją był polubił, i nie zamartwiłby się jeszcze przeto. Wielkie rzeczy! taką dziewczynę jak ona, znalazłby, zrobiłby jeszcze taką partję, jak z Bejlą R., która kazała się nazywać „panną Bertą.” Mniemam, a przynajmniej wmawiam to sobie, że Józef syn Malki nie potrzebowałby długo szukać; gdyby tylko rękę był wyciągnął, to miałby pięć za jedną. Znają mnie, z boską pomocą, w świecie, wiedzą kim jestem. Dwoje dzieci mam, oby mi żyły. Moja Blümele, licząca teraz lat 12, ma już cały swój *nedan* (posag) do grosza odłożony; dziewczę wyrasta i z dniem każdym staje się starsze. Komu kiedyś szczęście to będzie naznaczone, ten nie robi złej partji, bo to co w majątku posiadam, oboje kiedyś po stu latach między sobą podziela. Lecz człowiek jest ślepy, i dla wielkich moich grzechów koniecznie obstawałam za tą partją, jakby w całym kraju nie można już było dziewczyny znaleźć dla mojego Józefa... No, ale któż mógł coś podobnego przewidzieć?... Prowadziłaby u mnie życie jak księżniczka, na rękach-bym ją nosiła, gdyby tylko... Czyż mogłam to przewidzieć? Czy

jestem prorokiem Eliaszem? Zkąd mogłam wiedzieć, że własne włosy nosić będzie? Gdyby mi to kto naprzed był powiedział, że synowa moja, żona mego Josefa, własne włosy nosić będzie, tobym mu w twarz plunęła,—a teraz, teraz, niestety, muszę być kontenta, że ludzie w mieście mnie samej w twarz nie plwają. Palcami to już na mnie wskazują... Tak to człowiek sam sobie losy swe gotuje! Obym nie dożyła była chwili, kiedy ją poznałam!

Tak tedy dobra kobiecina zmuszoną była nienawidzieć, gdzieby rada była kochać; takim już był jej stan umysłowy, i takimi myślami i mowami starała się ból serca swego ukoić.

Obok tej to świekry stoi po drugiej stronie Berta, w obcym dla niej otoczeniu, ze swojemi nieprzystawającymi tu wcale poglądami i zwyczajami. Berta wychowaną była w domu rodzicielskim postępowo, ale niemniej w duchu religji ojców. Niektóre wprawdzie rzeczy, które tu w domu świekry uchodziły za nietykalne, w domu jej ojca (matkę wcześniej utraciła), nie miały już znaczenia; w ogóle jednak prowadzono dom ściśle żydowski. Berta wiedziała dobrze, że w „Pessach” nie wolno chleba jeść, że w „Sądny dzień” trzeba pościć, i t. p., bo do praktyk tych była od dzieciństwa przyzwyczajoną; lecz pojąć nie mogła, by dla takiej drobnostki, jak noszenie własnych włosów, co w rodzinnem jej mieście było już powszechnym prawie zwyczajem, robiono tu takie hałasy! Łagodna z natury, oswajała się łatwo z niejednym, co ją tu jako obce raziło, bardziej nawet okazywała się we wielu względach skłoną do ustępstw, niżli tego po niej oczekiwano. Lecz ustępstwo to ograniczało się jeno na zewnętrznych sprawach, które wewnętrznemu jej poczuciu nie ubliżały. Na świat jej myśli i uczuć żadnego zamachu nie dopuszczała; nad niemi czuwała gorliwie, jak nad powierzoną jej od Boga samego świętością. Ochoczo spełniała wszelkie życzenia świekry,

o ile o nich dowiedzieć się mogła od męża i bratowej; lecz co do własnych włosów była nieugięta, i najusilniejszym prośbom męża swego niezłomny przeciwstawiała opór.

Za pierwszym zaraz wybuchem rozterki między nią a świekrą w dzień ślubny—rozterki, która, dzięki interwencji wiernej Blümele, została chwilowo usunięta, młoda kobieta przysposobiła się już do walki ciężkiej. Gdyby Berta mniej była kochała swego narzeczonego, partja rozchwiałaby się w dzień weselny; bo ona była stroną obrażoną i wpierwby się cofnęła. Lecz potęga miłości odniosła zwycięstwo nad poszeptami obrażonej dumy, i tak poszła ochoczo za mężem, lubo przeczuwała, że ciężkie oczekują ją zapasy. Postanowiła sobie niezmiennie walkę tę ze świekrą podjąć, i wszelkimi możliwymi jej środkami wywaleczyć.— Tymbardziej musiała się dziwić teraz, że świekra zdawała się dać za wygraną, że się jej już nie odgraża, ani nawet łagodnych wyrzutów nie czyni. Berta zachwiała się. Przez chwilę mniemała, że stara kobieta wreszcie sobie rzecz przełożyła, i uznawszy niewłaściwość poprzedniego swego postępowania, pragnie je teraz wynagrodzić, pokrywając całą nieprzyjemną sprawę osłoną milczenia. Nie długo jednak mogła temu złudzeniu się oddawać—była na to zbyt rozsądną. Zagadkowe zachowanie się świekry, zupełne jej umilknięcie, musiało ją wnet przywieść do uznania, że niechęć niewyłamująca się nazewnątrz, tym silniej się skupia wewnątrz, że walka, którą dla jakichbądź powodów nie chcą jawnie prowadzić, tym zacieśniej prowadzoną bywa pokryjomu,—uczucie jej to mówiło, że kobieta, która niedawno z taką miłością do matczynego serca ją tuliła, teraz nie jest już jej matką, jej przyjaciółką, ale stała się jej nieprzyjaciółką. Uczucie to bolało ją niezmiernie, gdyż w głębi swej duszy nie poczuwała się do żadnej winy.

— Cóżem takiego przekroczyła?—mawiała sobie,

ilekroć nad położeniem swoim w domu świekry się zastanawiała. Nie chce sobie dać włosów odciąć! Czy to istotnie takie wielkie przestępstwo? Czy noszenie własnych włosów jest rzeczywiście tak wielkim grzechem, jak to tu utrzymują? — Czemuż to u nas nie uchodzi już za grzech? Mnóstwo znanych mi młodych kobiet, z pobożnych nawet domów, nosi już u nas własne włosy! Czemuż mój ojciec nie zwrócił mi nigdy na to uwagi, czemu ani słowem nigdy mię na to nie przygotował?

Prawda, że pierwszej zaraz soboty po mem tu przybyciu, wywołałam wielkie wzburzenie w mieście; być może, że ludzie ci przeklinają mię, że nie chcę w moich „czterech łokciach” stać, i Bóg wie coby mnie zrobili, gdyby nie szacunek dla mego męża i mei świekry. Wszystko to prawda, przyznaję, i w mojej mocy to leży jednym zamachem wszystko to zmienić — mam tylko włosy dać sobie odciąć. Ale czyć mogę to uczynić? Wiem, że na rękach by mię tu nosili, gdybym ustąpiła; moja świekra niebo mi naginała, a mój mąż uważałby się za najszcześliwszego człowieka na świecie. Czyż nie wiem o tem wszystkim? Ale co to pomoże?... Nie mogę tego uczynić, nie mogę, choćby nie wiem co gadali i robili... Mówią, że to z mej strony tylko próżność. Bóg wie, że tak nie jest. Na co mi teraz być próżną? Nie byłam nią panną będąc, mam nią być teraz? — Chcę-li innym mężczyznom, prócz mego męża, się spodobać? Jemu zaś wszak bardziej bym się podobała z obcemi włosami. Pocobyłm miała być próżną? — Zarzucają mi także, że jestem uporną, że jedynie dla postawienia na swoim, nie wkładam peruki na głowę. Czyż byłam kiedykolwiek uporną? A czy nie ustępuję tu we wszystkim, czego odemnie żądają? — Czy oswajając się ze wszystkim, co tu jest zwyczajem, daję choć poznać, że to mię razi jako obce? Czemużbym tylko co do włosów miała ten upór okazywać? Nie, tak złą z natury nie jestem. W serce mo-

je nikt tu nie zagląda—jeno dziecko. Blümele mię zna, ona jedna odgadła, czemu sobie włosów nie daję odciąć—wie ona, że nie cierpię na sobie nie fałszywego...

Nie, nie uczynię tego, niech mówią i robią co chcą; tak jak we mnie nic fałszywego nie ma, tak i na sobie fałszu nie zniosę. Z fałszywemi włosami uważałabym siebie samą za inną zupełnie. Nie włożę sobie kłamstwa na głowę—nienawidzę takiego kłamstwa, podobnie jak wymówionego, nie znam różnicy między fałszywym słowem a fałszywym czynem... A gdyby—przysięgam to sobie w mej cichej samotności—gdyby, Boże uchwaj, do tego miało dojść, że mąż mój byłby zmuszony zemną się rozwieść, jakkolwiek kocham go całą duszą, tobym się nie poniżała do kłamstwa włożenia obcych włosów na głowę, i wołałabym raczej pójść ztąd, gdzie mię oczy poniosą, w daleki świat...

Z takimi myślami i uczuciami Berta stawiała w opozycji ze swą świekrą. W pośrodku między oboma kobietami, stał Józef. Po jednej stronie—matka prawowierna, która nie ustępowała ani kropki nad i, gdzie szło o rzeczy religijne; po drugiej stronie—młoda, piękna, łagodna, ale pełna energii woli kobieta, która do żadnej winy się nie poczuwała. On sam, dobry syn, kochający mąż, najlepszy człowiek w świecie, ale słabego serca i najmniej zdolny do godzenia zwaśnionych,—lecz jemu, jako synowi i małżonkowi, rola pośrednika z samej natury przypadła. Znajdował się w kłopotliwym niezmiernie położeniu. Żonę swą kochał z całym żarem młodocianego serca; matce swojej był zawsze posłusznym synem. Po jednej stronie przyciągała go miłość do pięknej kobiety, na której widok serce mu z radości biło; po drugiej, z wychowania i zwyczajenia musiał żądanie matki za słuszne ze wszech miar uważać. Gdyby Józef był człowiekiem silnej woli, gdyby posiadał energję matki swej lub żony, rzeczyby inną przybrały postać. Na którąkolwiekby



stronę się przechylili: czy miłość odniosłaby zwycięstwo nad wkorzonymi pojęciami, czy te ostatnie byłyby dość silne, by miłość przemódz, w każdym razie rzeczby się rozstrzygnęła: wywiązałyby się walka, albo między matką a synem, albo między mężem a żoną, a strona, po której onby stanął, wreszcie wzięłaby przewagę. Lecz takim Józef nie był. Słabego był charakteru, i brakło mu odwagi do walki. Tak tedy stał bezporadny pośród dwóch energicznych charakterów, rzucany jak piłka dziecinna, to w tę to w drugą stronę. Gdy był przy żonie i spoglądał jej w modre oko, z którego niebo całe mu świeciło, wtedy nie istniało dlań na ziemi nic, jeno ona, ukochana, która całe szczęście jego życia tworzyła; wtedy postanawiał sobie wprawdzie, że stanowcze słówko z matką raz pomówi, lecz u słabych charakterów inna jest rzecz postanawiać, a inna wykonywać; potrzebował tylko spojrzeć na matkę, by być zgromionym jej bystrem, przenikającym wejrzaniem, tak, że daleki od tego, by w obec niej stronę żony trzymać, rad był raczej, że sam gorzkich nie odbiera wyrzutów.

O ile to w jego mocy leżało, czynił wprawdzie wszystko — pośredniczył dobrocią. Nadaremnie atoli. Nie razy namawiał żonę do powolności dla matki, słuchala go łagodnie i potulnie, każde jego żądanie było dla niej prawem. Gdy jednak ośmielony temi sukcesami dotknął najważniejszej kwestji—odeięcia sobie włosów —ntedy trafiał na niepokonany opór i wszystkie jego usiłowania okazywały się płonnemi.

Gdy znów był u matki i opowiadał jej, jak żona we wszystkim jest mu powolną i posłuszną, wtedy matka tylko ramionami wzruszała i stała, odpowiadała zwrotką: „Ale własne włosy!”

Jakieśmy to już opowiedzieli, matka wzięła to za złe, że Berta zawiesiła w swym pokoju jakiegoś tam Szyllera, a nie takiego rebi Akiwy Eigera, lub Nasielskiego. Józef, dobry syn, zachował to sobie w pamięć

ci. W parę tygodni później, będąc w W. kupił u jakiegoś księgarza na Fr. ulicy zakopane i zbutwiałe portrety obu tych sławnych rabinów i wróciwszy do domu, zrobił z nich swej żonie niespodziankę.

— Nie zgadniesz, kochanie—com ci dziś z W. przywiózł!

— Jakże mogę zgadnąć—odrzekła Berta—ale bądź co bądź, jako prezent od ciebie, będzie mi to zawsze miłem i cennem.

Józef odsłonił oba portrety.

— Masz tu nad swem łóżkiem obraz człowieka, którego tu nie znają; oto, przywozłem ci dwóch mężów, które lepiej pasują do żydowskiego domu.— I przy tych słowach objawszy żonę, wycisnął jej na czole i ustach gorący pocałunek.

— Już się oni z tym tu pogodzą—odrzekła młoda kobieta z uśmiechem.

Nazajutrz Józef ujrzał obu pobożnych rabinów w ramach i pod szkłem zawieszonych wprost Szyllera... Pełen radości pobiegł do swej matki, by donieść jej miłą nowinę.

— Widzisz, droga matko!—rzekł syn dobry. Mnie-masz zawsze, że Berta jest złą, że niema w niej ani żyłki żydowskiej. Gdybyś jednak zechciała pofatygować się do jej pokoju, tobyś serdeczną miała radość, widząc jacy dwaj piękni rabini spoglądają ze ściany: rabi Aki-wa Eiger i Nasielski, pamięć sprawiedliwych niechaj będzie ku zbawieniu!

— Świat mi się stał lekkim!—odparła matka z gorzkim uśmiechem—bogata jestem jak król! Cóż ja mam z tych dwóch pięknych rabinów, kiedy niestety ze ściany swej patrzeć muszą oni na mężatkę, która własne włosy nosi!

Zasmucony syn odszedł.

Berta przyzwyczajoną była o czwartej popołudniu pić kawę. W domu świekry podawano kawę mleczną dopiero o szóstej; stara dewotka ściśle przestrzegała

sześciogodzinnej przerwy, jaka! według rabinicznych przepisów, leżeć musi między pożyciem mięsnych i mlecznych pokarmów. Berta chciała i tu według swego zwyczaju o 4-ej pić kawę. Matka miała za to do syna dosyć gryzących przycinków w pogotowiu. Ale jedno słowo Józefa starczyło, by nakłonić Bertę do przyjęcia miejscowego zwyczaju. Oznajmił to matce, spodziewając się słowa uznania.—daremnie!

— Niech jada kiedy chce — odrzekła matka. O szóstej dopiero piją kawę? Świat mi się stał lekkim!.. Ma może o czwartej z mlekiem jeść? Własne włosy, własne włosy ma na głowie — kobieta zameżna!

W wigilję pierwszego dnia miesiąca (Roschodosz), — Berta zajęta była jakąś robotką — gdy wszedł do jej pokoju szkolnik (posługacz synagogałny) i postawił koszyk na stole. W koszyku znajdowały się przeróżne szmatki jedwabne we wstęgi zszyte (t. z. mappy). Berta spójrzała na przybysza z zadziwieniem — nie wiedziała co ten dziwny dar ma znaczyć; obawiała się, czy czasem nie ukryta tu jakaś ironja.

— Przyjdę później po *mappy* — rzekł szkolnik — i oddalił się. We drzwiach wchodowych stała właśnie Małka.

— Zdaje się, iż nie wie nawet co robić z *mappami* — mruczał szkolnik do siebie, tak jednak, że stara mogła go dosłyszeć.

— Co mówicie? — zapytała.

— Myślę — odrzekł szkolnik — że wasza „sznur” nigdy może w życiu nie miała *mappy* w rękę; przyniosłem tu jej parę mapp do zwinięcia, to spójrzała na mnie jak na raroga.

— Słuchajcie — rzekła stara — jak tu powrócicie, wstąpcie do mnie i dajcie mi znać, co zrobiła z *mappami*, czy je porządnie zwinęła, czy nie. Słyszycie?

Rozmawiający nie wiedzieli, że ktoś ich przypadkowo podsłuchuje; był to Józef, który stojąc przy otwartem oknie pokoju matki, rozmowę jej ze szkol-

nikiem uchwycił.— „Dobrze—pomyślał sobie—postaramy się plany te zawczasu zniweczyć” —i poszedł do żony.— Ta opowiedziała mu, nie bez zakłopotania, o odwiedzinach szkolnika i szczególnym jego prezencie. Dobry mąż z uśmiechem wysłuchawszy relacji żony, rzekł:

— Cóż ci, dziecko, do głowy przychodzi! Nie powinnaś znów we wszystkim widzieć jakieś podstępne zamachy. Czy nie wiesz, że jutro *Roschodesz*? U nas w gminie istnieje zwyczaj, że w wigilję *Roschodesz* szkolnik chodzi po mieście z koszykiem pełnym mapp i daje je do zwinięcia kobietom.

— Ale cóż to są te mappy?—zapytała młoda kobieta.

— Tego nie wiesz? — rzekł Józef — są to wstęgi, które używają się w synagodze do obwijania świętej Tory (rodalów).

— I po co przynosi to szkolnik kobietom?

— Dla tego, że chce parę groszy zarobić, każda mu coś daje za to.

— Tak? — rzekła Berta — więc i ja może to potrafię. I biorąc w rękę jedną z tych mapp, zwinęła ją zgrabnie, jak się zwykle wstążkę na motku zwija.

— Slicznie to robisz — rzekł Józef, i z wesołym uśmiechem odszedł, ciesząc się już z góry tryumfem, jaki żonce swej przygotował.

W parę godzin później zjawił się znów szkolnik i odebrał od młodej kobiety należycie zwinięte mappy, wraz z hojnym datkiem. Józef czekał już w izbie matki na nadejście szkolnika.

— I cóż? — zapytała Małka z ironicznym uśmiechem.

— Nu — odrzekł szkolnik — obym tak żył, iż w całym mieście żadna kobietka ładniej nie zwinie „mappy” od waszej „sznur”, a pieniądze otrzymałem, żebym to codzień zarobił!

— Cóż to takiego? — zapytał Józef — udając jakoby o niczem nie wiedział. O czem to mowa?

— Patrz pan — rzekł szkolnik — jak doskonale żona pańska zwija mappy, jakby przy tem wyrosła.

Szkolnik odszedł i twarz Józefa promieniała radością.

— Widzisz więc — rzekł zwracając się do matki — nie jest ona tak złą, jak mniemasz; zna „jüdiszkeit” (zwyczaje żydowskie) więcej niż to chcesz wierzyć. Sam bym zaprawdę nie przypuszczał, by wiedziała, co z temi *mappami* robić.

— Idź, daj mi pokój — odrzekła matka z niechęcią, nie zawracaj mi głowy! Świat mi się stał lekkim! Wie jak mappy należy zwijać! Bogatą jestem jak król! To zna u nas każda dziewczynka. I to chcesz także za rzecz ważną mi podać! Własne włosy nosi, kobieta zameżna!.

Że łzami w oczach zasmucony syn odszedł.

Efraim Kohn przywołany był w sobotę do Tory; przy tej sposobności zmówił błogosławieństwo, jakie zwykle się zmawia po uniknięciu wielkiego niebezpieczeństwa. Efraim wstał właśnie z wielkiej choroby. Jentla, żona jego, sporządziła sobie na ten sabat nową suknię. Podczas gdy w bóżnicy mężczyźni wyzdrowiały recytował przy rodalach błogosławieństwo, na górze w bóżnicy kobiecej, wszystkie kobiety cisnęły się do Jentli, by jej powinszować nowej sukni. Jedna z kobiet pozostała spokojnie na miejscu, jakby cała ta sprawa nie ją nie obchodziła. Była to Berta — synowa Małki. Zachowanie się jej budziło ogólne nieukontentowanie. Przypisywano to jej dumie i nietowarzystkości.

— Wmawia sobie wielkie rzeczy, że własne włosy nosi! — zauważyła jedna.

— I cóż za nieszczęście by się stało, gdyby wasza „sznur” pofatygowała się była parę kroków do Jentli, by jej powinszować? — zwróciła się druga do Małki.

— Nogi by jej pewnie nie odpadły — dodała trzecia. Małka nie wiedziała gdzie się ma podziać ze wstydu.

Ja to miały spotkać takie zarzuty!... a nie mogła zaprzeczyć, że kobiety miały słuszość.

Zżymając się z gniewu, wróciła po nabożeństwie do domu. Ponieważ z synową nie mówiła, i do pokoju jej nigdy nie wchodziła, cały więc gniew jej spadł na niewinną głowę syna.

— Zwaśni mię jeszcze z całym miastem — zaczęła — to umartwienie, jakiegom dożyła! Żeby to o mnie takie rzeczy miano powiedzieć! A ja, Małka, miałabym to znosić i milczenie zachować! Ale kto ma masło na głowie, niechaj pod słońce nie idzie. Co, czy nie mają racji kobiety?

— O co idzie? — zapytał syn nieśmiało.

— O co ma iść? — Spytaj się żony swojej: coż takiego jej zrobiła Jentla Kohn, że nie poszła jej powinszować nowej sukni?

— I to jest wszystko? — zapytał Jozef.

— Jeszcze ci mało tego? Ma ona może kamienie z sobą wziąć do bóżnicy i kobietom w głowy ciskać?

— Nie widzę w tem winy — poważyl się odpowiedzieć — ona tu obca, nie zna jeszcze zwyczajów tutejszych. Zkądby miała wiedzieć, że Jentla Kohn nową suknię włożyła?

— Zkądby miała o tem wiedzieć? Co to za mowa? A zkąd wiedzą o tem inne kobiety? Czy ślepa ona, czy nie widzi co w bóżnicy się dzieje, że wszystkie kobiety idą winszować? Czemu ona jedna siedzi jak namalowana i nie rusza się z miejsca?

— No — odrzekł syn — raz to nie, nie powtórzy się to więcej. Już jej powiem co ma czynić, a mnie we wszystkim usłucha.

— We wszystkim? — odparła matka z ironją.

— Zobaczysz, kochana matko! Drugi raz, jak kobieta jaka włoży nową suknię, to wraz z innymi pójdzie jej powinszować.

— Szczęście wielkie — odrzekła stara — pójdzie powinszować! Bogatą jak król jestem! Świat mi się stał

lekkim, że mi to obiecujesz! Niech pójdzie winszować, lub nie pójdzie. Niech robi jak chce. Kto tu o nią dba i o jej winszowanie? I co ona robi w bóżnicy? po co tam chodzi wcale? Siedzi i ogląda się do koła. Inna kobietka jak już pójdzie do bóżnicy, to weźmie z sobą *tchine* (książkę do nabożeństwa) i pomodli się. A co ona czyta? — same niemieckie książki, tego tam Szylera, którego ma u siebie na ścianie. Obym nie dożyła była widzieć cię z nią pod *chupą!*.

Obiad był biednemu Józefowi goryczą zaprawiony.

W parę tygodni później wróciwszy z W., przywiózł żonie książkę, jaką dla niej tam zakupił. Była to *Tchina*, ów modlitewnik dla kobiet żydowskich, ułożony w żargonie i hebrejskimi czcionkami wydrukowany.

— Przywiozłem ci *tchine* — rzekł — abyś idąc w sobotę do bóżnicy nie potrzebowała wziąć z sobą niemieckiej książki.

Odtąd Berta zabierała z sobą co sobotę *tchine* do bóżnicy, i czytała z niej to tę, to ową modlitwę; właściwych zaś modłów swoich nie potrzebowała z żadnej księgi drukowanej czytać — dyktowała je własna jej myśl, własne uczucie; i nigdy może czystsza nie wznosiła się modlitwa ku niebu, jak ta, która z niewinnego serca tej młodej niewiasty pływała.

— A co, matko droga, cóż ty na to, że ona tak pilnie z *tchine* czyta? — pytał Józef. — Dobra to zaprawdę dusza, która wszystko robi, czego od niej żądają.

— I cóż masz ty z tego, że ona z *tchiny* czyta? Bogatą jak król jestem. Świat mi się stał lekkim. Czy czyta z *tchiny*, czy nie czyta? Wielkie rzeczy! Kobieta co z kudłami na głowie, jak dziewczyna jakaś, wchodzi do domu Bożego — pożał się Boże! Czy możesz przypuścić, aby Najwyższy wysłuchał modlitwy, jakie doń zasyła kobieta, co własne włosy nosi?

— Bóg tylko w serce patrzy! — rzekł Józef.

— A na włosy nie? — dodała matka — I na włosy, wierzaj mi! On na wszystko patrzy.

Józef nie miał nic na to do odpowiedzenia. I jak

zwykle położył koniec niemiłej rozmowie, oddalając się.

Zbliżała się pamiątkowa uroczystość *Purym*. W sądny dzień Berta pościła jak inne kobiety w mieście. Od tego uroczystego dnia zaś upłynął inny jeszcze dzień postu — dziesiąty dzień miesiąca *Tewes* — dzień, w którym zaczęło się oblężenie Jerozolimy. Ten post Berta nie ściśle obserwowała — pościła tylko do południa. Świekra wtedy nic o tem nie mówiła — myślała w duchu co myślała. Ponieważ zaś radosne święto *Purym* poprzedza post *Estery*, stara więc wzięła na bok syna, mówiąc:

— Nie wiesz czasem, co za marcypany przygotowuje ona sobie na obiad w post *Estery*?

— Nie rozumiem cię, matko — odrzekł syn pytając.

— No, myślę, że z boską pomocą nie pójdzie z próżnym żołądkiem do *Megily*! (czytania kroniki o Ahaswerze i Hamanie).

Syn zrozumiał przycinek.

— Bądź spokojną! — odrzekł — zobaczysz, pościć będzie jak się należy.

— Uwierzę w to, jak zobaczę — odrzekła stara.

Józef nie zawiódł się, wiedział, co w imię żony swej może zapewnić.

— Biorą ci za złe, moje dziecko — rzekł do niej — że w post dziesiątego *Tewes* jadłaś w południe.

— Żałuję tego — odparła Berta — ale zkądem mogła wiedzieć, że mi to za złe wezmą?

— Nie mówię ci tego z powodu przeszłości — ciągnął Józef dalej, — ale gwoli przyszłości. W następnym tygodniu mamy post *Estery*.

— Więc będę pościła! — rzekła Berta.

— Wiedziałem z góry, że to uczynisz — rzekł on uradowany, ściskając czule młodą swą towarzyszkę.

Gdy w dzień *Estery* po odczytaniu *Megily* wra-



cano do domu i spoglądano na niebo, czy nie widać już trzech gwiazd, za ukazaniem się których wolno się czem posilić, Józef rzekł do matki. — „Widzisz więc co za marcypany na obiad sobie przygotowała!”

— Albo co, może pościła? — rzekła matka z niewiarą.

— Obym tak żył, jak pościła—caluteńki dzień.

— Ba — odparła stara — wielkiej sztuki dokazała! — pościła.—Świat mi się stał lekkim. Taki dzionek zimowy, zaledwie się obrócisz już go nie ma. Oby lepiej na *Purym* zamaskowała się na uczciwą żydówkę i włosy sobie odcięła; byłoby to więcej warto, niż całe tam poszczenie. Dla mnie mogła i jeść! Bóg bardzo dba o jej poszczenie!

I tak szło z kolei. Nieledwie każdy dzień w roku dał powód do scen podobnych. Matka znajdowała zawsze coś do zganienia nienawidzonej synowej, a gdy syn tryumfująco przychodził jej oznajmić, że żądanie jej co do joty zostało spełnionem — wszystko to znowu nie nie znaczyło i z nieubłaganym wyrzutem własnych włosów, syna odprawiała. Tego punktu stara nigdy z oczu nie traciła i to właśnie stanowiło u młodej szkopuł, o który wszelkie wysilenia Józefa się rozbiły. I tak stał on między matką i małżonką bezpo-radny, bez własnej woli, bez odwagi w duszy i bez energii w działaniu.

Lecz nie on jeden stał pośrodku między obiema niewiastami; przy nim znajdowała się miła jego siostrzyczka, z tą tylko różnicą, że Blümele nie chwiała się jak on, ale stanowczo stronę bratowej wzięła.

Od samego początku dziewczę przywiązało się do narzeczonej brata. Walka, jaką w domu cicho, ale bezustannie prowadzono, bardziej jeszcze to przywiązanie dziecięce wzmacniała. Czyste, nieklamane uczucie pociągało Blümele na stronę atakowanej, cierpiącej. Lecz musiałaby być starszą, by waśń domową usunąć, by otwarcie sprawy bratowej bronić; miała zaś

dopiero lat trzynaście, a lubo umysłowo przewyższała nawet starsze od siebie dziewczęta, zawsze jednak uważaną jeszcze była za dziecko, które do takiego rodzaju spraw starszych mieszać się nie powinno. Raz matka usłuchała jej porady — było to w dzień ślubny syna; matka teraz często tego żałowała i nieraz jej to wyrzucała.

— Gdybym wtedy ciebie nie była usłuchała — toby do tego wszystkiego nie przyszło...

Zarzut ten słyszała Blümele od matki częściej, niż jej to mogło być przyjemnem, i nie miała nic na to do odpowiedzenia — przepowiednia jej w dzień ślubny, że Berta po weselu wszystko będzie robić, czego matka zażąda — źle się sprawdziła... Następstwem tego było, że Blümele już nie ze zwykłą dziecięcą lubością przy matce bawiła; obawiała się za każdą razą, by nienawistna rozmowa o własnych włosach znowu nie była rozpoczętą — i tak ile mogła unikała wyrzutu pełnego spójżenia surowej matki. Im bardziej zaś trzymała się w oddaleniu od matki, tym serdeczniej przywiązywała się do ukochanej bratowej, i niedługo zakwitł między dwiema temi istotami najczystszy stosunek miłości siostrzanej. Dziecię coraz piękniej rozwijało się przy dojrzałym umyśle Berty, której łagodna i światła mowa dziecięcemu coraz nowe, nieprzeczuwane odkrywała skarby. Berta znów pokrzepiała swe serce prostemi, niewinnemi uwagami naiwnego, ale intelligentnego dziecka, które wrażliwem niezmiernie się okazywało na wszystko co piękne i szlachetne. Związek tych dusz młodych tworzył sferę istotnie idealną pośród brutalnych zamachów najrealniejszej rzeczywistości.

Do wzniesłego tego polotu niemało przyczyniał się zbiór książek, jaki Berta z domu przywiozła i w pokoju obok innych kosztowności ładnie ustawiła. W tych książkach mieściła się głęboka mądrość, — kreślił je niedgys mąż szlachetny, którego obraz wisiał na ścia-

nie nad łóżkiem Berty — nieprzebrany źródł ożywczy dla umysłu i serca, póki ludzie na tym padole płaczu istnieć będą. Z książek tych Berta często czytywała młodemu dziewczęciu, a Blümele w takich chwilach miała duszę swą u ust kochanej przyjaciółki zawieszoną.

I dwaj pobożni rabini, których portrety na przeciwnej ścianie wisiały, zdawali się bacznie zważać na głębokie myśli wieszca, jakie usta Berty głosiły. Zdawali się błogo uśmiechać, bo mniemali słyszeć mowę proroka, który zmartwychwstał, by ze świętym zapalem ludziom prawdę głosić. Szczytne nauki cnoty i obyczajowości, jakie tu słyszeli, były to ich nauki; studjowali je i w swoich starych prorokach; i oni, lubo w innej formie, głosili je niegdyś tłumom uważnych słuchaczy.

Lektury te miały zazwyczaj miejsce w godzinach poobiednich. Dla Berty, która całego Szylera prawie na pamięć znała, czytanie to było lubem wspomnieniem błogich lat dziecińczych; dla Blümele za to każde słowo miało urok nowości. Berta, której treść ballad i dramatów szylerowskich była dobrze już znana, rozkoszowała się natchnioną i wzniosłą mową wieszca, jak i myślami w usta pojedynczych postaci włożonemi; dziecię za to śledziło z trwożliwą ciekawością, i z silnie bijącym sercem za biegiem akcji. Drżała o życie nieszczęsnej Marji Stuart, a nienawidziła dumną Elżbietę całym zapalem młodej swej duszy; unosiła się nad czynami bohaterskiej dziewczycy z Orleanu, a nie mogła jej przebaczyć upadku — Johanna nie powinna była samej sobie się przemieszczyć — mniemała Blümele w niewinności serca swojego. Podziwiała dzielnego Markiza Pozę, który okrutnemu królowi Filipowi śmiało otwarcie prawdę wypowiedzieć, a gniewała się na księżniczkę Eboli za to, że na cnotliwego Karlosa tak zwodnicze więzy narzuciła; szczególnie zaś tryumfowała nad nieludzką Turandot, która

po ścinaniu tyłu głów ludzkich, wreszcie książęciu Kalaf uległa.

Dziecko, rozumie się, w swój naiwny sposób wszystkie te zajścia pojmowało, a dla Berty nie miała to być przyjemnością śledzić, jak geniusz Szylera w sercu niedoświadczonego, ale niezepsutego dziecięcia się odźwierciadła. Wpływ też tej lektury nie pozostał bezskutecznym. Powoli dziewczę nawykło do sążdenia o stosunkach życiowych z wyższego stanowiska. Duch Szyllera otwierał dziecięcemu umysłowi coraz szerszy krąg widzenia.

I tak nieraz uskarżała się nad srogością matki, jak i nad słabością brata, który nie miał odwagi stanowczo w obronie żony wystąpić.

— Nie oskarżaj matki, ni brata! — odpowiadała jej Berta. Dobroć i wielkość nie zawsze idą w parze. Matka twoja ma coś z tego, co wielkością zowią — ma charakter. Wytrwałość jej w prześladowaniu mnie, w uporczywym zachowaniu raz powziętej opinji, ma w sobie coś wielkiego, przyznaję to, chociaż sama jestem przedmiotem tej nienawiści i tego prześladowania. Twój brat znowu jest dobrym, jest człowiekiem serca, nie mógłby musze nic złego zrobić, a jednak obraża mnie, ponieważ brak mu wielkości. Nie mogę go obwiniać, ale litować się nad nim muszę, jest on więcej politowania godnym, niż ja.

— A mnie serce mówi — przerwała Blümele — że wszystko jeszcze dobrze się skończy...

— Bodaj się twa przepowiednia ziściła! — odrzekła Berta, ściskając dziewczę w swych objęciach. On wszak to nam obiecuje.

— Szylers? — zapytała Blümele.

— Tak jest. Szylers to mówi:

Głosu wewnętrznego mowa —

To prorocze duszy słowa.

Dziewcze, zwolniwszy się z objęć bratowej, pobięło przed łóżko Berty, i ze czcią głęboką spoglą-

dało na obraz męża, co tak cudowne rzeczy, jak prok jakiego, mógł obwieszczać. Gdyby dwaj rabini z przeciwległej ściany nie byli tak pobożnymi mężami, toby pozazdrościć musieli pocięciu tych hołdów uroczego dziewczęcia.

Blümele z dniem każdym stawała się coraz starszą. Dzięki usiłowaniom Berty, rozwijała się umysłowo równie szybko, jak przyroda zdawała się jej cielesnemu rozwojowi sprzyjać. Wdzięki jej coraz wyrazistsze przybierać zaczęły kształty, i czas się zbliżał, kiedy należało pomyśleć o wydaniu jej za mąż.

Upłynęło lat kilka. Usposobienie dla Berty zmieniło się w mieście zupełnie. Rzadko kto jeszcze śmiało głośno o niej źle się odzywać. Przeciwnie, wychwalano wszędzie jej dobre serce, jej miłosierdzie dla biednych, jej uprzejmość dla każdego, — o jej własnych włosach nie mówiono. Tym zawzięciej za to kontynuowała się walka w domu. Niemało do pogorszenia sytuacji przyłożyła się okoliczność wielkiej wagi. Berta nie była jeszcze matką. Już kilka lat minęło od ślubu, a jeszcze brakowało owego zakładu miłości, który niezgodę małżeńską zwykł zażegnać. Gdyby Berta obdarzyła była męża synem, a świekrę wnukiem, przysłoby może do pojednania między świekrą a synową. Czyż-bo podobna, by babcia przytuliła do serca dziecko tej, którą nienawidzi, albo raczej, czy podobna, by nie przestała nienawidzić matkę dziecięcia, co w swej niewinności rączki ku niej wyciąga, któremu w czyste oczęta zajrzy? Są może tak wyrodne natury, lecz nie sądzę, by Małka do nich należała. To też oczekiwała na dziecko, — oczekiwała niecierpliwie. Może nawet żywiła jakieś nadzieje, których ziszczenia od narodzenia wnuczka wyglądała, inaczej bo-

wiem, jakie znaczenie mogło mieć jej odezwanie się raz do syna:

— Zobaczysz, Józefie, i przyznasz, że miałam rację. Niechaj tylko stanie się matką, a z pierwszemi pieluchami, jakie w ręce weźmie, ulotnią się jej z głowy wszystkie głupstwa. Bardzo wtedy będzie dbała o to, czy nosi własne włosy, czy nie! Póki kobieta nie ma dziecka, nie jest jeszcze kobietą, — matką musi się stać, potem dopiero staje się niewiastą; dziecko musi w kolebce kwilić, wtedy dopiero kobieta poważnieje. Daję ci moją rękę na to, że pilniej jej będzie dziecko kołysać, niż stroić się i własne włosy trefić!..

Dowodzenie to Małki o tyle było nietrafnem, że pobudka Berty do noszenia własnych włosów nie leżała bynajmniej w jej próżności. Ponieważ zaś świekra innej przyczyny nie dostrzegając, słusznie więc ze swej strony wyglądała narodzenia się wnuka.

Gdy jednak lat kilka upłynęło, a nadzieja ta nie ziściła się, umysł świekry znowu sposepniał.

— Daremnie — rzekła do syna — zrzekam się już wszelkiej nadziei. Obym nie dożyła była w dom swój ją wprowadzić!

Józef poczuł gorycz w duszy. I on pragnął gorąco dziecka, którego niebo zdawało się mu odmawiać. Przy całej jego miłości dla żony, podszepty matki nie mogły nie napełniać go smutkiem, który, przy otwartym jego, do udawania niezdołnym charakterze, i mniej przenikliwemu oku niż Berty długoby nie mógł pozostać ukrytym. Pierwszego zaraz razu, gdy go o to poważnie zapytała, wyjawił jej zawstydzony i lękliwy, ale bez ogródki, powód swego zmartwienia.

Berta przypomniała mu Hannę, i powtórzyła jej słowa: „Czym ci nie więcej warta, niż dziesięcioro dzieci?” — Czule objął on małżonkę, lecz zdawało się, jakoby coś wrogiego między nimi istniało, co dawnej serdeczności nie dopuszczało. Uścisk ów był szczery,

lecz chłodny. — Berta uczuła to boleśnie. Przypomniała mu, że Hanna, po długim czasie niepłodności, wreszcie obdarzoną została synem; napominała go, by nadziei nie tracił, — niebo i ich kiedyś pobłogosławi. Józef czuł się temi słowy małżonki pokrzepionym; serce jego ożywiło się nową nadzieją. Niedługo jednak danem mu było tej pociechy kosztować — matka ją wnet zniweczyła.

— Powiadam ci — nie, i jeszcze raz nie! — rzekła mu — ona jest niepłodną. Bóg jej nie pobłogosławił, a przyczyna tego jest jasną. Dla wielkich grzechów naszych — nosi zuchwale własne włosy...

Fanaticzka potrafiła w syna wpoić przekonanie, że tak długo nie ma liczyć na potomstwo, aż żona własnych włosów nie zrzuci. Różnemi opowiadaniem o karze bożkiej umiała tak ściśle połączyć fakt noszenia włosów przez synową z jej niepłodnością, że Józef w swej bezporadności uważał się za najniebezpieczniejszego z ludzi. — Godną zastanowienia wydawała mu się jedna tylko okoliczność, ta mianowicie, że matka, która dotychczas wraz z nim narodzenia się dziecka niecierpliwie wyglądała, teraz w inne uderzała struny, i z zawiedzenia tej nadziei nietylko nie smuciła się, ale owszem zdawała się cieszyć. A gdy jej raz otwarcie powiedział, że zdaje mu się, jakoby z tego się radowała, ona w sposób zagadkowy mu odrzekła:

— Tak, moje dziecko, cieszę się z tego, bo wiem, co wiem. I aniołowie w niebie z tego się cieszą, a mam w Bogu nadzieję, że nadejdzie dzień, kiedy i ty radować się będziesz. Po tem dopiero uznasz, jak wielkim jest Bóg, i co wszystko potrafi w swej wszechmocy. Drogi boskie są niezbadane, a grzeszny człowiek nie może wcale wiedzieć, co dla niego dobrze, a co źle. W Bogu mam nadzieję, że to na dobre ci wyjdzie...

Józef nie zrozumiał sensu tej ciemnej mowy. Snu-  
świekra i Synowa.

tny oddalił się jak zwykle, by w samotności się wyplakać.

Tymczasem sprawa cała odsunięta została chwilowo na drugi plan — inna okoliczność zaprzętnęła umysł w domu. Blümele wyrosła — z dziewczynki stała się dziewczcą. Dziewięć lat upłynęło od czasu, gdy bratu swemu w podróży do narzeczonej towarzyszyła — teraz miała sama stać się narzeczoną. Matka stanowczo postanowiła dziewczę już za mąż wydać. Blümele zaś propozycji tej nie przyjęła — żądała czasu do namysłu, zanim rzecz sobie przełoży i zdecyduje się krok tak ważny uczynić. A gdy matka, zgorszona tem nieoczekiwanem nieposłuszeństwem, zapytała, co tu tak wiele ma do namyślenia się? — Blümele, zatopiona w samej sobie, i zapominając z kim mówi, zacytowała wiersz z „Dzwonu“ Szyllera:

Niech tedy kto wiecznie się łączy, bada,  
Czy serce sercu wzajem odpowiada.  
Szał jest krótki — żal długi...

Ta niespodziana odpowiedź naturalnie bardziej jeszcze matkę rozjątrzyła.

— Więc tego na tobie dożyłam? — wołała ona z gniewem — takiemi to głupstwami, które tam u niej z niemieckich książek wyczytujesz, zbywasz mię! Szalone mowy te nie z twojej pochodzą głowy, od niej to masz, nikt inny do tego cię nie podburzył, tylko ona. Obym nie dożyła była wprowadzić ją w dom swój! Cóż to! Panną chcesz zostać? Przekładać sobie chcesz? Cóż masz do przekładania? Czy myślisz, że nie wiem, dla czego cię tam ona podburza? Aby z tobą miano do czynienia. Jeśli tobą się zajmą, to ona będzie miała spokój. Garbus się cieszy, kiedy większego przed sobą zoczy. I ty jeszcze taką niezdarą jesteś, że tego nawet nierozumiesz!

— Nie mów o niej — odrzekła Blümele — i daj



jej spokój. Ona ze mną ani słowa o tem nie mówiła. Co mówię, to mówię z siebie. Czy myślisz, że dam sobie co wmówić od Berty? Nie dam sobie nic od nikogo wmówić, ani od Berty, ani od ciebie...

— Milez i nie wypuszczaj słowa z ust, ty uporne dziecko! — wrzeszczała matka.

Blümele wyszła.

Wzburzenie w domu było ogromne; wkrótce jednak uspokoiło się cokolwiek — dziewczę bowiem właściwie stanowczego nie stawiało oporu. Blümele nie chciała się tylko dać zaskoczyć, jak to w tych sferach zwykle się dzieje, — chciała, by przy wyborze małżonka i jej serce przemówić mogło, a jeśliby ten, któregooby jej przedstawiono, zjednał sobie jej sympatję, o oporze z jej strony, rozumie się, i mowy być nie mogło.

Ponieważ matka dobrze oceniała wpływ wywierany przez Bertę na Blümele, umyśliła zeń skorzystać. Negocjowała w tym celu z synem, i ostatecznie Berta musiała podjąć się zadania, by przychylnie dziewczę usposobić dla projektowanej partji. Podjęła się tego warunkowo tylko, to jest, jeśliby Blümele dla człowieka, z którym ją chciano połączyć, wyraźnego nie czuła wstrętu. Skutek był lepszym, niż się spodziewano, i Berta nie zbyt wiele zadać sobie potrzebowała trudu. Blümele-Turandot znajdowała się względem nowego księcia Kalaf w usposobieniu, w którymby mu żadną miarą głowy ściąć nie kazała; nie była nawet tyle okrutną, by mu tak twarde dać do zgryzienia orzechy, jak to legendowa uczyniła księżniczka.

Wkrótce najpiękniejszy talerz porcelanowy, jaki się w domu znajdował, w drobne słuźczony został kawałki, i Blümele stała się narzeczoną.

Energicznie zabrano się do szykowania wyprawy, przyczem kochana bratowa szczerze pomagała. Na

przygotowaniach tych upłynął znów rok, i dzień weselny coraz bardziej się zbliżał.

Jednego dnia Józef, wszedłszy z rana do pokoju matki, zdumiony został jej widokiem. Nie był to dzień świąteczny, ale powszedni, jak każdy inny, a jednak pani Małka siedziała ubrana w najlepsze swe suknie świąteczne, i ustrojona we wszystkie klejnoty.

— Patrzysz na mnie, jak gdybyś mnie jeszcze nie znał! — przemówiła do syna. Dziwi cię, że dziś taka wystrojona, a brylanty moje kłują cię w oczy, jak gdybyś blasku ich znieść nie mógł, i jakbyś ich nigdy jeszcze nie widział. A jednak powinieneś przecież wiedzieć, co dziś za dzień...

— Co dziś za dzień? — zapytał Józef zdziwiony — co ma być dzisiaj za dzień? taki dzień jak wczoraj i onegdaj. Czy nie?

— Więc ja dopiero muszę ci to przypominać? — mówiła dalej Małka — i gdybym o tem nie pomyślała, tobyś dzień dzisiejszy zasnął i dał mu przejść, jak gdyby nigdy nic?

— Nie wiem, czy śnię czy czuвам, — mówił syn.

— Tak jest, śniesz, — śniesz już od lat dziesięciu, — dziś jednak winieneś się ze snu tego zbudzić.

— Nic nie rozumiem...

— Czyż to nie dziesięć lat temu dziś, odkąd prowadziłam cię pod *chupę*? czyż nie dziś lat dziesięć od tej chwili upływa?

— I to ty, matko, obchodzisz dzień mego wesela?..

— A któż ma to czynić, jeśli nie ja? Nie jestemże twą matką?

— A jednak dzień ten już dziewięć razy minął i nie obchodziłaś go uroczyście?

— Bo też to różnica. Dziesięć to inna liczba, niż siedm, ośm, lub dziewięć. Na tym dniu dzisiejszym

pokładałam swoje nadzieje w Bogu. Dzięki mu, że się ziściły...

Wzruszony taką miłością i czułością, syn rzucił się matce na szyję, płacząc łzami radości.

— Jakże mnie czynisz szczęśliwym. matko! — rzekł, że zmieniasz swój sposób myślenia. Jakże błogie życie wieść teraz będziemy! O, dozwól, niech pobiegnę do niej — posiadać się nie będzie z radości!

— Co ty mówisz? tak źle mnie rozumiesz? tak mało umiesz czytać w mojem sercu?

Józef przestraszony cofnął się, a Małka mówiła dalej. — Na dniu dzisiejszym polegały nadzieje moje w Panu, a On, błogosławione imię Jego, nie zawiódł mnie. Żyjecie teraz z sobą lat dziesięć, a ona wciąż jeszcze nie jest matką!

— Cóż znowu? I dla tego to włożyłaś swoje dobre suknie?

— Tak, dla tego, właśnie dla tego! Czyż nie wiesz, co ci dzień dzisiejszy daje za prawo? Czyż nie wiesz, że z dniem dzisiejszym możesz się rozwieźć z niepłodną?

— Rozwieźć? — zawołał syn w najwyższem przerażeniu.

— Tak, moje dziecko — rzekła matka z miłością — rozwieźć! — Do tego ci daje prawo dzień dzisiejszy.

— Na co mi to prawo? Wszak nie będę zeń korzystać?

— Będiesz, będziesz, moje dziecko! Znam cię lepiej, niż ty sam. Zrobisz co ci każe, usłuchasz mnie i będzie ci z tem dobrze...

Czule ujęła syna za rękę i słodko przychlebiającemi się słowy mówiła doń jeszcze długo.

— Matko, czegoż chcesz, jakże możesz żądać, bym ją odepchnął?

— Musisz to uczynić, Józefie, to konieczne! Czyż myślisz, że i mnie serce nie boli, — ale Bóg tak chce.

— Czyż Bóg może tego żądać, byśmy się

rozeszli? Powiedz mi, matko, powiedz otwarcie, czy gdyby własnych nie nosiła włosów, czy i wtedy każałabyś mi z nią się rozstać, dla tego, że nie ma dzieci? Cóż ona temu winna?

— Dzieciaku — odrzekła matka, — gdyby własnych nie nosiła włosów, byłaby w takim razie nieplodną? Czy myślisz, że i wtedy nie miałyby dzieci? Czyż ci już przed laty nie mówiłam, że to kara Boża? Teraz dopiero zrozumiesz, com wtenczas myślała i com mówiła. To, coś uważała za nieszczęście, stanie się teraz szczęściem twojem. I dla tego jest dla mnie dzień dzisiejszy świętem uroczystem.

— Dla mnie czynisz go dniem żałoby! — rzekł Józef.

— Dla tego, żeś nie zupełnie jeszcze ze snu swego zbudzony. Bądź dobrej myśli, moje dziecko, i nie martw się. Jak skoro będzie po rozwodzie, dopiero chwalić będziesz Boga, i dopiero na nowo życie zaczniemy.

Posłuchaj, matko — odezwał się syn, nabierając odwagi, — o jedno będę cię prosić, i to musisz mi przyrzec...

— Usłuchaj co ja ci mówię, a przyrzeknę ci, czego tylko zażadasz. Gdybym mogła, tobym ci niebo nachyliła...

— Przyrzec mi, że nie wspomnisz o tej sprawie wprzód, aż po weselu Blümeli. Ty wiesz, jak obie z sobą żyją. Nie zakłócaj przynajmniej Blümeli jej wesela!

— Niechaj i tak będzie! — odrzekła matka — Czyż żądam koniecznie, aby to w tej chwili się stało? Niechaj wprzód odbędzie się wesele Blümeli. Bodaj już było po niem...

Z tem przyrzeczeniem ze strony matki, sprawa została tymczasowo załatwioną. Matka poczęła zdejmować z siebie klejnoty, a schowawszy blichtry, jakie na sobie nosiła, i złoto lskniące napowrót do skrzyni, za-

mieniła świąteczne suknie na zwykłe, codzienne. Czyniła to wszystko z wielkiem zadowoleniem, gdyż czuła, że występem swoim w owych kosztownościach wielkiego dzieła dokonała.

Dzień wesela Blümeli coraz bardziej się zbliżał.

W nierównym usposobieniu matka i syn oczekiwali dnia wesela. W piersi Józefa dwa sprzeczne drgały uczucia; w sercu matki nadzieje spływały się harmonijnie. Józef kochał swą siostrę z całą braterską czułością. Widzieć ją połączoną z człowiekiem zacnym, za jakiego jej narzeczonego poznał, było radośnem oczekiwaniem jego braterskiego serca. Lecz jakże radość ta mogła znaleźć wyraz swobodny, niezmacony, jeśli się z nią łączyła myśl rozstania się z ukochaną żoną? Nie musiałaż radość ta zamienić się na smutek i żalobę? Mógłżeż on wyglądać z upragnieniem dnia, który miał mu wydrzeć to, co miał najdroższego na ziemi? I myśl ta właśnie, która wszelką radość i uciechę z piersi jego wyganiała, podwyższała radosne oczekiwanie matki. I ona gorąco pragnęła oddać córkę mężowi, którego przymioty wysoko ceniła; ale podwójną radość sprawiała jej myśl, że z zaślubieniem córki, hańba tak dawno ciążyąca na jej synu i na jej domu, wreszcie będzie zmyta.

Podczas, gdy matka i syn sprzecznemi ożywieni byli uczuciami, on miotany obawą, ona nadzieją kołysana, — niebo wesołości, które dwie istoty niewieście były sobie wytworzyły, pozostało niezmaconem. Berta ani przeczuwała, że jej coś grozi; matka, w poczuciu swej pewności, zadawała się cichem upojeniem swego zwycięstwa i uważała za niepotrzebne córkę z tem co nadejdzie, obznajmić. Józef zaś był zbyt delikatnym, by choćby najmniejszą oznaką zdradzić przyczynę nowego swego smutku. Tak więc Berta i Blümele zajęte były wciąż przygotowaniem do wesela, nie przeczuwając zgola burzy, jaka nad głowami ich groźnie się zbierała, i która piękny węzeł ich dusz gwałtownie

miała zerwać. Któż-bo myśli o błyskawicy i grzmotach podczas pogody? A pogodniej niż słońce jasne promieniało uczucie w ich młodych sercach.

Wesoło zadźwięczały skrzypce — radość była taką jak przed dziesięciu laty...

Ranek nadszedł. Znow stanął tron obsłonny w izbie weselnej, lecz tym razem zasiadła na nim Blümele.

Już skrzyły nożyce w rękach matki, prawie żalującej, że piękną ozdobę na głowie córki ma ziweczyć.

Lecz cóż się stało? — Rzeczywistość-li to, czy złudzenie? Możeż krew własna przeciwko samej sobie powstać? Możeż owoc tak daleko od pnia odpaść? Możeż dziecko tak się wyrodzić?..

Słuchajcie tylko, co w mieście sobie opowiadają: Małka zemdliała przy obłonach, ponieważ Blümele nie dała sobie włosów obciąć!

— Do tego nikt inny jej nie namówił, tylko bratowa — rzekł jeden.

— Wmawiasz sobie co! — odparł drugi — Blümele potrzebowałaby przez kogo być namówioną? — ona sama jest dobrem dzieckiem i wie co robi.

— Myśli ona, że jak we wszystkim bratowę naśladować będzie, to ujdzie za ukształconą, — zauważył trzeci!

— Za przeksztalconą, chcesz powiedzieć — poprawił czwarty.

— Ukształcona, czy przeksztalcona. Ale mówię ci, Abramie, źle jest na świecie; skoro córka Małki nie daje sobie włosów z głowy ściąć — to koniec z żydowskością...

— A Małka tego nie przeżyje — dorzucił piąty.

— Wszyscy gadacie! — zaczął szósty. Małka to przeżyje, i nie będzie jeszcze dla tego koniec z żydowskością. Czy Blümele własne włosy będzie nosić,

czy nie — świat się przez to nie zapadnie. Czyż to przed dziesięciu laty, gdy synowa Małki tu przyjechała i poraz pierwszy poszła w sobotę do synagogi z własnymi włosami, czy wtedy mało się w mieście działo? Czyż mało wtedy gadano, że należy to i owo zrobić? A co zrobiono?—Nie nie zrobiono. A dziś — kto już o tem mówi? — Daję wam moje słowo, że jeśli Blümele własne włosy nosić będzie, za rok nikt już nie będzie mówić o tem. Ludzie do wszystkiego przywykną...

Tak mówiono w mieście.

A jak wyglądało w sali godowej? Za pomocą wody, pachnidła, cytryn i innych środków orzeźwiających, matka została ocuconą i powoli przysła do siebie. Co jednak najbardziej wszystkich dziwiło, i czego nikt, a najmniej synowa, zrozumieć nie mógł, to zachowanie się starej niewiasty. Nie groziła, nie przeklinała, jak przed laty dziesięciu, nie mówiła nawet o tem, lecz milcząco zgadzała się na wszystko. Zdawała się ulegać sile okoliczności, — moc jej woli była złamana, a jej upór rozprysł się o opór własnego dziecka...

Dzień ten zwykłym schodził trybem. Ze zdziwieniem jednak widziano, jak przed pójściem do ślubu, matka i córka wedle zwyczaju rzuciły się w objęcia i rzesiste lzy ronily. Spodziewano się, że matka odmówi tego uścisku córce, tymczasem przycisnęła ją do serca ze szczerością, jaką tylko matka dziecku, które pod sercem nosiła, okazać może. Potężna jakaś zmiana zaszła w umyśle tej kobiety w ciągu kilku godzin. Obudziła się w niej czysta miłość macierzyńska, i w walce ze starymi zasadami tryumf odniosła. Wróciwszy ze ślubu, drużyna weselna zasiadła wokół obficie zastawionych stołów. Potem zabrano się do tańców, chcąc dzień ten w radości zakończyć. A oddano się wesołości tem szczerzej, iż zajście poranne

było niejako hamulcem do okazywania jej przez dzień cały.

W dziwnem usposobieniu znajdował się Józef. Nie wiedział sam, czy z powodu niespodziewanego zajścia cieszyć się miał, czy smucić. Bo też położenia swego nigdy jasno nie pojmował. Bolał nad tem z jednej strony, że matce znów przyszło takim ciosem być dotkniętą, bo ktoż lepiej odeń mógł wiedzieć, jak głęboko serce matki zranionem zostało? Z drugiej znów strony nie mógł w wypadku nie widzieć zwrotu, który prawdopodobnie pomyślnie jego własny los rozstrzygnie. Czy może bowiem matka wciąż jeszcze synowej uważać za występek to, co we własnej córce znosi? Czy może synową prześladować, ba, odpychać od siebie, za grzech, jaki własnemu dziecku pobłaża? W tej sprzeczności uczuć rzucił się bezwiednie prawie w wir wesołości. Wychyliwszy dobry haust wina, poprosił Bertę swą do tańca.

— Chodź, żoneczko! Bądźmy dziś wesołymi! Ja mam jedną tylko siostrę, a ty jedną bratową. Chodź, moje dziecko, niechaj nam muzykanci zagrają. Zobaczymy, czyśmy jeszcze tańczyć nie zapomnieli.

Z zarumienionem od wstydu obliczem Berta pochyliła się doń i szepnęła mu słów kilka do ucha.

Musiało to być coś bardzo uszczęśliwiającego, co usłyszał, gdyż nie wiedział z radości co czynić. Skoczył obiema nogami w górę, jak dziecko swywolne w zabawie. Wnet jednak mężka powaga wróciła; czule ujął Bertę za rękę, posadził na jednym z krzesel wzdłuż ścian ustawionych, sam przy niej usiadł i tak milcząco siedzieli obok siebie, aż długo po północy. Nie odstępował od niej ani na chwilę — o muzyce i tańcu nie myślał — inna, daleko bardziej uszczęśliwiająca myśl go zaprzętała. Wszystko dookoła niego zdawało mu się być baśnią, on w niej kró-



lem, a jego Berta królową. Poczucie szczęścia serce mu rozsadzało...

Nazajutrz po weselu, rano, świekra wstąpiła do synowej.

Berta nie wiedziała z zakłopotania co czynić — od wielu lat to się jej nie przytrafiło.

Bez wstępów wszelakich i przemówień, stara kobieta objawszy synowę, pokryła twarz jej pocałunkami. Berta nie pozostawiała tego bez odpowiedzi. Józef nie wiedział co się z nim działo — stał zachwycony, radośnie przypatrując się splecionym objęciom.

— Chodź, moje dziecko! — rzecze stara — i przyciśnij mnie silnie do serca, tak silnie, jak możesz. Zapóźniliśmy wiele i musimy to sobie wynagrodzić. Straciliśmy dziesięć lat z naszego życia — powinniśmy teraz gorliwie czuwać nad każdą chwilą, każdą minutą. Teraz dopiero żyć zaczniemy!

— Albo już wiesz? — zapytał Józef nieśmiało.

— Co się pytasz, czy wiem? — odrzekła matka — co mam wiedzieć? Wiem, że przez lat dziesięć ciężko grzeszyłam, że nienawidziłam żonę twą za rzecz, którą nie mnie sądzić. Wiem, że ośmieliłam się potępić, co tylko Bogu jednemu w Niebie przystoi, a nie grzesznemu człowiekowi. To wiem, i to mi dzień wczorajszy objawił..

— I On sądził — Bóg w niebiosach sądził — rzekł Józef, i jeśli zdrowia i szczęścia użyczy, to spodziewam się, że wkrótce na łonie swoim piastować będziesz wnuka...

— Mówisz o Blümele? — zapytała matka.

— Nie, myślę o kim innym, co mnie bliżej obchodzi, — rzekł Józef, podczas gdy Berta wstydliwie spuściła oczy ku ziemi.

Matka zaś, usłyszawszy wieść tę, zawołała:— „I to jeszcze, o Boże! I to jeszcze! Czemu na to wszystko zasłużyłam? Jakie „zechus“ (zasługa) mnie tu przy-

służyło, że w miejsce kary od Najwyższego, jeszcze nagrodę otrzymuję?

Przy tych słowach nowozaślubiona para weszła do pokoju. Blümele, jak słońce wiosenne, i jej małżonek z obliczem na którym szczęście i radość promieniały.

— Za wiele na raz! — zawołała matka wzruszona—padając na krzesło. Dziś, moje dzieci, jesteście dla mnie jak nowonarodzeni—zyskałam dziś nietylko syna, ale i córkę...

Weselszego i spokojniejszego domu, jak dom Małki, odtąd w miasteczku nie było. Dziś, zwiedzając je, można się przekonać, że przykład Berty mnóstwo znalazł naśladowczyń; dziś bowiem wszystkie niemal młode żydówki noszą tam własne włosy, o tyle, o ile ostatnia moda koków temu na zawadzie niestaje.

J. K.

NA WRÓCENI.



# NAWRÓCENI.

---

## I.

— Czyś nalala oleju do lampki chanukowej, Herminjo?

— Tak jest, mamó, i sobie na ubranie. Przebrzydłe świecekchanukowe — codzień walają mi suknie.

— Nie złorzecz świecekom — odrzekła z uśmiechem matka — ale własnej niezgrabności!

— Ah, nie jestem wszak tak niezgrabną, tylko ta nędzna lampka chanukowa...

— Pochodzi ona od twego pradziadka, i dla tego proszę cię, nie okazuj tej niechęci ojcu, bo toby go martwiło.

Herminja zagryzła ironicznie wargi.

— Nie na samą lampkę się gniewam, ale na całe to nieznośne święto. Bo rumieniść się muszę na samą myśl, że z ulicy patrzą na te śmieszne światełka, co w oknie naszym płoną...

— Wstydzisz się tego?

— Pewnie. Trzebaż, abyśmy wyznanie nasze w oknach jeszcze wystawiali!

— Jest to stary zwyczaj żydowski.

— Niestety, te stare zwyczaje żydowskie — wołało dziewczę z ogniem — te szkaradne praktyki, pozbawione wszelkiej estetyczności, przy których umysł i serce sztywnieją. Nie widzę, doprawdy, powodu, dla któregoobyśmy dziś jeszcze je obserwować mieli. Jeśli mamy pamiątkę jaką obchodzić, na co nam te nędzne światełka? Czy nie ładniejsza choinka?

— Dla Boga, dziecko, co gadasz? — zawołała matka przerażona — gdyby to ojciec słyszał...

— I cóżby było? — odrzekła dziewczyna, wzruszając ramionami — czemużby wspaniała choinka nie miała mi się bardziej podobać, niż stara ta lampa? A jak cudownie tam, gdzie choinki się palą, gdzie wszyscy członkowie rodziny, wszyscy przyjaciele i znajomi wzajem się czem obdarzają! Jakżebym rada była, gdyby mama pozwoliła i u nas w tym roku choinkę urządzić!

— Czyś ty przy zdrowych zmysłach, dziewczyno? Ojciec twój miałby zezwolić na ustawienie u siebie choinki?

— Czemużby nie? K... owie urządzają rok rocznie u siebie choinkę, toż samo L... owie, H... owie i wszyscy nasi znajomi. Nie widzę, dla czegożby...

— Pst, pst, słyszę kroki ojca, nie popisuj się, dla Boga, przed nim takimi mowami! Zapal gaz i lampkę chanukową postaw na oknie!

Dasając się, młode dziewczę usłuchało, a potem chciało szybko pokój opuścić, by wzgardzonych światełek nie widzieć zapalonymi, gdy ojciec, w towarzystwie jakiegoś obcego, drogę jej zastąpił. — „Minu — dokąd tak śpiesznie? — rzekł p. Werner, zatrzymując

się. Mam przyjemność przedstawić ci moją córkę! — dodał, zwracając się do swego towarzysza.

— Poznałbym panią i bez tego przedstawienia — odrzekł gość — podobna pani bardzo do swego brata.

— Do mego brata? — odrzekła Herminja, a lekkie ściągnięcie ust zdradzało, że tem porównaniem nie bardzo czuła się schlebioną. Gość to zauważył.

— Może pani być dumną ze swego brata, — rzekł. W istocie, kochany Wernerze — zwrócił się do tegoż — syn twój należy do rzadkich dziś młodzieńców, których dzielność umysłowa każe zapominać o ich młodości.

— Wejdźmy do pokoju — rzekł Werner, a oko jego jaśniało radością ojcowską. — Podwójnie będziesz miłym gościem mej żonie, skoro o naszym chłopcu tak mówisz.

Panowie wstąpili do pokoju. Pani domu najuprzejmiej ich powitała: — Mój przyjaciel Müller z W! — przedstawiał Werner swego towarzysza.

— Witam pana serdecznie. Byłeś pan tyle łaskaw względem naszego syna, że od dawna już pragnę oświadczyć panu podziękować.

— Mogę to zaświadczyć — ozwał się Werner. Lecz wprzód ułatwmy się ze świeczkami chanukowemi, potem p. Müller zechce nam opowiadać o naszym Leonie.

Przystąpił do okna, zmówił błogosławieństwo nad światełkami, i z kolei wszystkie zapłonęły. Potem z rękoma w tył założonemi przechadzać się począł nucąc, po pokoju, — był to stary hymn zwycięzki Machabeuszów.

Po skończonym obrzędzie, wszyscy zasiedli koło stołu. Podano kawę i przy woniejącym napoju Müller opowiadał rodzicom o dalekim synie. Dla braku wyższego zakładu naukowego w rodzinnem mieście,

ojciec wysłał go był przed trzema laty dla dalszego kształcenia się, do stołecznego miasta.

Rozmowa toczyła się swobodnie, gdy nagle Herminja silnie kaszleć zaczęła. — Co ci jest dziecko? — zapytał troskliwie ojciec. — Czyś się nie zaziębiła?

— O nie, ojcze, nieżnośny — to zaduch, jaki świeczki chanukowe rozszerzają, budzi mię do kaszlu. Muszę na chwilę wyjść na świeże powietrze, — i wciąż ostentacyjnie pokaślując, opuściła pokój. Müller z zdziwieniem spoglądał za nią, — w wysokiej, przestronnej izbie nie uczuwał ani śladu dymu.

— Gdzież twoja córka uczyła się religji? — zapytał.

— Córka moja? — powtórzył Werner — No, dla dziewcząt, sądzą, nie trzeba seminarjów. Nauczyła się w szkółce religijnej czytać po hebrejsku, umie się „modlić“ i dosyć...

— Nie jestem tego zdania.

— Ależ, mój kochany, nasze matki, babki i prababki także umiały zaledwie się modlić, a jednak były to poczciwe, pobożne niewiasty. Dosyć, by córki nasze takimi jak one były.

— Zapominasz, kochany Wernerze, że czasy się zmieniły, że gdy dawniej kobiety nasze w domu, jak i w dalszem otoczeniu, miały tylko przed sobą przykłady pobożności i czci dla religji, — dziś, pokusa czyha na każdym kroku, i z nich wszelką wiarę wyganiać usiłuje.

— Prawda to, niestety! Jednakże nie obawiam się o moją córkę — w domu moim nie ma ona gorszących przykładów.

— Nie dosyć tego, przyjacielu, nie dosyć. Nie zamkniesz świata przed swą córką, nie ograniczysz jej towarzyskich pragnień na domowem tylko życiu. A co jej świat nastreczy... któż za to poręczy? Pomnij na własne swoje skargi, z któremiś się nieraz dał przedemną slyszeć, że jesteś tu jedynym prawo-



wiernym żydem. W obecnych okolicznościach nie dosyć jest być wyznawcą z nazwy tylko, z nawyknięcia. Kto nie jest nim z przekonania, łatwo przestaje nim być i z nazwy... Szczególniej kobieta, jako wychowawczyni przyszłego pokolenia, musi mieć religję w duszy zaszczeponą — inaczej, staje się szatanem, aniołem złego...

Tak prawil p. Müller, celem przekonania przyjaciela, iż błąd popełnił, zaniedbując religijnego wychowania swej córki.

Pani Werner, znużona tą dyskusją, skorzystała z uniesienia polemizujących przyjaciół, by niepostrzeżenie się oddalić.

## 2.

We wspaniałym pałacu swoim, w najarystokratyczniejszej dzielnicy miasta położonym, baron Mosbach leżał ciężką dotknięty niemocą. Pospępna cisza panowała w tak ożywionych zwykle apartamentach; służba pałacowa cicho krzątała się w oddaleniu od komnaty chorego, gdyż toczyła go czarna ospa.

Baron Mosbach, pełen życia światowiec, był jeszcze kawalerem, mimo swych lat pięćdziesięciu. Rozdwójony z całą swą familją, żył tylko dla szlachetnych swych pasji i dla długoletniej swej ulubienicy, niegdyś aktorki Antonji Rossa.

Pacjent wlił się w straszliwych męczarniach; żar wewnętrzny pozbawił go już od kilku dni przytomności, a blizka rozpacz klęczała u jego łoża Antonja. Lekarz nie taił przed nią przypuszczalnego przebiegu choroby; kilkakrotnie ją ostrzegał przed niebezpieczeństwem zarażenia się; lecz ona na przestrogi nie zważała. Oblana łzami klęczała u wezglowia chorego, bladą, znękaną twarz mając ku niemu zwróconą, z drżeniem oczekując znaku wracającej przytomności. Mimo atoli tej widocznej, straszliwej boleści, nie przy-

wiązanie łączyło ją z człowiekiem, z którym lat dziesięć żyła, który przez lat dziesięć fantazjom jej krocie poświęcał. Inna troska nurtowała jej duszę. Jeśli umrze nieprzygotowany, bez testamentu, cóż się z nią stanie? Aktorka bez talentu, bez przyjaciół, bez rodziny, z młodością przekwitła, do pracy niewzwyczajona, cóżby począć mogła? Cała jej egzystencja byłaby zachwiana — straszliwy upiór opuszczonej starości stanął jej przed oczyma...

I gdy tak załamując dłonie u łoża jego jęczała, nagle zauważyła zmianę w konwulsyjnych ruchach chorego. Stał się nieco spokojniejszym, obrzękle brwi powoli się podniosły. Zatrzymując dech, schyla się ona ku niemu, oczy ich się spotykają — on ją poznał.

— Toni! — szepnął, z czułością, spoglądając w blade oblicze ukochanej. — Ona przycisnęła jego ospą pokrytą rękę do swej piersi — łzy na nią spadały.

— Dobrze, wierne dziewczę! — szepnął. Kochasz mnie prawdziwie. Jakże mogę bezinteresowną twą miłość wynagrodzić?

— Nie mów o nagrodzeniu — wołała ona, buchając znowu płaczem. Cóż mi po pieniądzach i bogactwie? Gdy ty umrzesz, umrę wraz z tobą.

Ciężkie westchnienie wzduło pierś chorego.

— Toni! zaczął znów z napięciem po paru chwilach milczenia — moje biedne, wierne dziewczę — gdy umrę, zostaniesz sama na świecie — cóż się z tobą stanie?

— Nic — jęczała ona — nic, nie przeżyję cię!

— Muszę zapewnić ci przyszłość — ciągnął dalej. Gdybym cię był usłuchał, gdyś nagliła, bym cię zaślubił — wtedy dziecię nasze miałyby moje imię i wszystko, — biedna Toni! — biedne dziecko!

— Biedne dziecię! biedne dziecię! — powtarzała ona łkając. Cóż się stanie z dzieckiem, gdy nas obu nie będzie? — Lecz, Karolu — dodała żywo, nagle

się podnosząc — jeśli chcesz dziecku przyszłość zapewnić, to jeszcze nie za późno...

— Myślisz o zrobieniu testamentu? — Krewni moi wystąpią przeciwko niemu — będziesz musiała się procesować.

— Kto mówi o testamencie? — wpadła ona. Ubolewałaś właśnie, że nie jesteśmy zaślubieni; poslij więc po kaznodzieję izraelskiego, by nas połączył.

— Niepodobna — wybełkotał — jesteś chrześcijanką.

— We dwie godziny jestem żydówką, a we trzy — twoją żoną! — odrzekła, odzyskując na raz całą swą energję. To cię uspokoi, drogi Karolu, a dziecko nasze na wszelki wypadek będzie zabezpieczone.

Chory mrugnął oczyma na znak przyzwolenia — mówić nie mógł więcej. Antonja żwawo się podniosła.

— Więc śpieszę załatwić wszystko, co do twego uspokojenia przyczynić się może. Mój drogi, jedyny Karolu! Wszystko jeszcze będzie dobrze..

Skinął znów oczyma, osłabienie jego widocznie wzrastało. Antonja drżała z obawy, grunt palił się jej pod stopami, a jednak nie śmiała chorego w tym stanie samego zostawić. Ku niewymownej jej radości nadszedł właśnie doktor. Przybiegła doń, opowiedziała mu zamiar barona, zaklinała, by nie oddalał się ani na chwilę od chorego, przyrzekając hojne wynagrodzenie, jeżeli plan się uda. Lekarz upewniał, że wszelkimi środkami sztuki starać się będzie uchodzące życie zatrzymać; naglił jednak do pośpiechu.

Antonja, zarzuciwszy lekkie okrycie, wypada na ulicę i wsiada do najbliższej dorózki.

— Do kaznodziei izraelskiego d-ra Auerbach — woła — tylko żywo, zapłacę potrójny kurs.

Woźnica zacina konie, i te szalonym galopem się puszczają. Antonja, szukając chwili ukojenia, przytula się do kąta powozu. Tentna jej jakby młotem

bija, głowa pali — wszak cała jej przyszłość od udania się tej operacji zawisała! Nieraz prosiła barona, by ją zaślubił. Lecz uległy we wszystkim innem jej kaprysom, na to nie mógł się nigdy zdecydować, już że luźny z nią stosunek miał dlań więcej powabu, już też, że bał się szyderstw wysoko arystokratycznej swej familji. Teraz, blizki zgonu, przez wszystkich opuszczony, tylko nie przez kochankę, brał lzy jej, które odnosiły się do własnej jej zagrożonej przyszłości, za wyraz szczerego bezinteresownego przywiązania, a wdzięczność dla wiernej kochanki mieszała się do troski o przyszłość dziecięcia, które w łonie swem nosiła.

Czemuż wcześniej nie zastanawiała się nad możliwością odbycia ślubu na łożu chorego! Czyż nie jest już może zapóźno? — Obiema dłońmi ścisłała wzburzone serce, jakby powstrzymać chciała jego bicie gwałtowne.

Powóz jak strzała leciał, lecz galop koni zdawał się jej być zółwim czołganiem. Wreszcie stanęła u celu. Dorożka zatrzymała się.

— Czy tu mieszka dr. Auerbach?

Dorożkarz wskazał na duży znak mosiężny, obejmujący nazwisko i stan kaznodziei.

Antonja wyskoczyła z powozu.—Zaczekać!—wołała na woźnicę, lecąc do drzwi wchodowych skromnego domku. Zadzwoiła i wciskając otwierającej pokojowej papierek do ręki, zażądała natychmiastowego wprowadzenia jej do d-ra Auerbacha. Wdzięczna dziewczyna, mimo surowego zakazu wpuszczania niemeldowanych gości, poprowadziła hojną damę do do gabinetu doktora.

Wielebny dr. Auerbach znajdował się w swym gabinecie, zajęty właśnie układaniem wielce patetycznej mowy grobowej, gdy nagle pukanie do drzwi pracę mu przerwało. Zły z powodu tej przeszkody, mruklawie wybąknął „proszę!“, lecz gdy spostrzegł wysoką,

imponującą postać eleganckiej, mimo swych trzydziestu pięciu lat pięknej jeszcze damy, wyraz chwilowej niechęci wnet znikł mu z słodko uśmiechniętej twarzy, i wśród głębokich ukłonów zaprowadził przybyłą do kanapy, prosząc w sposób niezmiernie ugrzeczniony o łaskę wyjawienia mu w czym może jej służyć. Antonja głęboko odetchnęła; przez chwilę zdawało się, jakby sił jej brakło, lecz szybko oprzytomniawszy, opisała mu jednym prawie tehem krytyczne swe położenie i plan swój, zaklinając łzami i obietnicami, by jej i urodzić się mającemu dziecku jej pomocy swej nie odmówił.

W milczeniu, w pochylonej postawie, doktor ją wysłuchał; potem podniósł się, i z czołem w głębokie zmarszczki ściągniętem, zaczął przechadzać się po pokoju. Trwożnie śledził za nim wzrok Antonji. Zdał się to zauważyć, gdyż w promenadzie swej pokojowej znów koło niej przechodząc, zatrzymał się.

— Uważałbym to sobie za szczęście, łaskawa pani, gdybym mógł świętemu jej zamysłowi słabe me siły poświęcić; lecz nie da się to tak prędko zrobić — trzeba na to czasu, przynajmniej kilku dni...

— Wtedy baron już nie będzie żył — wybąknęła Antonja — a ja będę żebraczką — dodała drżąca. — Litości, panie doktorze, ratujcie mię, żądajcie ile chcecie—sto dukatów — dwieście—czterysta!...

Doktor pocierał sobie czoło — zapłata była nęcąca, — przekładał — wahał się — i postanowił skorzystać.

— Więc pani zdecydowana przejść na Judaizm? — zaczął, po kilku chwilach rozwagi.

— Goreję niecierpliwością stania się żydówką — odparła Antonja żywo.

— A do tego postanowienia nie skłaniają pani pobudki światowe? — tylko umiłowanie świętej naszej religji?

— Tylko miłość dla świętej waszej religji! — powtórzyła machinalnie była aktorka.

— W takim razie chcę uwzględnić wyjątkowe okoliczności, a że przypuszczam, że nauki religji, do której pani chcesz należeć, są jej znane, że je cenisz i wiernie wykonywać będziesz, więc przyjmuję panią w związek izraelski i uznaję ją od tej chwili—za żydówkę.

Lekko potem się ukloniwszy, postąpił do pulpitu, napisał śpiesznie kilka słów i wręczył Antonji świadectwo przejścia jej na Judaizm.

— Teraz, łaskawa pani, jedźmy natychmiast do magistratu. Szczęściem, urzędnik do którego wydziału rzecz ta należy, jest moim przyjacielem. Przedstawię mu nadzwyczajną nagłość sprawy i nie wątpię, że uda mi się zezwolenie potrzebne, bez którego nie mógłbym ślubu dopełnić, bezzwłocznie uzyskać.

Z pośpiechem, niezwykłym u powolnych sług religji, doktor włożyła na się płaszcz i kapelusz, i wyszedł za śpieszącą w gorączkowym niepokoju damą. Antonja wskoczyła do powozu, rabin za nią, wskazawszy wprzód woźnicy dokąd ma ich zawieść, i pędem konie się puściły...

### 3.

— Tak, tak, droga pani! — zaczął doktor po kilku chwilach głębokiego zamyślenia, — pani w swej niewinności ani wiedzieć może, czego wszystkiego potrzeba, by plan jej z pożądanym skutkiem mógł być przeprowadzony.

Antonja spojrzała nań zaniepokojona.

— Sądzę, że gdy pan nas połączy, to nikt uie będzie śmiał mojemu dziecku prawa do successji po ojcu zaprzeczyć.

— Prawda, łaskawa pani, ale pod tym tylko wa-

runkiem, jeśli akt ślubu dopełniony będzie z zachowaniem wszelkich formalności, przez prawo ustanowionych.

— Czeigodny doktor nie zaniedba pewnie niczego — wybąknęła Antonja, znów zbladłszy.

Jego wielebność wzruszył ramionami. — Zaniedbać, lub niezanieczywać — jeśli by wszystko miało się odbyć w sposób przepisany, to byłoby istnem niepodobieństwem życzeniu pani zadosyć uczynić... Jednak uspokój się pani — dodał, spostrzegłszy wzrastający niepokój swej towarzyszki — nabierz pani odwagi; spodziewam się, iż mi się uda bezzwłocznie dyspens żądany uzyskać. Przyjaciel mój jest tyle ludzkim, ile liberalnym, a przytem człowiekiem bardzo uczuciowym...

— Jeśli pan doktor uważa to za stosowne, to zechce upewnić swego przyjaciela, że się okażę bardzo, bardzo wdzięczną. Nie mam wprawdzie w tej chwili nic przy sobie; lecz, jeśli by wasza wielebność za mną ręczyć chciał...

Doktor uklonił się potwierdzająco.

W tej chwili powóz się zatrzymał.

Doktor wyskoczył i podał rękę towarzyszce. Sta-  
nęli przed okazałym gmachem magistratu i za parę  
chwil przededrzwiami gabinetu, gdzie znany urzędnik  
pracował. Pacholek zameldował kaznodzieję izrael-  
skiego, który wnet wstąpił, prowadząc pod ramię towa-  
ryszkę.

Przyjaciele powitali się serdecznie. Doktor, przed-  
stawiwszy Antonję Rossa, wyłuszczył z emfa-  
tyczną wymową cel ich przybycia. Urzędnik był  
w istocie człowiekiem serca; widział przed sobą pię-  
kną, bladą kobietę, drżącą z obawy o przyszłość  
dziecka, które pod sercem nosiła; a jak kaznodzieja  
rzecz przedstawiał, musiał spełnienie żądania doń  
zwróconego, za akt humanitarny uważać. Prócz tego

chytry duchowny szepnął wahającemu się jeszcze kilka słów do ucha, i rzecz została załatwioną.

Jeszcze nie upłynęły trzy godziny od wyjścia Antonji, gdy we wszystko zaopatrzona, w towarzystwie duchownego, wstąpiła do pokoju umierającego.

Udało się jej przeprowadzić coś wielkiego; lecz była tak wyczerpaną, że zaledwie na nogach utrzymać się mogła. Lekarz, na jej instancję przy chorym bawiący, spostrzegł ją chwiejącą się — przybiegł do niej.

— Dla Boga, trzymaj się pani, albo wszystko będzie stracone!

— Więc żyje jeszcze? — wyszeptala cicho Antonja.

Lekarz potwierdził. — Lecz chwile jego są policzone, — dodał — przygotuj go pani prędko i niech ceremonia się rozpocznie!

Antonja ukłękła u łóżka.

— Karolu, mój drogi, jedyny Karolu! — wołała.

Umierający z trudnością podniósł ociężałe powieki.

— Toni, kochana Toni! — szepnął.

— Czyniłam co mogłam, dla twego uspokojenia, mój drogi Karolu — ciągnęła dalej Aktorka — jest tu kaznodzieja izraelski, dr. Auerbach; jeśli chcesz, może on nas zaraz połączyć.

Chory zamknął powieki na znak przyzwolenia. Tymczasem dr. Auerbach porozumiewał się z lekarzem.

— Potrzebujemy dwóch świadków — rzekł duchowny.

— Czy pan doktor czasem nie izraelita?

Lekarz potwierdził.

— Czy nie ma czasem między służbą jednego jeszcze żyda?

— Zdaje mi się, że i posługacz jest izraelitą; lecz śpiesz się pan, — dodał — ogranicz pan obrząd na najniezbędniejszym, albo wszystko będzie za późno.



— Dobrze — odrzekł duchowny, przyzywając skinieniem posługacza; teraz potrzebujemy jeszcze pierścienia. Może pan baron ma jaki?

— Jest, jest — wyrzekła cicho Antonja, i ściągnęła z palca wążką złotą obrączkę. Dr. Anerbach, ujawszy pierścień, przystąpił do łoża umierającego.

— Panie baronie v. Mosbach! Czy życzysz sobie z obecną tu panną Antonją Rossa połączyć się świętym ślubem małżeńskim?

— Tak, tak! — wybełkotał chory.

— Więc chciej powtórzyć za mną formułę ślubną!

I włożywszy pierścień między palce umierającego, wyrecytował donośnie formułę ślubną w hebrajskim języku, którą ze śmiercią wależący narzeczony z trudem za nim powtarzał: — „Przez tę obrączkę jesteś mi poślubioną, podług prawa Mojżesza i Izraela!“

— Przyjm pani pierścień, a związek jest zawarty.

Antonja przyjęła pierścień, którego konwulsyjnie drżące ręce chorego podać jej nie mogły.

— Winszuję pani, pani baronowo! — rzekł doktor, głęboko się kłaniając.

— Toni! — bełkotał nowożeniec — Toni!

Ona chciała nad nim się schylić, lecz w tejsze chwili silne miotać nim zaczęły konwulsje. Lekarz się zbliżył.

— Chciej pan panią baronową do drugiego zaprowadzić pokoju — rzekł cicho do kaznodziei — tu nie dla niej miejsce.

Raz jeszcze Antonja rzuciła spójrzanie na łożo, drgnęła, i na podanem jej ramieniu d-ra Auerbach oparta, chwiejnym krokiem pokój opuściła. Twarz ukrywając w batystową chustkę, z trudnością wstrzymywała się od głośnego łkania.

— Odwagi, pani baronowo, odwagi! — pocieszał duchowny, — Bóg dał, Bóg wziął. Imie Jego niechaj będzie pochwalone!

Antonja rzuciła się na krzesło; potok łez puścił się jej z oczu.

— Powróć pan, panie doktorze — rzekła — powróć do mego nieszczęśliwego małżonka, by mu ostatnią pociechę religji waszej udzielić!

— Chciałem to uczynić, — odrzekł — lecz nie śmiem panią baronową w tym stanie samą zostawić.

— Idź pan, proszę — nagliła baronowa — nie zważaj pan na mnie, śpiesz do umierającego!

Duchowny podniósł się, ale nie śpieszno mu spać było wrócić do zarażonego powietrza w pobliżu konającego; gdy jednak baronowa raz jeszcze prośbę swą powtórzyła, musiał się zdecydować i już był we drzwiach, gdy lekarz drogę mu zastąpił. Dr. Auerbach swobodniej odetchnął.

— Jak się ma pan baron?

— Skończył, — odrzekł lekarz i przystąpił do baronowej, by o śmierci małżonka ją uwiadomić.

Łkając, z twarzą obiema dłońmi zakrytą, przyjęła Antonja fatalną wiadomość, a gdy pierwsza boleść przeminęła, użyczyła ochocho ucha słowom pociechy obu doktorów.

— Muszę jeszcze pana doktora prosić, aby jako świadek zechciał podpisać *kesubę* (akt ślubny) — rzekł duchowny po niejakiem chwili, gdy wzruszenie wdowy nieco się ukoilo.

— Jestem zupełnie na usługi pana — brzmiała uprzejma odpowiedź. Jednak dziwi mię — rzekł zwracając się do baronowej — że pani nie wołała raczej nakłonić pana barona do napisania testamentu?

— Nie podobna było — odparła baronowa, — dopiero w widoku śmierci zdecydował się na ślub. Do ułożenia testamentu żadną miarą nie dał się nakłonić. Wszakże spodziewam się, że to różnicę nie stanowi, — dziecku memu przyznany będzie legalnie spadek po ojcu...

— Zapewne, zapewne — potwierdził duchowny,

— jakkolwiek nie wątpię, że familja zgasłego czynić będzie wszystko co w jej mocy będzie, by małżeństwo barona unieważnić. Bądź jednak pani baronowa co do tego punktu zupełnie spokojną. Bóg nie opuszcza swoich; jest opiekunem wdów i sierot, a chciwcom nie uda się nigdy wydrzeć niewinnemu dziecku spuściznę ojcowską; bo mimo niezwykłych okoliczności, w jakich ślub pani został zawarty, udało mi się tak go urządzić, że żaden prawnik na świecie nie będzie w stanie ważności jego naruszyć.

Baronowa rzuciła nań wdzięczne spójrzeenie. Lekarz gryzł sobie smutnie wargi — czuł, że do udania się tej sztuki i on niemało się przyczynił, a oto duchowny całą zasługę sobie przyswaja...

— Wszystko zależy teraz od tego — rzekł — aby pani baronowa swe podwójnie drogie zdrowie konserwowała. Zbyt wczesne nadejście chwili, której pani się spodziewa, mogłoby wszystkie jej nadzieje zniweczyć. Ze swej strony uważam to sobie za najświętsze zadanie ostateczności tej zapobiedz.

I ująwszy jej rękę, lekko pomacał puls. Antonja zbladła.

— Bolesne wzruszenie dzisiejszego dnia — ciągnął doktor dalej, wstrząsając głową — nie przeszło bez śladu; dla tego uważam za konieczne, aby pani baronowa najzupełniejszego używała spokoju. Czy mogę sobie pozwolić pokojową pani przywołać?

Baronowa prosiła, by zadzwonił. Duchowny zmuszony był tymczasem się oddalić, a po zapisaniu uspakajającego lekarstwa, lekarz opuścił pałac Mosbacha. Odtąd uważał sobie za obowiązek codziennie baronową odwiedzać, by nad jej drogim zdrowiem pieczołowicie czuwać.

Pogrzeb barona Mosbach odbył się z całą ostentacją, jaka arystokratycznemu jego imieniu się przynależała. Jakkolwiek dumni jego, od spadku podstępnie usunięci krewni, wyrzekali gorzko na mezaljans, jaki

w ostatniej chwili swego życia zawarł, jakkolwiek byli zdecydowani niczego nie ominąć, by małżeństwo unieważnić — na pogrzebie jednak obecni byli wszyscy. Walka też zaraz nazajutrz się rozpoczęła.

Była to walka wprawdzie nie długa, ale niezmiernie zacięta — najpierwsi adwokaci stolicy szli tu w zapasy. Lecz słowa d-ra Auerbacha sprawdziły się — żaden prawnik nie był w stanie nielegalności związku wykazać. Antonja miała jeszcze to szczęście, że sądownie uznana została za baronową Mosbach...

W kilka dni później, Antonja wydała na świat zdrową córeczkę. Dr. Auerbach, wierny jej doradca, przeprowadził i to jeszcze, że jeden z najlepszych jego przyjaciół, radzca handlowy Mühlheim, zwierzchnik gminy izraelskiej, mianowany został opiekunem młodej baronówny.

## 4.

Upłynęło lat kilka, Herminja Werner wyrosła w kwitnącą zdrowiem i urodą dziewczęcę. Znow pło-nęły w oknach Wernerów światelka lampki chanukowej, i znow usta Herminji lekko wzgardą się ściagały, podczas, gdy ojciec jej, nucąc prastary hymn radosny, po pokoju się przechadzał. Rozmarzona, z głową na dłoni wspartą, siedziała młoda dziewczyna, zdając się nie słyszeć tego śpiewu ojca. Haft, nad którym pracowała, leżał przed nią na stole. Werner nie znosił, by córka jego w wieczory chanukowe robotą się zajmowała. Skończywszy modlitwę, zbliżył się do stołu i niepostrzeżony przez zamysloną córkę, z uśmiechem i dumą rodzicielską przypatrywał się jej delikatnej, intelligentnej twarzyczce.

— O czym dumasz, Minko?

— Czego sobie życzysz, ojczu?

— Pytam się, o czym się tak zamysłiłaś? — zapytał żartobliwie.

— O niczem, o niczem, zupełnie!...

— O niczem? Więc pozory tak myła!...

— Ah, przypominam sobie teraz o czem myślałam. Przeglądałam w myśli garderobę swoją — czas bowiem wkrótce toaletę zrobić.

— Powinienem był domyśleć się tego — byłaś bardzo poważnie zamyślona. Ale cóż to dziś wieczór — po cóż ta grande toilette?

— Augusta Meyer obchodzi dziś swoje urodziny, i zaprosiła wszystkie swoje przyjaciółki...

Ostatnie słowa wymówiła nieco ciszej, nieśmiało prawie. Werner nie zauważył tego, lecz jego żona ze zdziwieniem spójrzała na córkę.

— Augusta Meyer jest porządną panią — odrzekł Werner — najchętniej widzę cię w jej towarzystwie; jej ojciec i brat są jeszcze pobożnymi izraelitami. A więc żegnam, drogie dziecko, baw się dobrze.

Złożył pocałunek na czole córki, uściśnął rękę żonie i poszedł ku drzwiom; lecz zanim je otworzył, odwrócił się i rzekł:— „Nie troszcz się, kochana żono, jeśli dziś później cokolwiek wrócę; będę miał dziś dłuższą konferencję z kilku przyjaciółmi. — Skłonił się raz jeszcze i wyszedł.

Herminja, nie słysząc więcej odgłosu kroków oddalającego się ojca, rzuciła się matce na szyję i głośnym buchnęła śmiechem.

— I cóż, mamó, co mówisz?

— Żeś niekonsekwentną, kapryśną dziewczyną, — odrzekła pani Werner, odsuwając swej ulubienicy złociste loki z nad czoła.

— Niekonsekwentną, mamó, jakto?

— Bo cię wczoraj Augusta prosiła, byś ją odwiedziła w dniu jej urodzin, odmówiłaś jej z taką stanowczością, że aż mnie żal było tej dobrej, miłej panią, a teraz, ni ztąd ni zowąd, masz zamiar coś uczynić jej prośbie?

— Nie, mamó, nie! — wołała Herminja ze śmiechem, a przytem z rumieńcem zakłopotania na twarzy, — nie jest to bynajmniej moim zamiarem. Powie-

działam tylko, że dziś urodziny Augusty, że ona wszyskie swoje przyjaciółki zaprosiła...

— I dodałaś, że czas pójść się ubrać.

— Tak jest, ale z tego wszystkiego nie wynika, bym miała pójść do Augusty...

— Nie? — zapytała pani Werner, ze zdumieniem patrząc na córkę.

Herminja zarzuciła ramiona na szyję matce i okryła jej twarz i ręce pocałunkami.

— Mamuniu, droga mamuniu, gdybyś wiedziała, jak ja cię kocham...

— Pochlebczyni — odrzekła matka z uśmiechem, usiłując obronić się gwałtownym pieścizotom — co znów chcesz odemnie wyprosić? przedewszystkiem powiedz mi, co zamierzasz z dzisiejszym wieczorem?

— Przrzekłam Berecie Hartung, że przepędzę go u nich — szepnęła Herminja.

— Co mówisz? — zawołała pani Werner przestraszona — chcesz iść do Hartungów? — Na to ojciec nigdy nie zezwoli...

— O tem wiem — mówiła Herminja szeptaając — i dla tego to powiedziałam ojcu, że idę do Mejerów. Ale ty, moja droga, kochana mateczko, nie odmówisz mi, nieprawdaż tej przyjemności?

Pani Werner potrząsała głową. — To nie może być, moje dziecko, nie może być — żadną miarą. Odkąd Hartungowie zmienili wiarę, ojciec zabronił ci wszelkich z nimi stosunków — o tem wiesz dobrze.

— Zapewne, że wiem, i bardzo na tem boleję. Ale cóż to mnie właściwie obchodzi, że oni są chrzczeni? Berta jest oddawna moją najlepszą przyjaciółką i wraz z matką tak usilnie i natarczywie prosiła, bym wilję, to jest dzisiejszy wieczór, u nich przepędziła! Będzie tam tak pięknie i po pańsku, mateczko! Pan Hartung otrzymał niedawno order, i Berta mi powiedziała, że kilku panów z najwyższej arystokracji przrzekło

swą obecność. Prawda, droga mateczko, że pozwolisz mi pójść tam?

— Niepodobna, dziecko, niepodobna!

— Ale dla czego niepodobna? Wszak ojciec nie potrzebuje nic o tem wiedzieć! Anna sprowadzi mi doróżkę, pojedę sama i zamówię doróżkarza, by o 11-ej po mnie przyjechał. Jeśliby kochana mama zechciała Annę o tej godzinie przysłać do Hartungów, to przyjechałaby ze mną razem i ojciec pewnym byłby, że przepędziłam wieczór u Majerów.

— Ale to być nie może, dziecko, to doprawdy być nie może. Pomyśl tylko — przeciw wyraźnemu zakazowi ojca!

— Ale za pozwoleniem mojej dobrej, kochanej mateczki. Dobra, droga, złota mamuniu, tylko ten jeden raz pozwól mi iść! Obiecałam Bercie, że z pewnością przyjadę.

I znów obsypała matkę całusami i pieścizotami, i powoli, powoli, wymogła na słabej kobiecie upragnione pozwolenie. Z radością klasnęła w drobne, białe rączki.

— Dziękuję ci, mateczko, droga mateczko! Wiedziałam, że pozwolisz mi tej przyjemności. Opowiem ci też później wszystko, kto tam był, jak było i...

— Obym tylko później nie potrzebowała uległości mej żałować! — mówiła pani Werner. — Nie wiem sama dla czego, ale ciężar jakiś czuję na sumieniu.

— Ja żadnego nie czuję — śmiała się Herminja; ale jeśli ci na tem tyle zależy, mateczko, to zamówię doróżkę na wpół do jedenastej.

— Uczyni to! Chciałabym, abys już była z powrotem, aby ojciec również tak długo bawił w mieście. Nie wiem doprawdy, jak mu w oczy zajrzę.

— Zajrzysz, zajrzysz! — zaśmiała się Herminja. Ale teraz trzeba się śpieszyć; zobaczy mama jak ładnie i prędko się ubiorę.

I nucąc jakąś piosnkę wybiegła. Matka słała

za nią stroskane spójrzenia. Słabego serca, dobra kobieta, niezadowolona była z siebie; czuła, że nie postąpiła tak, jak była powinna, a jednak nie była w stanie oprzeć się prośbom swej faworytki. Ale gdy po upływie półgodziny Herminja w całym blasku toalety balowej wsunęła się do pokoju, na widok jej skończenie pięknego zjawiska, znikła niechęć i niemile uczucie matki, przynajmniej chwilowo. Herminja wiedziała, że jest piękną, a świadomość ta użyczala jej postaci pewności siebie, która jej piękność imponującą bardziej jeszcze podnosiła.

— Do widzenia, mamuniu! Spodziewam się, że dobrze bawić się będę.

— Żegnam cię, moje dziecko! Pokłoń się pani Hartung odemnie i wróć wcześniej do domu. O 10<sup>1</sup>/<sub>2</sub> pošlę Ankę do Hartungów. Czyś dobrze okrytą? Masz swój szal?

— Bądź spokojną, mateczko, będę uważną. Ale oto i doróżka, idę...

Matka włożyła jej na ramiona ciepły szal i sprowadziła ją na dół aż do powozu, który z pięknem dziewczęciem szybko się oddalił.

Powoli wróciła pani Werner do pokoju. Wzięła książkę i próbowała czytać, ale litery migaly jej przed oczyma. Była mocno wzruszoną, każdy donośniejszy odgłos uważała za kroki męża i drżała na myśl spotkania go. Żeby też ten wieczór już przeszedł i Herminja wrocila do domu! — nigdyby już więcej na to nie zezwalała, — postanowiła to mocno.

## 5.

Tymczasem Herminja osiągnęła cel najgorętszych swych pragnień. W salonach bankiera Hartung zgromadzony był kwiat miejscowego towarzystwa. Pośrodku wielkiej sali stała tradycyjna choinka,



zdobna we wszystko, co tylko fantazja wymyśleć zdołała. Było to olbrzymie drzewo, na którym tyśiące różnobarwnych światełek gorzało, a między temi ognikami i zielonemi igielkami, błyszczały prezenta, dla członków rodziny i zaproszonych gości przeznaczone.

— Jak pięknie, jak cudownie!—szepnęła Herminja, ściskając rękę swej przyjaciółki Berty, przy oglądaniu jej fotografii w prześlicznym medaljonie, jako upominek przez siostrę jej ofiarowanej.

— Pochlebczyni!—odrzekła Berta z uśmiechem, — jakimż słowy należałoby już twój obraz kreślić, jeśli mój nazywasz cudownym?

— Na to nie mogę nic odpowiedzieć — śmiała się Herminja — bo sądzę, że nie przystoi panienkom same siebie się chwalić; lecz moje słowa „cudownie pięknie“ odnosiły się nie tylko do twojej miłej postaci, ale do całej waszej tak pięknej uroczystości, do tego świetnego, a prześlicznego urzędzenia.

— Cieszy mię niewymownie, że ci się tak podoba u nas; ale jeśli się dokoła trochę rozejrzysz, to zauważysz, że ty wyjątkowo się podobasz. Patrz-no, jak wszystkie oczy zwrócone są na ciebie; nawet hrabia Staremborg, który uchodzi za nieprzyjaciela kobiet, nie odwraca oczu od ciebie!

— Nic nie widzę — odrzekła Herminja, dumnie podnosząc głowę.

— To znaczy, że nie chcesz wldzieć — szepnęła Berta. — Patrz, oto ojciec mój do nas się zbliża, a z nim i hrabia; zdaje się, iż chce ci być przedstawionym.

W istocie, pan domu przystąpił do młodych dziewię w towarzystwie elegancko ubranego mężczyzny.

— Panno Werner, hrabia v. Staremborg pragnie zaszczytu być pani przedstawionym. Pan hrabia v. Staremborg, panna Herminja Werner!

Herminja ukłoniła się z dumą królowny; hra-

biemu atoli, jako zręcznemu światowcowi, udało się wnet zawiązać z nią żywszą rozmowę; a jeśli zrazu uderzyła go jej niezwykła uroda, to po kwadransie rozmowy uczuł się pod urokiem jej wesołej, pełnej dowcipu konwersacji.

Tymczasem urządzono zabawy towarzyskie. Daniem fantu karanym był niebaczny, a gdy dostateczna liczba fantów się zebrała, wykupywano je. Jakaś podziła już, ale chcąc jeszcze za młodą i dowcipną uchodzić panna, dawszy na się włożyć zasłonę Temidy, wyznaczała kary winnym. Wyrocznie jej nie odznaczały się ani oryginalnością, ani dowcipem; wesołe jednak towarzystwo serdecznie się przy nich śmiało.

— Co ma czynić ten, do którego ten fant należy? — zapytał młody Hartung, który miał fanty w schowaniu, podnosząc kosztowną lornetkę do góry.

— Ten ma złożyć swe hołdy najpiękniejszej i najdowcipniejszej damie — rzekła panna Themis. — Myślałaż o sobie?

— Hrabia Staremborg, hrabia Staremborg! — wołało kilka osób, które lornetkę znały. Wszystkie damy patrzyły z ciekawością na hrabiego. Ten podniósł się, przystąpił do Herminji i nisko jej się ukloniwszy, rzekł:

— Najwyższa cześć oniemia, — niech więc milczenie moje będzie pani wymownem! — Przytem dotknął lekko jedną z falban jej sukni i poniósł do do ust. — Huczne oklaski... Herminja okryła się szkarłatem.

\* \* \*

Werner szybciej załatwił swe interesa w mieście, niż się tego spodziewał, i wcześniej niż zapowiedział wracał do domu ulicą, gdzie przyjaciel jego Majer

mieszkał. Chciał przejść, lecz wesole głosy doleciały jego uszu, a wśród śmiechów młodych dziewic zdawało mu się i głos Herminji słyszeć; ulegając więc chwilowej pokusie, wstąpił do przyjaciela. Obznajmiony ze zwyczajami tego domu, wszedł prosto do bawialni; gospodarstwo domu sami tu byli — młodzi ludzie ze swymi gośćmi znajdowali się w salonie. Pan i pani Majer powitali przyjaciela serdecznie.

— Od Herminji słyszałem, że państwo obchodziecie dziś urodziny waszej Augusty; przechodząc więc tędy, nie mogłem sobie odmówić przyjemności złożenia państwu szczerych mych powinszowań.

— Dzięki, kochany panie Werner, za łaskawą pamięć; ale muszę Augustę zawołać, by i ona panu podziękowała.

— Daj pan pokój — rzekł Werner — niechaj się dziewczęta bawią — godzinę jeszcze u państwa przegawędzę.

Panowie usiedli; pani Majer przyniosła posiłki i rozmowa się ożywiła.

— Nie słyszałeś pan, jak się ma baronowa Mosbach? — zapytała pani Majer.

— Baronowa Mosbach? . . . Nie mogę pani w istocie powiedzieć — nie znam jej wcale.

— No, po imieniu nie jest pewnie panu nieznaną. Wdowa po baronie Karolu Mosbach, którą zaślubił na łożu śmierci. Rzecz ta narobiła wówczas taką sensację.

— Tak, tak, przypominam sobie; będzie temu z lat dziewięć, czy dziesięć.

— Być może, ale cóż z baronową? Przytrafiło się jej jakie nieszczęście? — pytał Majer.

— Wczoraj, podczas przejażdżki, miała atak apoplektyczny i to, jak złe języki mówią, w skutek gniewnego uniesienia na filantropijny objaw młodej swej córeczki.

— Byłaby to w istocie przyczyna osobliwa.

— Tak też tylko złe języki mówią; ale faktem jest, że wczoraj po południu, gdy baronowa z córką się przejeżdżała, stara jakaś uboga kobieta upadła na drodze. Zbiegli się ludzie i powóz musiał się zatrzymać. Mała, już z ciekawości, już z współczucia, zeskoczyła z powozu, mimo zakazu matki, i precisnęła się do zemdlącej, którą kilka osób podniosło i do najbliższej lecznicy zawiozło. Mała baronówna spojrzała na podartą odzież starej i bez pytania matki o pozwolenie, zdjęła z siebie swe futro i włożyła na biedaczkę. Potem, wróciwszy do matki, prosiła o wsparcie pieniężne dla nieszczęśliwej. Baronowa spoglądała na córkę ośłupiale, z rozwartemi szeroko oczyma, nie mogąc ani słowa przemówić. Przestraszona córka rzuca się do matki, wołając o ratunek. Lecz wszelka pomoc lekarska okazała się daremną. Odwieziono ją do domu, a jak slysze, walczy dziś ze śmiercią, i lekarze żadnej nie dają nadziei...

— Kobieta ta mało mię właściwie interesuje — zauważył Majer — była zawsze bez charakteru i bez serca; lecz córeczka jej — dziwna, jak to niekiedy dzieci od rodziców się odradzają! Prawda, że miała dobrą wychowawczynię, starą Rachełę Sennenfeld. Była ona dawniej gospodynią u barona, który mimo swych wybryków, szczerę żywił dla niej przywiązanie, wspierał ją i chętnie w domu swoim widywał. A poczciwa staruszka sownie odplaciła te dobrodziejstwa; korzystając z pozwolenia czuwania nad niewinnem dzieckiem barona, wpoila w jego serduszek miłość dla ludzi i wszelkie uczucia szlachetne. To też baronowa nie nawidzoną jest przez całą swą służbę, gdy mała ubóstwianą jest przez każdego ze swego otoczenia. O takich i tym podobnych sprawkach młodej baronówny, opowiadają sobie wiele, a matka ma za każdym razem wściekłym unosić się gniewem na te wybryki, jak je nazywa, swej córki, chociaż czynnie jej tego nie wzbrania. Mała jest jedyną dziedziczką ogromnego

majątku swego ojca i zdaje się, jakoby przecucie późniejszej zależności od niej matce usta zamykało.

— Kobieta tyle zła, ile przezorna — odezwał się Werner. — Lecz czas mi do domu; żona moja już się pewnie niepokoi. Czy pozwolą państwo, bym wszedł do salonu, aby powinszowania me złożyć pannie Augustcie i zarazem córeczkę ją zabrać?

Państwo Majer spojrzeli na siebie zdziwieni. Augusta skarżyła się była przed nimi na ubliżający sposób odmówienia przez Herminję zaproszenia.

— Córka pańska nie raczyła nas zaszczyścić swemi odwiedzinami — odparła pani Majer.

— Nie? — zawołał Werner. — Liczyłem na pewno, że ją tu zastanę. Z wieczora jeszcze powiedziała mi, że idzie na urodziny swej przyjaciółki Augusty.

Pani Werner wzruszyła ramionami. — Mimo to, uprzejmego swego zamysłu w czyn nie wprowadziła.

— Dziwne, dziwne! — wołał Werner, biorąc kapelusz — żeby tylko nie słabość jaka...

— Któżby tak zaraz się niepokoił? — być może niespodziewana jakaś wizyta ją zatrzymała.

— Być może, albo raczej oby tak było! Nie wiem sam, co myśleć. Muszę do domu. Chciejcie państwo ukłony me złożyć pannie Augustcie.

I wybiegł. Potrząsając głową spoglądali za nim gospodarstwo. Od dawna już rodziny Werner i Majer miały podwójny związek w projekcie. Leon Werner miał pojąć Augustę Majer, gdy młodemu Majerowi przeznaczoną była Herminja Werner. W ostatnich atoli czasach, Herminja widocznie od rodziny Majer stronić poczęła.

## 6.

Werner biegł przez milczące, puste ulice, jakby ziemia pod nim się paliła. Nie mógł sam sobie wytłómaczyć przyczyny niepokoju, który go tak silnie ogarnął.

Pani Majer mogła mieć słuszość—jak łatwo mogła inna jaka okoliczność skłonić córkę do pozostania w domu, a jednak przecucie jakiegoś nieszczęścia gnębiło go nieodpornie.

Nastała zamieć śnieżna; wiatr ostry smagał mu płatami śniegu po twarzy — on na to nie zważał, biegł raczej, niż szedł. Wreszcie dotarł do ulicy, gdzie mieszkał, i z całą swobodą odetchnął, zdala już urzawszy światło w bawialnym pokoju. Wszelki niepokój znikł mu z duszy, i sam z siebie śmiać się musiał, wyobrażając sobie, iż żonę i córkę zastanie przy herbacie, dawno go oczekujące. I znów przyśpieszył kroku, teraz już mniej dla ukojenia własnej niecierpliwości, ile dla skrócenia niepokojów swej rodzinie.

Stał wreszcie przy domu swoim i drzwi od siebie otworzył. Dosłyszano śnać jego kroków na górze, gdyż postać niewieścia zbliżyła się do okna i wyrzła. — Byłaż to jego żona, czy córka—tego rozróżnić nie mógł. — Zagawędziłem się u Majerów — rzekł do siebie, i otrząsnąwszy śnieg z ubrania, wszedł na schody.

Z uprzejmem powitaniem na ustach wszedł do mile ogrzanego pokoju, gdzie stół do herbaty zastawiony, istotnie go oczekiwał.

— Szkaradne powietrze—rzekł, rzucając zaśnieżony kapelusz na krzesło. wybacz, że tak długo dałem na siebie czekać—zagawędziłem się.

— Przygotowałeś mię przecież z góry, że późno wrócisz — odrzekła żona, nachylając się nad robótką, jaką w rękę trzymała.

— Masz rację, o tem istotnie zapomniałem, ponieważ interes swój wcześniej w mieście załatwiłem. A potem... Ale gdzież Herminja?—przerwał sam sobie.

— Nie wróciła jeszcze! — odrzekła pani Werner, nie podnosząc oczu z robótki.

— Nie wróciła jeszcze? — powtórzył Werner — ale gdzież jest?

— Wiesz przecież, że poszła do swej przyjaciółki Augusty Majer?

— Augusty Majer? — zawołał Werner złękniomy. Ty sądzisz, że jest u Majerów?

— Zapewne—odparła żona głosem nieco przytłumionym.

— Wielki Boże! więc musiało się jej nieszczęście jakie przytrafić!

— Wernerze!—krzyknęła żona, rzucając robótkę,— dla Boga, co ci do głowy przychodzi?

— U Majerów jej nie ma—odparł on, drżąc cały,—nie była tam wcale.

— Ależ mówię ci, że tam jest, i za chwilę tu będzie. Na wpół do jedenastej zamówiła doróżkę, a wnet poszłę po nią Annę.

I to mówiąc wybiegła, by stosownie do umowy z Herminią posłać służkę do Hartungów. Werner stał wciąż jeszcze po środku pokoju, z ręką przyciśniętą do czoła, rozmyślając co ma czynić. Żona jego weszła.

— Nie bądźżeż dziecinnym — rzekła—wysłałam służącą, a za małą półgodzinkę będzie tu. Nalać ci filiżankę herbaty?

Potrząsnął głową i zdjęte palto kładł znów na siebie.

— Muszę iść, muszę ją znaleźć, bo mówię ci, że nie ma jej u Majerów. Przechodząc tam wstąpiłem, sądząc, że ją zastanę i do domu zabiorę — nie było jej.

Pani Mejer spojrzała na męża wielkimi, szeroko rozwartymi oczyma; trupia bladeść okryła jej lica—on nie zrozumiał powodu jej przestachu.

— Uspokój się — wołał, sam walcząc straszliwie z niepokojem; — biegnę co tchu do policmajstra; przy jego pomocy poszukiwania szybki odniosą skutek.

Chciał wyjść, ale żona uczepiła się jego ramienia.—Pozostań — szepnęła—ona zaraz wróci, zaręczam ci.

— Puść mię—wołał, usiłując się od niej zwolnić—muszę iść, każda minuta zwłoki powiększa niebezpieczeństwo, w jakim się znajdować może.

Lecz ona tem silniej go się trzymała — Nie puszczę cię! Przysięgam, że zaraz tu będzie. Wiem przecież, gdzie jest, — dodała cicho, ze spuszcznymi oczyma.

Kamień mu spadł z serca — Ty wiesz gdzie jest, Bogu dzięki! — rzekł, i zdjąwszy znowu palto, rzucił się na krzesło.

— Ale co znaczy ta tajemniczość? Czemu nie mówisz mi, gdzie ona jest?

— Nie zataję ci tego dłużej — rzekła, zbliżywszy się doń—złe postąpiłam, Wernerze, przebacz mi!

Potrząsnął niecierpliwie głową: — Proszę cię, powiedz mi wreszcie, bez ogródek, gdzie jest Herminia?

— U Hartungów—szepnęła.

— U Hartungów! — wbrew mojej woli, wbrew mojemu wyraźnemu zakazowi! — w dzikim wzburzeniu biegł tu i tam po pokoju — i we mnie wmawiać, że jest u Majerów!...

Kobieta drżała, nie widziała nigdy jeszcze męża w takim stanie; wreszcie zatrzymał się przed nią.

— Czy poszła za twojem pozwoleniem, lub bez niego?—zapytał.

— Nie mogłam się oprzeć jej prośbom, pomimowoli dałam jej swe przyzwolenie, wybacz!

Głębokie westchnienie dobyło mu się z piersi.

—Muszę z nią pomówić, muszę od niej samej usłyszeć...

Turkot powozu doleciał z dołu, — oboje małżonkowie ucichli. Powóz się zatrzymał, drzwi sieni się otworzyły, i lekkim krokiem weszła Herminja na schody. Była w różowem usposobieniu; nigdy jeszcze wieczoru tak nie przepędziła. Jeszcze promieniał przed jej oczyma blask gorejącej choinki, jeszcze dźwię-



czuły w jej uszach żarliwe słowa uwielbienia hrabiego Staremberga, i serce jej biło silniej...

Wreszcie otworzyła drzwi pokoju rodziców i wesoło wbiegła. Lecz słowo powitania zamarło jej na ustach, gdy spójrzała na znękaną oblicze matki, na palające gniewem oko ojca. Zrozumiała o co idzie, i w tejże chwili postanowiła otwartem, zuchwałem wyjawieniem swego zdania ojcu zaimponować. Dumnie podniosła głowę i witając postąpiła naprzód. Nikt nie podziękował.

— Herminjo! — zaczął Werner po kilku chwilach ogólnego milczenia, z widocznem wysileniem miarkując wybuch swego gniewu.

— Słucham ojca...

— Gdzieś wieczór przepędziła?

— U Hartungów! — odparła, śmiałem okiem spotykając wzrok ojca.

— Byłaś u Hartungów, wbrew wyraźnemu memu zakazowi, każąc mi wprzód wierzyć, że idziesz do Majerów!

Wzgardliwy uśmiech zaigrał koło ust dziewczęcia. — Jużes ojcze, był wyszedł, gdym zamiar odwiedzenia Augusty rzuciła i od mamy otrzymała pozwolenie.

— Więc i tchórzem jesteś? — przerwał jej z ironją.

— Nie, nie iestem tchórzem, — rzekła ona, i rumieniec zabarwił jej lica — nie jestem tchórzem, ojcze, i zupełnie otwarcie wyznaję, że rozmyślnie zataiłam przed tobą, iż idę do Hartungów, ponieważ wiedziałam, iż na to nie pozwolisz.

Znów spotkały się ich spójrzzenia, Herminja bardziej się jeszcze zarumieniła, Werner zbladł.

— Zanim ci odpowiem tak, jak dziecku śniącemu w taki sposób mówić z ojcem, odpowiedzieć należy, proszę mi powiedzieć, w czem to leży ta ponęta hartungowskiego domu? O ile wiem, nigdy nie byłaś z nimi tak zaprzyjaźnioną; co cię obecnie tak ku nim pociąga, że

wbrew wyraźnemu memu rozkazowi zupełnego zerwania z nimi, jednak u nich bywasz?

Herminja głęboko odetchnęła; to, co tak długo przed ojcem przemileżała, miała mu teraz jawnie wypowiedzieć.

— Nie wiesz ojcze, że dziś tak zwany wieczór święty, i nie znasz podniosłej tej uroczystości. Ja zaś od lat kilku już pragnę uroczystość tę własnymi oczyma raz widzieć, a gdy Berta Hartung zaprosiła mnie, bym ten wieczór u nich przepędziła, postanowiłam sobie nieodwołalnie skorzystać z tych zaprosin. Gdybyś ty, ojcze, nie był tak szorstkim, tak fanatycznym względem inaczej wierzących, nie przyszłaby mi nigdy myśl ukrywania tego przed tobą. Tak zaś—cóż miałam czynić?.. Proszę cię, kochany ojcze, wyrzec się raz tych uprzedzeń przeciwko tym prawdziwie zacnym i czeigodnym ludziom. Cóż oni w istocie zawinili? Czyż to grzech okazywać się wiernym swym przekonaniom, jawnie i otwarcie je wyznawać? — a oni tylko rzekli się wiary, zamrażającej umysł i serce, i przyjęli religję, która najczystszej uczy miłości... Zaprawdę, religja, która ma wilję...

— Nieszczęsne dziecko, czy chcesz ojca swego zabić? — krzyknęła pani Werner, przyskakując do męża, którego popielato zabarwiona twarz straszliwie wyglądała. I Herminja spojrzała z przerażeniem na skutek swoich słów.

— Wody, wody!—woła matka.

Herminja przyskoczyła ze szklanką wody, którą do ust ojca przyłożyła; lecz on ją odepchnął i z nateżeniem wszystkich sił podniósł się, Herminja błagała, by na niej się oparł,—on jej ramienia nie przyjął, spoglądając na nią okiem pełnym gniewu. Nagle przystanąwszy, położył rękę na czole,—zdawał się coś sobie przypominać.

— Przed ośmiu laty—szepnął—dziś właśnie temu

lat ośm, w tym samym pokoju ostrzegał mię on — a ja przestrogę jego lekceważyłem! — Szalony stareze — to własne twoje dzieło!..

I pięścią uderzył się w czoło. Z przerażeniem patrzyły nań żona i córka.

— Czy pójdziesz na spoczynek, mężu? — rzekła pierwsza nieśmiało, ujmując jego rękę. Dał znak potwierdzający i zbliżył się ku drzwiom. Na progu raz jeszcze się zatrzymał i odwrócił, rzucając wzrok niewypowiedzianej boleści na córkę; potem wyciągnął do niej rękę. Herminja rzuciła się ku niemu i okryła dłoń jego pocałunkami.

— Przebacz, ojcze, przebacz!

Schylił się do niej i zimnemi usty dotknął jej czoła.—Zbłądziłem, moje dziecko, ja sam zbłądziłem, źle cię wychowując. Lecz chcę to naprawić—zaraz, od jutra—dzisiaj potrzebuję spoczynku. Dobranoc, moje dziecię!

Przy pomocy żony, zawłókł się do sypialni i położył. Lecz sen uciekał od jego powiek. Wciąż brzmiały mu w uszach słowa, jakie wyrzekła jego córka, i wciąż dręczyło go wspomnienie przestrogi, jaką przed laty dał mu był przyjaciel jego Müller. Coraz gwałtowniej krążyła krew w jego żyłach, coraz szaleniej biły jego pulsa; palące pragnienie go dręczyło, a w głowie szum wichrzył okropny.

Gdy nazajutrz rano Herminja, po równie niespokojnej nocy, opuściła swój pokój, spotkała matkę z bladą, znękaną twarzą. Werner leżał w gorączce, jak się zdawało bezprzytomnie; lekarz zalecił najzupełniejszy spokój. Herminja stanęła niema z osłupienia. Ona to rzuciła ojca na łożę boleści — czuła to, świadomość winy ją owładnęła; zakryła twarz rękami i głośno zapłakała.

— Dziecię moje, uspokój się, — prosiła matka — z Bożą pomocą nie będzie to tak niebezpieczne.

Lecz Herminja nie była w stanie uspokoić się.—

— Moja to wina—jęczała—moja, nie przeżyję tego!

— Co ci do głowy przychodzi?—pocieszała matka—o winie nie może tu być mowy. Od tygodnia już panuje tu epidemicznie tyfus. Lekarz w tej chwili mi to oznajmił, i dla tego obawia się o biednego twego ojca. Nie dręcz się przeto obwinianiem samej siebie!

— Czy mogę wejść?—zapytała Herminja, ocierając łzy.

Matka wzruszyła ramionami; lecz Herminja nie dała się wstrzymać; musiała choć ojca zobaczyć. Cichym, chwiejnym krokiem przystąpiła do łóża chorego. Leżał tu jej ojciec z płonącymi od gorączki oczyma na nią zwróconymi, nie dostrzegając łez gorzkiej skruchy, jakie wylewała; bo cokolwiek wyrzekł lekarz, jakbądź pocieszała matka—jej to była wina—czuła to.

Dnie mijały, —w stanie chorego żadna nie zachodziła zmiana, żadne polepszenie. Herminja nikła z obawy, z rozpacz; razem z matką pielegnowała ojca i w żaden sposób nie dała się nakłonić do opuszczenia pokoju chorego.

## 7.

Był jasny, słoneczny dzień zimowy; ożywcze promienie słońca wnikały przez zamknięte żaluzje,—oko matki troskliwie spoczywało na bladym obliczu córki.

— Dziecię moje, wyjdź trochę i przejdź się. Lekarz najsurowiej ci zakazuje tego ciągłego pozostawania w domu; i gdyby ojciec to wiedział...

Herminja głęboko westchnęła, łza potoczyła się jej zwolna po marmurowo-bladem licu.

— Idź, dziecko, idź!—prosiła matka, całując córkę w czoło.

Herminja powoli się podniosła. — Ponieważ tak bardzo tego sobie życzysz, wyjdę trochę się przejść.

— Nie wypadaj ożby, byś którą ze swych przyjaciółek do towarzystwa zaprosiła?

— Nie jestem usposobioną do rozmowy—wolę przejść się sama.

— Rób jak chcesz, tylko wyjdź! Powietrze cię orzeźwi, może się też spotkasz z tą, lub ową ze swych znajomych.

Herminja przystąpiła do łóżka ojca, który od kilku dni leżał w rodzaju snu, czy ogłuszenia, — pochyliła się nad nim i łza spadła na gorejącą dłoń chorego. Zadrgnął i otworzył na chwilę oczy,—Herminja to była, jakby ją poznał. Lecz w spójrzeniu jego czytała ona wyrzut, nie łagodność. Owładnięta swemi uczuciami wybiegła z pokoju i zarzuciwszy okrywkę i elegancki kapelusz na czoło, wyszła.

Świeże i czyste powietrze, którem dawno już nie oddychała, mile owiało jej tętniące skronie i palące lica, działając kojąco na wzburzony umysł młodociany. Im dalej szła, tym lżej się jej robiło; smutek, co od trzech tygodni gnębił jej duszę, znikł — uczuła się znowu lekką, swobodną. Po raz pierwszy powiedziała sobie to, co matka tak często jej powtarzała, że to nie jej wina, że ojciec uległ panującej epidemji, a okoliczność, że w spójrzeniu ojca zdawała się czytać wyrzut, zmniejszyła właśnie jej skrupulatność w oskarżaniu siebie samej. Bo i cóż właściwie uczyniła?—za pozwoleniem matki odwiedziła znajomych — któż mógł to jej za złe poczytać?

A potem, w wyjaśnieniach z ojcem, wszak tylko broniła nieobecnych przyjaciół? Byłoz to jej wina, że ojciec tą obroną czuł się dotkniętym? Nie, nie — sumienie jej było czyste. Zadrżała jednak na całym ciele i zmięszczała się mocno, ujrzawszy w tej chwili Bertę Hartung, zbliżającą się ku niej z uśmiechem i powitaniem na ustach.

— Co porabiasz, droga Herminjo, i jak się ma twój ojciec?

— Niestety, wciąż jeszcze nie lepiej! — odrzekła Herminja z głębokiem westchnieniem.

— Biedna, biedna przyjaciółko! — rzekła Berta, pociągając za sobą dziewczę do oddalonej alei. Cóżś musiała w tych dniach wycierpieć — znać to po tobie. Doktor wasz opowiada wszędzie, że z poświęceniem oddajesz się pielęgnowaniu ojca. Poraz pierwszy zapewne wyszłaś dziś trochę?

Współczucie przyjaciółki, tej właśnie przyjaciółki, którą ojciec jej tak surowo sądził, było jej nader miłym — w milczeniu uściśnięła jej rękę.

— Gdybyś wiedziała, jak szczerze się martwimy wszyscy ciężką chorobą twego ojca!.. Ojciec mój i matka chcieli już nieraz do was posłać, by się o stanie chorego dowiedzieć; obawiali się jednak, przy znanym sposobie myślenia twego ojca, aby współczucie ich nie było źle przyjętem.

Herminja zarumieniona, chciała coś odpowiedzieć, ale Berta jej przerwała.

— Czy widzisz tam na skrócie alei hrabiego Staremborg? — szepnęła. Zdaje mi się, że nas poznał — w rzeczy samej zbliża się ku nam..

Herminja bardziej się jeszcze zarumieniła, wszystkie jej tętna uderzyły silnie i mimowoli spuściła na płonące oblicze woalkę, którą przedtem była odrzuciła. Po kilku chwilach hrabia z głębokim ukłonem stanął przed dziewczęciami. Przemówienie jego odnosiło się do Berty, którą już znał oddawna, ale oko z nietajonym zachwytem spoczywało na jej towarzysce. Berta, uradowana z towarzystwa tak znakomitego kawalera i znanego nieprzyjaciela kobiet, starała się go zatrzymać. Opowiadała, że od wilji poraz pierwszy dopiero spotkała swą przyjaciółkę, gdyż ojciec jej ciężko leży chory, a ona, w dziecięcej swej miłości, łoża jego nie opuszcza i dziś prawdopodobnie tylko uległa prośbom matki...

— Wygląda pani w rzeczy samej cierpiącą, — rzekł hrabia tonem głębokiego współczucia. Czy wolno mi — mówił dalej z niejakim waha-

niem — prosić panią, prosić usilnie, abyś zechciała ze względu na przyjaciół swoich, szanować swoje zdrowie?.

— O, — odrzekła Herminja z zakłopotaniem — nie wysilam się znów tak zbytecznie.

Zwolna szli dalej; hrabia przy boku Berty, choć wyłącznie zajęty Herminją. A ta zapomniała o wszystkim — o chorym ojcu, o wyrzutach swego sumienia i o przypuszczalnym gadaniu ludzi, gdy ją ujrzą na publicznej promenadzie w towarzystwie córki chrzczonego żyda, oraz młodego szlachcica. Widziała tylko hrabiego, wysoko urodzonego arystokratę, eleganckiego, pięknego młodzieńca, którego znana nienawiść dla kobiet w obec jej wdzięków pierzchnąć musiała. Przeszli już kilkakrotnie cichą aleją boczną, nie spotkawszy nikogo. Hrabia, którego zamiary były czyste, nie chciałby za nie w świecie skompromitować dziewczycy, i dla tego wzrok jego niespokojnie biegał do koła, czy ich nikt nie dostrzeże.

Herminja płynęła w morzu rozkoszy; przyzwyczajona do hołdów, żadnymi jednak nie czuła się tak niewymownie uszczęśliwioną, jak zalotami hrabiego. Rozmowa jej, pełna sprytu i sarkastycznego humoru, zajmowała hrabiego coraz bardziej; już teraz powziął stanowczy zamiar starania się o jej rękę, a Herminja z pewnością mu jej nie odmówiła.

Tak upłynęła cała godzina. Krótki dzień zimowy miał się ku końcowi i Berta przypomniała o powrocie do domu.

Hrabia powtórzył swą prośbę, by pamiętała o swym zdrowiu, a Berta, ucieszona z roli powiernicy w rozwiązującym się stosunku swej przyjaciółki, prosiła ją, by jutro o tymże czasie na promenadzie się znajdowała. Herminja spotkała błagalne spójrzenie Stamberga i — przyrzekła. Przy końcu alei, hrabia pełnym uszanowania ukłonem pożegnał obie dziewczycy.

Przyjaciółki szły chwil kilka obok siebie w milczeniu. Herminja miała serce zbyt przepelnione uczuciem, by mówić o czemś obojętnem, Berta zaś z uśmiechem patrzyła na jej szczęściem jaśniejącą twarzyczkę.

— Świetną zrobiłaś konkiętę — odezwała się wreszcie. Herminja, nie odrzekłszy ani słowa, uściśnęła jej rękę. Znajdowały się na ulicy, przy której mieszkała Herminja.

— A więc jutro popołudniu spotkamy się znowu?

— Z pewnością.

Jeszcze jeden serdeczny uścisk dłoni, i przyjaciółki rozstały się. Herminja wróciła do domu swych rodziców i szybko weszła na schody. Podczas swej rozmowy z hrabią tak puściła w niepamięć wszystko, że dopiero gdy dzwonek przy drzwiach pociągnęła i te nieprędko się otworzyły, przypomniała sobie chorego ojca. Dotknąwszy ręką czoła, głęboko odetchnęła; zdawało jej się, jakby się ze snu uroczego zbudziła. Kilka chwil tak stała w zadumaniu, z głową o szklanne drzwi wehlowe opartą, aż te nagle się otworzyły i wszedł niemi lekarz. Herminja cofnęła się o parę kroków.

— Ah, dobry wieczór pani, ucieszyło mnie to niewymownie, że pani usłuchała rady matki i wyszła trochę na świeże powietrze. I cóż, posłużyła pani przechadzka? Ale pocóż pytam? — pani zupełnie inaczej teraz wygląda.

— Jakże się ma mój ojciec?

Doktor wzruszył ramionami. — Zważaj pani tylko na siebie, panno Herminjo, wychodź codziennie przynajmniej na godzinę, i staraj się także nakłonić matkę do używania świeżego powietrza. Co się zaś tyczy ojca pani, to znajduje się on w sile wieku — spodziewajmy się więc jak najlepiej.

Odszedł. Zwolna, z wahaniem prawie, Herminja szła dalej. Jakby z obawy spotkania się z matką, udała się naprzód do swego pokoju i po niejaki



dopiero czasie zeszła do pokoju rodziców. Chory leżał jak zwykle z zamkniętymi oczyma; usta jego poruszały się, jak gdyby mówił — ale tylko kiedyniekiedy pojedyncze wyrazy dochodziły uszu otaczających. Częściej niż dotychczas zmieniano mu okłady lodowe dla ochłodzenia rozpalonego czoła. Pani Werner, stojąc na uboczu, zmawiała modlitwę wieczorną, a łzy spływały po jej bladej, wynędzniałej twarzy. Młode dziewczę stało pośrodku, zwracając swe duże, łzami teraz zaszle oczy, to na modlącą się matkę, to na gorączkującego ojca, — kochała go przecież i boleść niewysłowiona przejmowała jej duszę na samą myśl, że utracić go może — a mimo to głos jakiś szeptał w jej wnętrzu, że to, co dla niej najwyzszem życia szczęściem się zdawało, przez ojca nigdy za takie uznaniem nie będzie i że dla tego... Ścisnęła czoło obiema dłońmi nie chcąc dalej myśleć.

— Biedne dziecko — szeptał chory — biedne dziecko ...

O niej to była mowa... Padła na kolana przed łóżkiem, oparła głowę na jego krawędzi i załkała głośno. Przybiegła matka i objawszy płaczącą, uprowadziła ją do drugiego pokoju.

— Dziecię, na Boga, kto się tak zaraz zanosi! Ojcu wszakże nie gorzej!

— Nie? — zapytała Herminja.

— Nie zaszła wprawdzie żadna zmiana — upewniała matka. Ale jakże ci poszło na twej wyścieczce?

— Dobrze — odrzekła Herminja niedbale. — Ale spotkałam doktora — dodała z pośpiechem, i polecił mi nakłonić cię, kochana mamó, abyś codziennie przez godzinę świeżego powietrza używała. Chciałabym, abyś jutro, mamó, wyszła także, i przyrzekam ci w nieobecności twej ani na chwilę ojca nie opuścić.

Pani Werner ze smutkiem pochyliła głowę. — Niepodobna, dziecię moje, istotnie niepodobna.

Czuła się rzeczywiście bardzo wyczerpaną.

— Lecz czemu nie możesz,—pytała córka,—skoro upewniam cię, mateczko, że pozostanę przy ojcu?

— Byłoby to dla mnie dostateczne, lecz nie mogę się zdecydować wyjść teraz, by wszystkim znajomym na zapytania odpowiadać. Nie, nie mogę — czekajmy jeszcze kilka dni, aż z boską pomocą stan ojca się polepszy. Czyś ty wielu spotkała znajomych?

— Nie, nie spotkałam nikogo — odpowiedziała Herminja wymijająco. Chciała jeszcze czas niejaki pozostać przy łożu ojca, lecz matka znów ją upewniła, że stan chorego nie pogorszył się, że sama przy nim pozostanie. Herminja czuła instynktownie, że matka ją łudzi, wszakże chętnie usłuchała rady i poszła do swego pokoju. Chciała zostać samą. Po męczarniach ostatnich trzech tygodni zbyt szybko nastąpiła błogość dzisiejsza, a potem znów widok chorego ojca, wynędzniałej matki! Zmiana była zbyt wielką — musiała być samą, aby wszystkie te wrażenia w swej duszy uporządkować. Raz jeszcze rzuciła bolesne spójrzenie na chorego ojca, prosiła, by przy najmniejszej zmianie w stanie chorego zbudzono ją, i wysunęła się do swego pokoju.

Dzięki troskliwości starej służącej, znalazła tu ogień rozpalony na kominku, a na stole przybory do herbaty. Herminja odetchnęła głęboko — nie myślała jeszcze udać się na spoczynek. Zrzuciwszy więc z siebie wierzchnie ubranie, włożyła szlafroczek i usiadła na fotelu przed kominkiem.

Usiadła i dumać poczęła. Marzyła, i uśmiech szczęścia igrał w około ust jej. Trzaskanie ognia na kominku zdawało się jej być żarliwemi słowy miłości; serce jej poilo się nieznaną nigdy lubością. Teraz znowu jakby jęk jakiś dobył się z płomieni — Herminja drgnęła — zdawało jej się, jakby jęk ten wyszedł z pokoju chorego ojca. Wnet jednak oprzytomniała — z dalekiej alkowy głos ten nie mógł dojść,

i dumiała spokojnie dalej. Aż oto głos dalekiego dzwonu zabrzmiał jej w uszach — byż to hallucynacja jej rozmarzonej wyobraźni? Zamknęła oczy i słuchała. Oh, teraz poznała te dźwięki. Widziała się w duchu zdobną w dżadem oblubienicy przy boku ukochanego. Lecz nie baldachim, wedle starego swojskiego obyczaju, rozciągał się nad nimi. Spójrzała w górę, ku sklepieniu wysokiej katedry, a ksiądz z godłem innej wiary w dłoni, udzielał błogosławieństwa nowożeńcom — ich to ślubowi przygrywały dzwony. A zdawało się jej, jakby już była hrabiemu zaślubioną i miała przestąpić próg kościoła, gdy nagle cofnęła się przestraszona — u wejścia do kościoła stał jej ojciec, odziany w szaty śmiertelne, rzucając na nią przekleństwo. Strwożona krzyknęła, a własny jej krzyk zbudził ją ze snu straszego; poznała, gdzie się znajduje — we własnym swym pokoiku. Drżała wszystkimi członkami, pot zimny wystąpił jej na blade czoło. — Nie — — wybąknęła — nie! — był to ślub złożony własnej jej lepszej istocie.

Podniosła się i zawlekła do posłania. Zegar na blizkiej wieży wydzwonił północ; lecz sen nie prędko skleił jej powieki. Wspomnienie snu mianego ścigało ją nieodpornie i znów przysięgła sobie, iż hrabiego więcej nie ujrzy. Do czegożby nowe takie spotkanie mogło ich doprowadzić? Nie powątpiewała wprawdzie o szczerości zamiarów hrabiego; lecz jej rodzice — czyż oni kiedyś się zgodzą, by wyszła za innowiercę? Nigdy, nigdy! — o tem była silnie przekonana. Gorące łzy puściły się jej z oczu; płakała nad tem, że zrzec się musi szczęścia, co się jej nastrecało; lecz nigdy nie przeniesie na sobie, by szczęście to okupić przekleństwem rodziców . . . Płakała długo i boleśnie; a gdy łzy się jej wyczerpały, lżej jej się zrobiło, powzięła postanowienie — zrzekła się.

Mimo niespokojnie strawionej nocy, wstała raniutko i udała się do pokoju ojca. W stanie tegoż żadna

nie zaszła zmiana; lecz matka znajdowała się jeszcze w sąsiednim pokoju w łóżku; czuła się bardziej jeszcze osłabioną, niż dnia wczorajszego. Herminja błagała, by jeszcze godzinę wypoczywała—nadaremnie, pani Werner z wyteżeniem wszystkich sił się podniosła i ubrała.

— Gdybyś, droga matko, zechciała wraz ze mną w południe na półgodzinę choćby wyjść — toby ci niezawodnie posłużyło.

Matka potrząsnęła głową. — Nie, moje dziecko — rzekła — nie mogę. Lecz ty, musisz znów wyjść — potrzebujesz tego koniecznie.

— Nie, matko, jeśli nie z tobą, to sama pewnie nie wyjdę — odparła Herminja żywo, a lekki rumieniec pokrył jej blade lica.

— Tylko nie tak stanowczo, dziecko; spodziewałam się, iż jednak dobrej rady usłuchasz, i skoro się trochę ociepli, przejdiesz się.

Herminja potrząsnęła piękną głową. — Pozostanę przy tobie, matko!—rzekła.

Była rzeczywiście zdecydowaną pozostać w domu; ale gdy później pochylona nad robótką, przypominała sobie błogość wczorajszą, bolesne westchnienia dobywały się jej z piersi. Tak ją zastał lekarz, wychodząc w towarzystwie pani Werner z pokoju chorego. Przypisując jej posępne wejrzenie trosce o ojca, bladeść jej lic dusznemu powietrzu w pokoju, nalegał na matkę, by nakłoniła córkę do codziennego wychodzenia.

## 9.

Godzina oznaczona na schadzkę zbliżała się. Czy też hrabia jej oczekiwać będzie? Czy uczuje niepokój z jej spóźnienia się? Przypominała sobie każde słowo, jakie wczoraj do niej wyrzekł, a serce jej biło prawie dosłyszalnie. Był tak piękny, tak szlachetny z kimkolwiek go porównywała, nikt mu nie dorówny-

wał. A jeśliby istotnie prosił o jej rękę, jeśliby chciał ją poślubić i uczynić hrabiną — musiałaby zrzec się tak niesłychanego szczęścia? — musiałaby?...

— Prześliczna pogoda, powietrze tak czyste, świeże: ubierz się, moje dziecko, i wyjdź trochę!

Herminja drgnęła; nie zauważyła wcale obecności matki.

— Proszę cię, mamó, dozwól mi dziś pozostać w domu. Jutro...

— Ależ, dziecko, w tejporze roku pogoda taka jest rzadką i trzeba z niej korzystać. Idź więc, idź, uczyn to dla mnie...

Herminja spojrziała na matkę dziwnie. — Dla twojej miłości, mamó, mam iść — dla twojej miłości opuścić cię?..

— Na godzinę!

Herminja zarumieniła się — sama matka nakłania ją do przeniewierzenia się postanowicni, jakie z miłości dla rodziców była powzięła? Zdawało się jej z ust matki usłyszeć wyrok swego przeznaczenia, i zbyt chętnie przyjęła to, czego pragnęła, za wyrocznie losu

— Więc jeśli koniecznie tego pragniesz, wyjdę. I podniosła się. — Do widzenia!

— Do widzenia, kochane dziecko!

Herminja uściśnęła matkę i wybiegła. Z gorączkowym pośpiechem ubrała się, i w lot zbiegła ze schodów. Kwadrans już po oznaczonej godzinie... Czy też spotka jeszcze Bertę, czy hrabia na nią czekać będzie?.

— Ha, otóż ona, poczeiwa Berta...

— Nie spotkawszy cię przy wejściu na promenadę, umyśliłam pójść na twe spotkanie; ale obawiałam się, że wcale już nie przyjdiesz.

— A ja znowu mniemałam, że w skutek mego spóźnienia się już cię nie zastanę. Nie bierzesz mi tego za złe?

— Jesteśmy wszak przyjaciółkami. Ale śpieszmy się.

Prędko dosięgły głównej alei, potem bocznej.

Za chwilę ukazał się i hrabia Staremburg. Po pierwszym przywitaniu dowiadywał się o stanie ojca Herminji; miał szczerą chęć przedstawienia się jemu osobiście, bo w gruncie zacnemu jego charakterowi sprzeciwiały się te schadzki z młodem dziewczęciem na promenadzie. Lecz choroba Wenera usprawiedliwiała go. I dziś szedł on przy boku Herminji; wszak postanowił już nieodwołalnie prosić o jej rękę—pocoż więc to żenowanie się? Że mogą być rodzice, którzyby jemu, wysoko urodzonemu arystokracie, córki odmówili — tego nawet nie przypuszczał.

Ze swobodnym więc zachwytem poił się urokiem, jaki młoda dziewczica nań wywierała, a Herminja — im bardziej czuła, że zachwycała, tem w istocie bardziej stawała się zachwycającą. Ileż razy przespacerowali już dziś aleję, a Herminji zdawało się, jakby dopiero co spotkali się, aż wreszcie Berta, przypominając, iż czas do domu, upewniła, że godziny już minęły.

— Czy się spotkamy jutro o tej samej godzinie i w tem samym miejscu?—zapytał hrabia Staremburg ujmując rękę Herminji, i błagalnie jej w oczy spoglądając.

Dziewcze zarumienione przyrzekło. Hrabia spojrział ku szaro zabarwionemu niebu.

— Czy na pewno panią tu spotkam?

— Napewno.

Schylił się nad jej rękę i pociągnął ją do ust. Herminja zadrżała. Rumieniec okrył jej lica, uczucie niewymownej rozkoszy ją ogarnęło. Hrabia Staremburg spostrzegł jej wzruszenie, uśmiech szczęścia zaigrał na jego ustach, i raz jeszcze ucałował jej rękę; potem ukłoniwszy się obu przyjaciółkom, oddalił się.

Teraz dopiero Herminja spostrzegła, że ciemno się

już robi. — Śpieszmy — rzekła, — Mama pewnie już o mnie się niepokoi... Czy czekać mię tu będziesz znów jutro po południu?

— Rozumie się—twoje szczęście jest mojem— ale oto już jesteśmy na waszej ulicy.

— Dobranoc, dobranoc!—Jeszcze jeden uścisk dłoni i dziewczęta rozstały się.

Herminja czuła się tak lekką, tak szczęśliwą, nawet myśl o chorobie ojca nie przeszła jej przez głowę. W tualecie promenadwej pośpieszyła do matki, by ją uścisnąć; w poczuciu swej błogości przycisnęłaby świat cały do piersi. Z dumą serca macierzystego spoglądała pani Werner na kwitnące dziewczę, podziwiając jej świeże wejrzanie, które tylko posłuszeństwu jej życzeniom zawdzięczała.

— Spotkałaś się z kim, moje dziecko?

— Z Bertą, promenada była dziś nadzwyczaj ożywioną, piękna pogoda wywabiła dziś cały elegancki świat na przechadzkę.

— Naturalnie, to też jutro musisz mi znowu na chwilkę wyjść.

— Jeżeli rozkazujesz, mamó, to nie będę ci się sprzeciwiała—odrzekło dziewczę z uśmiechem. Zresztą, nie chcę wcale wydawać się lepszą niż jestem. i otwarcie wyznaję, że spełnienie życzenia mojej drogiej mamy wcale mię nie kosztuje...

I tak dalej swobodnie gawędziła, pobieżnie przyciem dowiadując się o stanie ojca, a zadowolona pozornie uspakajającą odpowiedzią matki, trzpiotowała dalej. Pani Werner szczęśliwą była z tego zwrotu w usposobieniu córki, acz jej się dziwnym nieco wydawał; czuła się zaś zbyt osłabioną, by nad tem się zastanowić. Herminja, uścisnąwszy matkę, rzuciła raz jeszcze spójnienie na chorego ojca, i pobięła do swego pokoju.

Tu, przed wesoło płonącem ogniskiem na kominiku, usiadła na fotelu, i jak wczoraj dumać poczęła. Lecz dziś nie obawiała się już widziadła straszego,

co wczoraj płoszyło jej marzenia. Nie, dziś mogła bez przeszkody poić serce swe lubością, samemi kwiecistemi obrazami duszę swą kołysać...

Marzenie zaprowadziło ją do boku ukochanego, a wraz z nim do najwyższych sfer towarzystwa — i wszystko ją otaczało, wszystko podziwiała zachwycającą hrabinę Staremborg — i hrabia Staremborg, czule obejmując młodą swą małżonkę, przyciskał dłoń jej do ust, i jak na przechadzce uczuła gorące jego tchnienie na swej dłoni. Brylanty błyszczały w jej lokach, na piersiach i na ramionach, lecz promienniejszą niż te kosztowności, uznawano jej piękność nieporównaną...

Późno za dnia obudziła się. Zastała już matkę u łóża ojca. Gdyby mniej była zajęta samą sobą, dostrzegłaby pogorszenie, nastąpiłoby w stanie chorego, dostrzegłaby, że matka z wysileniem tłumii łzy do oczu jej się cisnące. Lecz Herminja była sobą tylko zajęta; wprawdzie jak zwykle troskliwe zadawała pytania — lecz odpowiedzi prawie nie słuchała. Wszystkie jej myśli, wszystkie życzenia zwrócone były ku oczekiwanej schadzce. Co też hrabia dziś powie? czy znów rękę jej ucałuje? — te i tym podobne pytania duszę jej wyłącznie zaprzętały.

Z robótką w rękę Herminja siedziała milcząca przy boku matki. Pani Werner zbyt osłabiona, by rozmowę zacząć, siedziała z zamkniętymi oczyma oparta o tył krzesła, przypisując milczenie córki względowi na jej osłabienie.

## 10.

Nadeszło południe; niebo dotąd pogodne, zachmurzyło się i śnieg w grubych płatach zaczął spadać. Z obawą wyjrzała Herminja oknem; była wprawdzie zdecydowaną dotrzymać danego słowa, mimo niepogody, gdyż była przekonana, że hrabia ją oczekuje; lecz obawiała się, by matka nie była przeciwną jej wyjściu na taką niepogodę. Teraz dopiero spostrzegła, że matka



rzadko tylko otwiera oczy, a była rada temu. Cicho zbliżyła się do okna i spuściła roletę—daremna przezorność—pani Werner siedziała odwrócona od okna i nie widziała wcale, co się na dworze dzieje.

— Czy nie chcesz znów wyjść na chwilkę? — zapytała słabym głosem. Powietrze ostatnimi czasy dobrze ci służyło.

Herminia omal że nie krzyknęła z radości.

— Jakże troskliwą jesteś o mnie, droga mamuniu! Ale sędzę, że masz słusność, świeże powietrze stało mi się potrzebą, w pokoju tak duszno...

— Więc idź, moje dziecko, ale przyodziej się dobrze.

— Bądź spokojną, droga matko!—Wycisnęła pocałunek na gorejące usta matki, nie czując wcale jej płonącego oddechu. Lecz cierpiąca otworzyła na chwilę ociężałe powieki i z uśmiechem pożegnała pieszczoszkę.

— Do widzenia, kochane dziecko!

— Do widzenia, mamó!—i wybiegła. Drżącymi dłońmi — bała się wciąż, by matka, spostrzegłszy niepogodę, nie przywołała jej napowrót—dopełniła swej toalety, i cichym krokiem, ale z głośno bijącym sercem, zeszła. Zarzuciwszy woalkę na twarz, śpieszyła ulicą, nie zważając na zamieć śnieżną. Berta zapewne już ją czeka; lecz napróżno oglądała się za nią do koła—przyjaciółce ani na myśl nie przyszło wyjść na taką niepogodę. Przez chwilkę wahała się—czyżby nie było i dla niej lepiej wrócić? czy i hrabia nie chybi także z powodu niepogody, schadzce? Lecz przyrzekła mu przyjść, przyrzekła dwukrotnie, i kosztem jakimś bądź chciała słowa dotrzymać. Ciągnęło ją doń coś jakby siłą czarodziejską, i dalej szła, mimo śniegu i zawiei.

Główna aleja ogrodu była pustą — przez chwilę ogarnęła ją jakaś obawa, ale przez chwilę tylko, gdyż przy wejściu do bocznej alei, już spstrzegła postać hrabiego.

Nie omyliła się, — był to on rzeczywiście, poznał ją i szedł ku niej.

— Herminjo! — rzekł, i wyciągnął do niej obie ręce. Ona je ujęła, i tak przez chwil kilka stali oboje milczący, patrząc sobie wzajem w promieniejące radością oczy, i nie zwracając zgoła uwagi na grube płaty śniegu, spadające im na ubranie. Po tem podał jej ramię i tak razem szli aleją, mimo zawiei, jakby najpiękniejszy ranek wiosenny z nieba się im uśmiechał.

— Pani sama przybyłaś? — zapytał hrabia, teraz dopiero oglądając się za zwykłą towarzyszką.

— Przyjaciółka moja odstraszyła się pewnie niepogodą.

— A Pani nie dała się tem powstrzymać? Czyś się pani nie obawiała sama tu przyjść?

Spójrzała nań wzrokiem pełnym zaufania.—Prosiłś mię pan, bym przyszła, przyrzekłam; czego miałam się obawiać?

— Masz pani słusność—odrzekł on i poniósł jej rękę do ust. Nie masz się pani czego obawiać. Hrabia Starenberg jest—i przerwał sam sobie. Bgostawie tę niepogodę, która darzy mię niewysłowionem szczęściem mówienia z panią sam na sam. Poraz pierwszy tego szczęścia doznając, i chcę z tej pierwszej już sposobności skorzystać, by powiedzieć pani, że ją kocham, kocham nad wyraz wszelki i pełen tęsknoty wyglądam; chwili wyzdrowienia ojca pani, by prosić go o jej rękę. Pani wszak mi jej nie odmówi?

Rumieniec zapłonął na licu dziewczęcia — ujrzała się u kresu wszystkich swych życzeń, wszystkich swych nadziei — burzliwie wznosiła się i opadała pierś jej. Lecz nie była w stanie ani słowa wymówić.

— Herminjo!—błagał hrabia—rzeknij pani słowo: czy mogę się spodziewać zwać ją kiedyś moją?

Nie była jednak w stanie odpowiedzieć; błogość chwili oniemiała ją; lecz podniosła nań oko i spójrza-

ła wzrokiem niewysłowionego szczęścia, w którym odpowiedź jej wyczytał. On ją objął i przycisnął do silnie bijącego serca, a ona się nie wzbraniała, ale upojona szczęściem, spłotła w żarliwym pocałunku swoje z jego ustami.

— Teraz jesteś moja!—wyszeptał.

— Nazawsze!— odrzekła, i oparła głowę na jego ramieniu.

W tej chwili wiatr zawiął między drzewami i strząsnął na palające oblicza kochanków warstwę śniegu, przypominając im, że się znajdują na publicznej przechadzce. Śmiejąc się, otrząsnęli śnieg z ubrania i kroczyli dalej.

— Choroba twego ojca przewleka się za długo—ozwał się hr. Starenberg—czyby nie było dobrze, byś matce się zwierzyła?

Herminja potrząsnęła głową.

— Moi rodzice nigdy nie pozwolą na nasze połączenie się—rzekła.

— Nie zezwola?—wołał on zdumiony. Czy cię dobrze zrozumiałem?

Powtórzyła cicho, ale stanowczo owe słowa; on wciąż potrząsał głową ze zdziwienia.

— I dla czego sądzisz, że rodzice twoi odmówią mi twej ręki? Czy mój majątek jest im niedostatecznym? lub też szlachectwo moje im nie dosyć dawne?—dodał cicho, z pewną ironją.

— Dla różnicy naszych wyznań—odparła Herminja.

— Ach, tak?—rodzice, twoi należą do nabożnych?

Herminja schyliła głowę na znak potwierdzenia.

— A ty?

— Jam twoja—odrzekła—przytulając się doń.

— Dzięki!—rzekł czule—nie pożałujesz tego nigdy. Ale czyś także świadoma walk, jakie prawdopodobnie przyjdzie ci staczać, wbrew ich woli...

— By do ciebie należeć, podejmę walkę z całym światem...

Oko jej błyszczało nadziemskim blaskiem. Hrabia Starenberg spoglądał na nią z zachwytem, i tak szli dalej, marząc o szczęśliwej przyszłości i układając dla niej plany.

— Ponieważ zaś jesteś przekonana—zauważył hrabia—że rodzice twoi nigdy nie dadzą zezwolenia na nasze połączenie się, a będziemy zmuszeni obejść się bez tego, to nie widzę istotnie powodu, dla czegożbyśmy mieli czekać na wyzdrowienie twego ojca. Mam znajomości. Zawada żadna nie stanie nam po drodze. Jeśli się zgadzasz, to możemy być za kilka tygodni, ba, za kilka dni połączeni.

Oblicze Herminji naprzemian okrywało się żarem rumieńca i bladością trupa.

— Arturze!—rzekła cicho—zaręczyłam ci się, ale nie wiesz za jaką cenę. Stanę się twoją, ponieważ cię kocham, i nikomu, nawet rodzicom moim, nie przyznaję prawa stawania po drodze skłonności mego serca. Mimo to, kocham mych rodziców i wiem, że i oni czułą dla mnie żywią miłość. I tak wiem, że krok, który uczynić zamierzam, nader bełśnie ich dotknie. Żałuję tego szczerze, lecz zmienić tego nie mogę, gdyż twoja miłość jest mi droższą nad wszystko, a w gruncie rzeczy rodzice moi nie mają zgoła prawa sprzeciwić się memu szczęściu. Lecz teraz ich opuścić, gdy ojciec mój tak ciężko leży chory—mogłoby go to zabić—tego sam nie będziesz żądał.

— Masz słuszność — odparł on — musimy czekać. Ale czy zobaczymy się codziennie?

— Codziennie, o tej samej godzinie. Ale patrz jak czas przeminął—już noc. Zapalają latarnie gazowe, muszę do domu...

— Odprowadzę cię do twego mieszkania. Cóż szkodzi, że nas poznają? Jesteśmy zaręczeni...

— „Zaręczeni!” — powtórzyła Herminja cicho, i w poczuciu niewypowiedzianej błogości, tem bliżej przytuliła się do jego ramienia. Ona, ona córka z lu-

du, żydówka—narzeczoną wysoko urodzonego hrabiego! Oh, to szczęście, to nigdy niespodziewane szczęście!

Upojona radością wróciła do domu swych rodziców. Pożegnalny pocałunek hrabiego pałał jej jeszcze na ręku, i usta swe przyciskała do miejsca, którego dech jego dotknął. Niepostrzeżona przez nikogo, dostała się do swego pokoju, i zdejmować zaczęła tualetę spacerową. Teraz dopiero przyszło jej na myśl, że matka już pewnie o nią się niepokoi, a jednocześnie uderzyła ją niezwykła woń piżmu zapelniająca dom cały.

— Czy panienka jeszcze nie wróciła? — usłyszała głos mężki na korytarzu. Byłże to lekarz, pytający się o nią?—nie mogła tego wiedzieć; nie wiedziała także, dla czego właśnie w tej chwili przykroby jej było spotkać się z doktorem. By więc ominąć go, szła inną drogą do pokoju rodziców. Ku wielkiemu swemu zdziwieniu znalazła izby, zwykle nieużywane, oświetlone; obcy jacyś ludzie wchodzili i wychodzili, zimno ją witając i szeptaając do siebie...

Serce jej się ścisnęło. Drżąc cała otworzyła drzwi do pokoju chorego—młody jakiś człowiek postąpił ku niej.

— Leon!—krzyknęła, cofając się niemal. On przyskoczył do niej i chwycił ją objął w swe objęcia.

— Ty tu? — wybąknęła, wciąż nie dowierzając swym oczom.

— Czy ci doktor nie powiedział, że zatelegrafował po mnie?

Dała głową znak przeczenia.

— Wczoraj około północy otrzymałem depezę, bym natychmiast przyjechał, — jeżeli chcę jeszcze ojca przy życiu zastać—dodał sflumionym głosem — i za godzinę byłem już w wagonie.

Herminja niemą stała z osłupienia. O tem wszystkim nie wiedziała. Rzuciła się do łóżka chorego i głośno łkając uklękła przy niem. Co w tej chwili działo się w jej wnętrzu—któżby zdołał to opisać? Ujrzała

się zabójczynią swego ojca — w tej chwili gotowąby była życie swoje, ba, nawet miłość swą ochoczo dla ojca poświęcić. I gdyby jeszcze był wiedział, jakie plany przed godziną jeszcze układała — podwójną, potrójnąby zmarł śmiercią. Głośno zawodząc w szalonej boleści, tłukła sobie głowę o krawędź łóżka.

— Ojcie! — łkała — ojcie! spójrz na mnie — spójrz — na twe nieszczęsne dziecko! ..

Lekarz i brat jej usiłowali ją powstrzymać; ona ujęła zwieszającą rękę chorego i pokrywała ją łzami i pocałunkami. I jakby wybuch rozpacy jego dziecięcia ulatującą duszę chorego jeszcze powstrzymywał — z wolna otworzył ciężkie powieki, i wzrok jego padł na klęczącą przy nim córkę. Było to spójrzanie niewypowiedzianej miłości i niewysłowionej trwogi. Poruszył ustami, jakby chciał przemówić; ona pochyliła się nad nim, wstrzymując dech, by słyszeć. Lecz umierającemu siły odmówiły, oczy jego znów się zamknęły. Herminja sądziła, że już na zawsze, i z serce rozdierającym krzykiem padła zemdlona...

## 11.

Podezas gdy doktor zajęty był chorym, Leon wniósł wciąż jeszcze nieprzytomną siostrę do jej pokoju. Nie miał on ani przecucia tych wyrzutów, jakie duszę jej rozdierały, w wybuchu jej rozpacy widział tylko wyraz miłości dziecięcej, i mimo własnej boleści, uczył głęboką litość dla pięknego bladego dziecucha, które niósł w swem objęciu. Ostrożnie złożył ją na łóżku, i pocałował z lekka w czoło, ale najmniejszego nie zrobił usiłowania, by ją ocucić. Rzeczywistość była tak straszną, straszniejszą niż to przeczuwać mogła, gdyż i matka, która tak długo walczyła z wdzierającą się niemocą, zapadła zaraz po przyjeździe syna, skutkiem zbytniego wzruszenia, w stan bezprzytomny, który lekarz za symptom tyfusu uznał.

Biedny młodzieniec — przed trzema miesiącami prze-

pędził święto w domu rodziców, i opuścił wszystkich w najlepszym zdrowiu, a teraz...—Przycisnął czoło ręką, nie chciał myśleć.

I napowrót pośpieszył do łóża ojca. Staraniem lekarza udało się chorego do przytomności przywołać, a gdy syn wszedł, spotkał się z pytającym lękliwie spójrzeniem ojca. Zrozumiał go...

— Matka i Herminja śpią—rzekł uspakajająco,—obie były znużone, nakłoniłem je więc, by wcześniej poszły na spoczynek.

Chory nieznacznie potrząsnął głową; z poruszenia ust widać było, że sili się, by przemówić, lecz napróżno.

— Może chcesz co napisać, kochany ojcze?—zapytał Leon.

Chory dał znak potwierdzenia. Syn, przy pomocy dozoruującego człowieka, podniósł go ostrożnie na poduszce, gdy lekarz położył przed nim arkusz papieru, i podpierając mu ramię, włożył między palce ołówek. Chory spójrzeniem podziękował, i zwolna, z niewypowiedzianem wyteżeniem, wypuszczając często ołówek z ręki, napisał dość czytelnie następujące słowa:

„Syna mego Leona ustanawiam jedynym moim spadkobiercą i opiekunem mej córki. Werner.“

Lekarz uważnie śledził za poruszeniami ołówka.

— Czy nie życzysz pan sobie, abyśmy jako świadkowie pismo to podpisali?—zapytał. Dzięczynne spójrzenie było odpowiedzią, a po ułożeniu chorego w poprzedniej pozycji, lekarz i dozorujący położyli swe podpisy pod ostatnią wolę umierającego.

Łzami zalane oko Leona spoczywało na białych, konwulsyjnie ściągających się ustach chorego, który zdawał się znów walczyć z chęcią przemówienia.

— Broń swoją siostrę—przed nią samą!—wybełkotał wreszcie.

— Przysięgam to spełnić—szepnął Leon. Lecz ojciec tych słów już nie dosłyszał. Oczy jego znów się zamknę-

ły, i wnet zaczęła się agonja. Obecne osoby wydalily syna z pokoju umierającego, podczas gdy członkowie bractwa pogrzebowego gromadzić się doń poczęli. Gdy ranek zaświtał, Werner ostatnią walkę już wywalczył. . .

Małżonka jego nie dowiedziała się o jego zgonie—nie odzyskała już przytomności. Gdy siedm dni żałoby po ojcu minęły, brat i siostra odprowadziły śmiertelne szczątki swej matki na miejsce wiecznego spoczynku.

Boleść obojga osierociałych nie znała granic. Lecz Herminja, z natury swej namiętniejsza od brata, i pozbawiona pociechy religji, której on doznawał, nadto dręczona bolesnemi wyrzutami sumienia, cierpiała w pierwszych dniach więcej od brata, a gdy on patrzył na tę szalejącą rozpacz, dopiero mniemał zrozumieć ostatnie słowa ojca, i otaczał siostrę najpieczołowitszą troskliwością kochającego brata.

I pełne poświęcenia jego starania nie były daremnemi. —Rozpacz Herminji z wolna malała, ustępując miejsca cichej boleści.

Było ku wieczorowi. Zmrok już zapadał. Leon siedział przy boku siostry i słowami pociechy usiłował zgębioną jej duszę ukoić i podnieść, gdy nieznajomy jakiś wszedł do pokoju, prosząc Leona o chwilę rozmowy sam na sam. Był to przyjaciel Wenera — Meyer.

Młody Werner poprosił go do przyległego pokoju, do którego drzwi stały otworem. Herminja nie zważała zrazu na ich rozmowę, która w początku toczyła się rzeczywiście tylko o interesach, niespodzianie zaś usłyszała swoje imię wymienione i mimowolnie nadstawiła ucha.

— Rzecz szczególna — rzekł p. Meyer—w istocie szczególna, że pan ustanowiony zostałeś wyłącznym spadkobiercą, a siostra pańska zupełnie wydziedziczona.

Odpowiedzi Leona nie dosłyszała. W straszliwym wzburzeniu wybiegła, jakby jej za ciasno było w prze-



stronnym pokoju, do ogrodu, którego puste, śniegiem pokryte aleje, jak szalona przebiegała. Więc wydziedziczona! wydziedziczona przez ojca, w którego miłość tak silnie wierzyła, którego śmierć tak gorąco opłakiwała!... Wszystkie jej wyrzuty sumienia od razu umilkły; ujrzała się skrzywdzoną, niewinnie skrzywdzoną, i krew zawrzała w jej żyłach. Nie była to chciwość, co uczucia te w niej wywołało, gdyż o braterskiej miłości Leona była równie silnie przekonana, co o jego szlachetności; lecz duma jej uczyła się srodze obrażoną. Wydziedziczona! — wydziedziczona! Zdawało się, jakoby cały świat na nią szydereco spoglądał, że wszęch stron przywoływano jej słowa urągania, słyszała je od martwych nawet drzew ogrodu. Zakryła twarz obiema dłońmi i gorzko zapłakała.

Nagle uczyła się objętą dwoma ramionami; okrzyk przerażenia dobył się jej z piersi, a gdy się odwróciła, krzyknęła z radosnej niespodzianki — padła w objęcia hrabiego Staremberga.

— Herminjo, drogie, kochane dziewczę — tyś nie-szczęśliwą, płaczesz?...

— Nie, nie, już nie płaczę. Wszak ty jesteś przymnie — wszystko znowu dobrze...

Od kilku już dni hrabia, którego wzgląd na żalobę rodziny wstrzymywał od jawnego starania się o rękę Herminji, przychodził co wieczór do ogrodu Wernerów, okalającego dom ich z trzech stron. Nieodpor-na jakaś siła ciągnęła go w pobliże ukochanej dziewczicy, a że delikatność wzbraniała mu jeszcze odwiedzać ją w mieszkaniu, codzień więc, skoro mrok zapadał, przechadzał się godzinami całemi koło jej domu, śledząc w oknach choćby za cieniem ukochanej. Przy tej okazji dostrzegł raz wejście wolne do ogrodu, i od-tąd chodniki onego stały się najulubieńszem miejscem wieczornej jego przechadzki. Żeby zaś ją tu miał spotkać, tego nie śmiał nigdy się spodziewać.

Tak szczęśliwemi się czuli oboje, widząc się obok

siebie, że chwile mijały, zanim znaleźli słowa nadające wyraz tym uczuciom.

— Chodź—szepnął wreszcie on—pociągając ją na widniejsze, światłem księżyca oświetlone miejsce, — dozwól, bym na ciebie popatrzał; tak dawno już twej anielskiej twarzy nie oglądałem...

Ze szczęśliwym uśmiechem na ustach spojrzała nań; on silniej przyciągnął ją do swej piersi.

— Czy to blade światło księżyca, co ci dziś tak eteryczną nadaje postać, czy też co innego? — powiedz mi luba, czemuż cię we łzach zastałem, i cóż mi zjednało niespodziewane szczęście spotkania cię tu, i o tej godzinie?

Herminja wahała się z odpowiedzią; lecz on naglił, i wreszcie ze spuszczonei oczyma wyjawiała mu przyczynę swych łez. Hrabia serdecznie się zaśmiał.

— I dla tego płakałaś? — dla tego? Czyś sądziła, że m zbyte ubogi, bym mógł ci spadek po ojcu wynagrodzić?...

Spojrzała nań poważnie.

— Sądzisz, że oplakuję stratę udziału w majątku ojca? O nie, tegobym nigdy nie oplakiwała, — lecz sądziłam zawsze, że dzielę miłość mego ojca z moim bratem, ale że jej nigdy nie posiadałam, że — wargi jej drżały, nie zdolną była więcej mówić.

Hrabia wycisnął pocałunek na rozplómiemionem jej czole.

— Gdyby to ciebie tak bardzo nie zasmucało, to by to moje szczęście nieskończenie podwyższało, żeś obecnie bez majątku, że nie masz nikogo, któryby cię kochał, że przeto ja tobie wszystkim być mogę. Chodź, ukochana, dla mnie bądź szczęśliwą. Ach, gdybyś wiedziała, jak mię miłość twoja szczęśliwym czyni.

I opowiadał jej o swych bogactwach, o swych włościach, których posiadanie ona odtąd z nim dzielić będzie; opisywał jej wspaniałość swych zamków, —

a ona słuchała słów jego, drżąc cała z radości, i zapominając zupełnie o poprzednim swym smutku.

— Dla ciebie — rzekła — cieszyć się będę swem ubóstwem, a ochoczo tobie i twej miłości wszystko zawdzięczać będę...

Zastanawiali się teraz nad sposobem najrychlejszego doprowadzenia do skutku swych zamiarów. Hrabia Staremborg był zdania, iż zaraz nazajutrz powinien udać się do jej brata i opiekuna, i jawnie o jej rękę prosić. Herminja wszakże, znająca religijne zapatrywania swego brata, przekonała go wnet, iż tą drogą nie mają się czego spodziewać. Uradzili więc wreszcie, że hrabia czynić będzie po cichu wszelkie potrzebne przygotowania, i w następnym tygodniu, kiedy brat jej na parę dni wyjedzie, ona dom ojcowski opuści. Na jednym z dworów hrabiego Herminja przyjmie chrzest; aktu chrztu, a zaraz potem obrzędu ślubnego, dopełni kapłan dworski. Stawszy się raz chrześcijanką i małżonką hrabiego, Herminja zawiadomi o wszystkim brata, by go powstrzymał od wszelkich daremnych poszukiwań.

Lecz czas upływał, i Herminja obawiać się zaczęła, by brat nie dostrzegł jej zbyt długiej nieobecności. Hrabiemu tak ciężko przychodziło z nią się rozstać, gdyż mimo jego błagań, stanowczo odmówiła widywania się z nim w ogrodzie, lub na promenadzie, aż do dnia swej ucieczki. Raz jeszcze ją objął i do serca przycisnął.

— Za ośm dni—jesteś moja, w obec Boga i ludzi!

— Za ośm dni jestem twoją!—do tego czasu zaś, zegnaj!..

Jeszcze jeden pocałunek, potem wyrwała się z jego objęć i pośpieszyła do domu. Niespostrzeżona, jak wyszła, wróciła, — dom ich był tak opustoszałym od śmierci rodziców. Lecz w duszy jej promieniała radość i szczęście. Byłać wszak narzeczoną, zazdrości godną narzeczoną jednego z najbogatszych panów w kraju,

i za dni ośm będzie z nim połączoną—stanie się hrabiną, wszystkie wspaniałości jakie jej opisał, staną się jej własnością!..

## 12

Brat jej, po odejściu p. Meyera, znajdował się w salonie, zajęty przeglądaniem jakichś ksiąg kupieckich, a zagłębiany w rachunkach, nie dostrzegł jej wejścia. Herminja rzuciwszy się na fotel, wzięła w rękę książkę jakąś; lecz litery tańczyły jej przed oczyma, tak, że nie była w stanie czytać. Nagle wstała, postąpiła ku fortepianowi, od tygodni już zamkniętemu, i zaintonowała kilka akordów, od których aż zatrzęsło się w pokoju. Leon zerwał się złękniiony.

— Herminjo! — zawołał.

Grała dalej, a odwróciwszy głowę do brata, zapytała z uśmiechem: — „Plait-il?”

Leon zbliżył się do siostry i ujął łagodnie, ale silnie jej rękę.

— Czego chcesz? — odrzekła uśmiechnięta — czemu nie dajesz mi grać?

— Jesteśmy w żałobie — rzekł on eicho — czyż nie wiesz, że obyczaj żydowski zakazuje żałobnikom muzyki?

— Obyczaj żydowski? — powtórzyła z ironją — powiedz raczej *nieobyczaj*; ale nie myślę wcale kępować się temi przesadami. Bądź łaskaw zwolnić mi rękę.

On jednak trzymał je dalej. — Herminjo, dla Boga, co z tobą zaszło? Jakżeś się od razu tak zupełnie zmieniła? — Dotąd żałoba twoja granic nie znała, a od razu..

— Prawda to — wpadła ona — oplakiwałam szczerze naszych rodziców, bo serdecznie ich kochałam. Ale odkąd wiem, że miłości ich nigdy nie posiadałam...

— Dla Boga żywego, co ci na na myśl przychodzi? Jakże możesz tak mówić?..

— Słyszałam wszak, jak i pan Meyer dziwił się, że ty ustanowiony zostałeś jedynym spadkobiercą, a ja — wydziedziczona...

Przy tych słowach zbladła, w głosie slychać było łez...

— Biedne dziecko — rzekł Leon, pociągając ją ku sobie — słyszałaś to, i to cię tak zmartwiło — teraz rozumiem... Ale przysięgam ci — ciągnął po chwili namysłu dalej, — że lubo celu tego rozporządzenia naszego drogiego ojca nie znam, przekonany atoli jestem, że nie powodował nim brak miłości dla ciebie, gdyż ostatnie jego technienie było prośbą do mnie, bym się tobą opiekował, bym cię bronil..

— Co mówił? — zapytała Herminja cicho.

— „Broni swoją siostrę przed nią samą!“

Ona wstrzęsła się, potem nagie buchnęła nienaturalnym, wymuszonym śmiechem.

— To zabawne, doprawdy — przedemną sama masz mię bronić — trudne w istocie zadanie i, obawiam się, niewdzięczne...

Podniosła się i w dumnej postawie stanęła na przeciw brata, gdy jego oko badawczo na niej spoczęło. Wysoka jej, królewska postać przewyższała jego nieco pochyloną figurę; żar namiętny jej wielkich ciemnych oczu dziwnie odbijał od jego łagodnego, badawczego wzroku, zacierając w tej chwili zupełnie ich zwykłe do siebie podobieństwo.

— Herminjo — zaczął on po kilku chwilach milczenia — zwracam twą uwagę, że ostatnia wola naszego zgasłego ojca nie ma żadnego zgoła prawnego znaczenia; nie można prawych dzieci swoich wydziedziczać. Sądy mogłyby w obecnym wypadku tyle tylko wolę ojca uwzględnić, że zatwierdziłyby mię w charakterze opiekuna twego, co z samego prawa już mi przynależy, lecz spadkiem dzielimy się oboje, a więc...

— Więc wszystko znów dobrze! — zawołała szyderczo, buchając znów wymuszonym, nieprzyjemnym śmiechem.

— Herminjo, zaklinam cię!..

Lecz ona nań nie zważała; odwróciwszy się do fortepianu, znów grać poczęła. Raz jeszcze prosił ją, by przez wzgląd na niego nie uwłaczała religijnemu zwyczajowi, — ona poruszała ramionami i grała dalej.

Była to gra dziwnie porywająca. Pomimo woli, jakby przykuty do miejsca, Leon, zamierzający wyjść, pozostał i słuchał. Jakby lżąc i naigrawając, grzmiąły potężne akordy po opustoszałym domu żałoby. Długo tłumiona walka jej duszy, wszystkie tak sprzeczne uczucia, jakie od tygodni serca jej już rozdierały, już błogością napępiały, wszystkie te uczucia w jedno zlane wylewały się burzliwym potokiem dźwięków. A zwolna, zwolna, w mistrzowskim przejściu przebrzmiał gniew, i dziwnie słodkie tony, to jak śpiew słowicy, to jak cichy szept miłości, drżąco przeciągały... A nagle znów zgiełkowie, tryumfująco, wyzywająco, to w upojeniu najwyższego szczęścia, to znów w poczuciu dzikiej, bachanckiej rozkoszy...

Leon stał jak trup błądy: niewymówny ból ścisnął mu serce; stanęły mu na myśli ostatnie słowa ojca i żywo uczuł trwogę umierającego.

Świętą przysięgą ślubował opiekować się siostrą, strzedz ją jak oka w głowie; ale widział, że w tem usposobieniu ducha jest ona nieprzystępną, i ze zboląłem sercem oddalił się. I w następne dnię napróżno silił się przywrócić poprzednią miłą zgodę. Herminja unikała go widocznie, na pytania jego odpowiadała krótko i wymijająco, a nalegające jego prośby o wyjaśnienie dziwnego tego zachowania się, pozostawiała bez odpowiedzi.

Tak upłynął tydzień i nadeszła sobota. Następnego dnia, w niedzielę, Leon musiał wyjechać. Czynył

to niechętnie, z konieczności — na trzy dni musiał siostrę opuścić. A na tę właśnie niedzielę Herminja odłożyła swą ucieczkę z kochankiem. Opuszczała dom rodzinny i wiarę, by należeć do tego, którego nade wszystko ukochała. Serce jej biło głośno, gdy sobie przypominała szczęście, jakie jej dzień jutrzejszy miał przynieść, — ale gdy potem na brata spojrzała, na brata, który ją tak serdecznie kochał, którego jednak potajemnie opuścić miała — blade jego usta teraz już zdawały się ją o niewdzięczność oskarżać. Przysięgnął on żyć dla niej tylko, dla jej szczęścia, a ona była w zamiarze uciec odeń!... Nie zachwiała się w postanowieniu, ale serce jej zmiękło, a oczy łzami się zapelnily. Był to ostatni sabat, który jako żydówka — ostatni dzień, który przy boku brata przepędzić miała.

Leon poznał po jej łagodnem, zwilżonem oku, że usposobienie jej znów się zmieniło; korzystając z tej zmiany i niepomny jej dotychczasowego obejścia, zaprosił ją na przechadzkę. Dzień był pogodny, słoneczny. Herminja mimowoli spojrzała ku jasnemu, czystemu niebu, Chętnieby się zgodziła na proponowaną przechadzkę, od śmierci bowiem ojca domu nie opuściła i świeżego powietrza łaknęła. Lecz coś ją wstrzymywało. Przystąpiła więc do brata, i oparłszy pieszczotliwie rękę swą na jego ramieniu, spojrzała nań z czułością.

— Kochany, drogi Leonie, tyś tak dobry, tak nieukończony dobry... Byłam przez cały czas tak niegrzeczną względem ciebie, a tyś, mimo to, swego postępowania względem mnie nie zmienił. Czy istotnie nie gniewasz się na mnie?

— Jakżebym mógł gniewać się na ciebie? — odrzekł on czule — tyś wszak jedyną mą siostrą, jedyną istotą, którą kocham, i dla której żyję! Niegrzeczność

twoja boli mię, bo poznaję po niej, że się czujesz nie-szczęśliwą; ale gniewać się na ciebie nie mogę.

— O, na tyle miłości nie zasługuję — odparła ona drżącym głosem — lecz wywzajemnię się z całego serca. Przysięgam ci, Leonie, że mimo pozornej mej oziębłości, ani na chwilę nie przestałam cię kochać...

— Nie powątpiewałem ani na chwilę o twojej siostrzanej miłości — odrzekł on, i złożył pocałunek na jej czole.

— A nie będziesz nigdy o niej powątpiewać, nawet wtedy, gdy się okaże niegrzeczniejszą jeszcze, ozięblejszą względem ciebie?

— Spodziewam się — odparł z lekkim uśmiechem — że nie zechcesz mnie w ten sposób na próbę wystawiać.

— Nie spodziewaj się tego — odrzekła żywo. — O, wiem, że ci się okażą daleko ozięblejszą, daleko przykrzejszą; lecz nigdy, nigdy nie przestanę z całej duszy cię kochać... I okoliła go swemi ramiony i do serca przycisnęła.

— Przysięgnij mi, Leonie, że nigdy o miłości mej nie będziesz powątpiewał!...

— Szczególnie z ciebie dziecko—odparł on z czuciem. Czemużbym miał o przywiązaniu mojej Hermijnji wątpić?

Ona się zarumieniła—czuła, iż za daleko się posu-nęła, i szybko cofając się rzekła:

— Byłam względem ciebie bardzo, bardzo niegrzeczna; ale przyrzekam ci, że nigdy już nią nie będę. Czy mi przebaczasz?

— Nie mówmy już o tem; któż pamięta o dniach słoty, kiedy słońce pięknie świeci? No i cóż, wyjdziemy trochę?

— Jeżeli ci nie koniecznie na tem zależy, wolałabym w domu pozostać. Na spacerze spotkamy dziś



pewnie wielu znajomych, a pragnęłabym sama z tobą pozostać, i tak jutro musisz mię opuścić...

— Zostańmy tedy w domu, luba siostrzyczko — rzekł, pociągając ją za sobą na kanapę. — Co do mojej jutrzejszej podróży, to żal mi niezmiernie, że muszę cię samą, tak zupełnie samą zostawić. Nie uwierzysz, ile mię to martwi, ale cóż czynić?..

Oparła głowę o jego ramię i oczy swe zasłoniła dłonią — w tej chwili nie podobna było, by oczy ich się spotkały.

— Kiedy wrócisz? — zapytała cicho.

— Zamiarem moim było — we wtorek wieczór; ale jeśli tylko można będzie, wyjadę nocą i we wtorek rano będę u ciebie, luba siostrzo!

— Nie rób tego! Dla mnie nie narażaj się na podróż zimową nocą.

— Nie dla ciebie, ale dla mnie — bym prędeż miał szczęście ujrzenia mej ukochanej, drogiej siostrzyczki...

Tak jeszcze gawędzili z sobą, aż zmrok zapadł. Wieczorem, po nabożeństwie „Hawdali,” do krórej Herminja przygotowała na stole, z niezwykłą jej troskliwością, wino, świeczkę woskową i pudełeczko z korzeniami, Leon jął czynić przygotowania do jutrzejszego wyjazdu. Herminja sama zajęła się upakowywaniem rzeczy potrzebnych mu w drodze, a w trakcie tego on często do niej dochodził i pieścił.

— Czy będziesz także o mnie pamiętać, gdy daleko będziesz odemnie? — zapytała, przytulając się doń.

— Zawsze, dziecko, zawsze! Lecz nie zasmucajmy sobie zanadto rozstania; to przecież tylko na trzy dni; w każdym razie spodziewam się we wtorek wieczór wrócić...

Herminja nie była w stanie zawładnąć swem wzruszeniem; tyle miłości, tyle zaufania — miała zdradzić!..

Późno wieczorem brat i siostra rozstali się, by nazajutrz rano znów się zejść, gdyż pociąg którym Leon jechać miał, odchodził bardzo wcześnie. Herminja przepędziła noc bezsennie—zdradzały to jej blade lica i zaczerwienione oczy. Leon, wzruszony jej smutkiem, udawał przy rannej kawie weselość, której nie posiadał. Lecz czas naglił, dorożka mająca go zawieźć do kolej, czekała przed bramą. Uścisnął więc raz jeszcze siostrę, i szepnąwszy jej kilka słów pocieszających, chciał ją pożegnać. Ona go nie puszczała, uczepiła się jego ramienia i towarzyszyła mu aż na ulicę, mimo surowego rannego powietrza. Dłużej nie mógł się zatrzymać, raz jeszcze uścisnął ją, ona zarzuciła ramiona w około szyi jego i głośno załkała — on się wyrwał i skoczył do powozu. Nie wiedząc sama co czyni, biegła jeszcze kilka kroków za oddalającym się powozem, aż stara Marta ją zatrzymała.

— Dobra, kochana panienko, panicz na wszystko w świecie zaklinał mię, bym w czasie niebytności jego nad panienką czuwała. Proszę więc wrócić do pokoju; mogłaby się panienka zaziębić i zachorować, a cóżby na to panicz powiedział?

Wciąż jeszcze płacząc, ale jak dziecko postuszne, Herminja poszła za starą; czuła się tak osłabioną, że dała się słudze namówić, by znowu do łóżka się położyć. Nie długo trwało, a stara zastała swą młodą panią w spokojnym śnie pograżoną.

Upłynęło kilka godzin; słońce stało już wysoko na niebie, gdy Herminja się zbudziła. Sen dziwnie ją pokrzepił; znikło rozezulenie, które przy rozstaniu z bratem tak nią owładnęło; jedna tylko myśl napęniała jej serce i duszę jej błogością poila,— dziś jeszcze miała się złączyć z kochankiem...

Szybko się podniosła i ubrała, potem zadzwoniła na służącą.

— Kochana Marto! — rzekła — tak pusto teraz u nas; w nieobecności brata nie jestem w stanie znieść tej samotności...

Stara ocierała sobie oczy końcem fartucha. — Biedna, kochana panienska, mogę to sobie wystawić.. Ale pojutrze panicz z pewnością wróci i wszystko będzie dobrze...

Herminja potrzęsła głową. -- Nie wytrzymam tu sama. Ale wiesz co zamýślam? Chcę pójść do mej przyjaciółki Augusty Meyer, i u niej pozostać aż do powrotu mego brata. Państwo Meyer byli zawsze tak życzliwi dla mnie, i teraz pewnie mię ugoszczą.

— O, pewnie, pewnie — potakiwała stara — to za prawdę myśl wyborna, droga panienko!

— A czy mogę liczyć na to, że pilnować będziesz domu i do powrotu mego brata pod żadnym pozorem go nie opuścisz?

— O, bezwątienia!

— Wiem, żeś wierna i liczyć na ciebie można. Lecz droga do Meyerów jest dosyć daleką; czybyś nie była tak dobrą sprowadzić mi dorózkę?

— Ale wszak nie teraz jeszcze? Panienska zostanie pewnie na obiad w domu.

— Nie mogę, moja Marto; samotność serce mi rozdziera. Więc proszę cię, postaraj mi się czempredzej o dorózkę.

— Kiedy panienska koniecznie każe, to śpieszę...

I w istocie pośpieszyła wierna stara, by życzeniu młodej swej pani zadośćuczynić.

Herminja owinęła się w długi, czarny szal, przyczepiła gęsty welon do kapelusza, i polecivszy raz jeszcze starej dozór nad domem, zeszła na dół.

— Do kolei — szepnęła cicho do woźnicy, gdy drzwiczki za nią zamknął. I zasunawszy franki na oba okna, przytuliła się do kąta powozu.

Tak więc pierwszy krok został uczyniony — bez przeszkody dom ojcowski opuściła. A jeśli powróci

do domu jej brat wierny, który ją tak kochał, który dla niej tylko żyć chciał, gdy powróci i znajdzie dom opustoszały — jedyną siostrę zbiegłą?.. Przy tej myśli poskoczyła, w zamiarze zastukania w okienko na woźnicę, by się zatrzymał. W tej chwili atoli powóz zawrócił, i w odległości zaledwie kilku kroków dalej ukazał się jej oczom wspaniały gmach banhofu. Zdało się jej, iż poznaje hrabiego Starenberga u wejścia, a z myśli i z pamięci znikł brat. Szybko wyjęła z kieszeni szeroką czerwoną wstążkę, odsunęła nieco okno i wywiesiła koniec wstążki na zewnątrz. Był to znak umówiony z hrabią.

Od godziny już blisko Starenberg oczekiwał u wejścia do banhofu, śledząc pilnie oczyma za każdym nadjeżdżającym powozem, a gdy wreszcie po czerwonej wstążce poznał ten, którego tak lękliwie wyglądał, omal nie krzyknąwszy z radości, przyskoczył, otworzył drzwiczki, i w miłosnem uniesieniu kochankę do silnie kołatającego serca przycisnął. Słów nie zamienili—oboje byli zanadto wzruszeni. Na chwilę tylko hrabia uchylił zasłonę z przed oblicza Herminji, i pełen zachwytu spojrzął w promieniejące szczęściem oko jej; potem skinął na służącego, i wzięwszy z jego ramienia kosztowne futro, owinął nim troskliwie młodą dziewczę i wyniósł ją z powozu.

Herminja mniemała iż śni, gdy na ramieniu hrabiego oparta, szła pośród cisnącego się tłumu. Zajęli miejsce w wagonie pierwszej klasy, a konduktor za nimi drzwi zatrzaskał. Lokomotywa raz jeszcze świsnęła—pociąg ruszył.

— Za półtorej godziny jesteśmy w zamku Starenberg, i za godzinę jesteś mi zaślubioną. Urządziłem w szystko; ksiądz pewnie już nas czeka w kaplicy zamkowej; pokoje twoje mają już dawno twą tualetę ślubną przysposobioną,—czekają swej pani.

— Zgodnie z twem życzeniem, nie z sobą nie zabrakam.

— Dzięki ci, luba, mimo to spodziewam się, iż niczego nie zbraknie. Wiernemu słudze poruczyłem staranie o wszystko; był on przez długie lata kamerdynerem u mej nieboszczki matki, a teraz będzie na twoje rozkazy, — wie on, co się hrabinie Staremborg przynależy.

„Hrabina Staremborg!” — Herminja omal że głośno nie wyraziła swego upojenia. Przed okiem jej ducha przeciągały obrazy niebiańskiego szczęścia, — lecz wśród tych snów najwyższej błogości zdawało się jej słyszeć głos brata, patrzyła w jego bladą, wylekłą twarz, gdy puste pokoje ojcowskiego domu przebiegał.

Przytuliła się do hrabiego, a miłosne jego pieszczoty szybko spłoszyły i to wspomnienie...

Okolo trzeciej hrabia odsunął firankę z przed okna i poprosił Herminję, by wyjrzała. Kolej wiała się już teraz po jego posiadłości. Przed upojonym wzrokiem dziewczęcia wznosiła się teraz na lesistem wzgórzu, wysoka, majestatyczna budowla.

— To nasza siedziba rodowa — zamek Staremborg! Patrz, jak na jego wieżycach chorągwie wieją; stary zamek wystroił się, by młodą swą panią przyjąć. Jeszcze parę minut, a jesteśmy u celu.

— A czy nigdy nie pożałujesz tego, żeś biedną mieszczańską dziewczynę jako panią do zamku swych przodków wprowadził?

— Herminjo, pytanie to nie wyszło z twego serca!..

— Nie, masz słuszność. Serce me przepełnione jest miłością ku tobie, a miłość jak śmierć wszystko zrównywa.

Swist lokomotywy przerwał im rozmowę, — pociąg się zatrzymał.

Mnóstwo wygalonowanych sług czekało na stacji, a gdy pociąg stanął, pośpieszyli wzdłuż peronu, szukając swego państwa.

Jeden ze starszych kamerdynerów na skinienie pana otworzył drzwi wagonu; hrabia wyskoczył, i po-  
dał rękę do wyjścia swej narzeczonej.

— Czy wszystko w porządku, Kasprze? — za-  
pytał służącego.

— Wszystko, jasnie panie! Powóz w tej chwili  
zajedzie.

Wsiadli. Droga do zamku szła przez park, aż  
na wzgórze. Na dziedzińcu zamkowym służba hra-  
biego tworząc szpaler, oczekiwała go, a gdy powóz  
zajechał, grzmiące hurra go przywitały. Prowadząc  
Herminję pod ramię, Staremborg kroczył przez sze-  
regi sług, każdego laskawie witając, ku schodom zam-  
kowym. Na górze czekał ich kasztelan.

— Czy w buduarze hrabiny wszystko w po-  
rządku?

— Wszystko, miłościwy panie! Pokojowe oczę-  
kują pani hrabiny.

— Więc zaprowadzę cię naprzód tam

I przez architekonicznie przyozdobioną sień, po  
marmurowych, kosztownymi dywanami pokrytych scho-  
dach, szli ku wspaniałym apartamentom, które hrabia  
wskazał Herminji jako dla niej przeznaczone.

— Tu twój buduar, — rzekł, otwierając jedno  
z drzwi i prosząc, by weszła. Lecz ona chwiejąc się  
nieomal, trzymała się jego ramienia; przepychając  
się przed sobą, ujrzała, który jej miał być odtąd własno-  
ścią, oślepił ją i zawrót w jej głowie wywołał. Sta-  
remberg zląkł się jej bladości.

— Czy nie posiliz się wprzód czem?

Wstrzęsła głową — słowa wymówić nie była  
w stanie.

— Pozwolisz więc dać się ubrać, a potem do  
kaplicy mi towarzyszyć?

Dała głową znak potwierdzenia. Hrabia skinął  
na oczekujące na uboczu pokojowe, i ucałowałszy

rękę Herminji, z zapowiedzeniem przybycia po nią za półgodziny, oddalił się.

## 14.

Teraz przystąpiły dziewczęta i rozpoczęły swoje dzieło. Herminja, od dzieciństwa nieprzywykła do tego rodzaju usług, biernie i milcząco dała na sobie robić wszystko, co zręczne służebne za stosowne uważały. Zdjęły z niej podróżne ubranie, poprawiły loki w nieładzie nieco będące, a wreszcie włożyły na nią suknię ślubną. Była to wspaniała z ciężkiej białej materji suknia, pokryta złotemi i srebrnemi haftami. Z wieńca myrtowego, co zdobił czoło dziewicze, spływał biały welon z koronek brukselskich, a na welon spadały w długich zwojach białe kwiaty pomarańczowe, wplecione w wieńce myrtowy. Mimo niezwyklej jej wciąż jeszcze bladości, usługujące dziewczęta ze zdumieniem patrzyły na czarowną piękność swej nowej pani, podniesioną jeszcze kosztownym strojem; ona sama nie miała dziś oczu dla własnej osoby. Pokojowe dzieło swoje skończyły.

— Miłościwa pani zechce łaskawie przekonać się, czy tualeta jej jest według życzenia? — rzekła jedna ze sług, nachylając swej pani wielkie toaletowe lustro. Pomimowoli Herminja spojrzała, i lekki uśmiech błysnął po jej twarzy, gdy się ujrzała w tym dumnym stroju, a lica jej znów się zabarwiły. W tej chwili wszedł hrabia Staremburg; ona dostrzegła go w zwierciadle i szybko się odwróciła. Okrzyk podziwienia wyszedł z ust jego.

— O, jak piękna, jak anielsko piękna! — i z podziwem i uwielbieniem patrzył na nią przez chwil kilka.

— Jeśli pozwolisz — ksiądz nas oczekuje..

Ujęła jego ramię i wyszli. Na końcu długiej

galerji, schody marmurowe wiodły do kaplicy. Drzenie ogarnęło młode dziewczę, gdy po raz pierwszy w swem życiu przestąpiła próg kościoła.

— Jakże się czujesz, ukochana?—zapytał troskliwie Staremborg.

Usiłowała wzruszenie swe opanować.

— Zbytek szczęścia mię przestrasza — odrzekła.

Postąpili ku ołtarzowi. Kaplica — mały w gotyckim stylu zbudowany przybytek, — promieniała tysiącem światek; lecz prócz księdza-ministranta i dwóch jako świadkowie assistujących urzędników zamkowych, nikogo tu więcej nie było.

Wzruszenie Herminji z każdą chwilą wzrastało; z trudnością tylko utrzymała się na nogach; czuła więc niejakię ulżenie, gdy hrabia cicho jej szepnął, by przed ołtarzem ukłękła. Teraz zbliżył się ksiądz, i dopełnił przedewszystkiem aktu chrztu. Jak roztopiony olów paliły krople wody święconej skroń nawróconej, jakby jej mózg roztopić chciały; czuła, iż przytomność ją opuszcza. Aż oto hrabia, obok niej ukłękawszy, objął drżącą by ją podeprzeć, i akt zaślubin się rozpoczął. Dotknięcie ukochanego, świadomość, że należy już doń cało i na zawsze, spłoszyła wszelkie inne myśli, i serce jej napełniła uczuciem niewymownej błogości.

A gdy i ten obrzęd się skończył, hrabia podniósł swą młodą małżonkę i szepnął jej do ucha słowa miłości i niewysłowionego szczęścia. W tej chwili z poblizkiej wsi doleciał odgłos dzwonu; wieśniacy to obchodzili uroczystość ślubu swego pana. Herminja zadrżała; sen, jaki na początku jej znajomości z hrabią ją zatrwożył, stanął nagle w okropnej rzeczywistości przed nią. Czując się blizką upadnięcia, oparła się cała o ramię hrabiego, który zaniepokojony, powiodł ją ku drzwiom kaplicy. Dzwony wiejskie dźwięczały wciąż, coraz silniej i silniej kołatając o ucho Herminji. Rozgorączkowany mózg jej tworzył fantomy



przeróżne, a gdy ledwie żywa miała już próg świątyni przestąpić, zdawało się jej spostrzedz tuż przed sobą wysoką postać w szatach śmiertelnych — było jej ojciec, jej zmarły ojciec, który na odstępna córkę słowa przekleństwa rzucił. . . Wydała krzyk przeraźliwy i upadłaby na ziemię, gdyby hrabia ramieniem swem nie był jej podtrzymał. Ksiądz i świadkowie przybiegli, by zemdlałą ocucić; lecz hrabia nie zezwolił na to, pojął on wzruszenie nowo mu zaślubionej, i nie chciał by się w kaplicy zbudziła.

— Hrabina nie przywykła do dymu kadzideł — rzekł — pomóżcie mi ją zanieść na górę, tam przyjdzie do siebie.

Zanieśli ją do jej buduaru; lecz trwało dosyć długo, zanim Herminja przytomność znów odzyskała i Staremborg zaczął się już niepokoić, gdy wreszcie oczy otworzyła. Z okrzykiem radości hrabia ujął ją w swe objęcia i twarz jej pocałunkami okrył; błądność jej zniknęła, lica znów się zabarwiały.

— Gdzież jestem? — szepnęła, oglądając się do koła.

— U mnie jesteś, ukochana, albo raczej ja jestem u ciebie, boś już przecież mą żoną, mą ukochaną, ubóstwianą żoną. Spodziewam się, że wkrótce pani hrabina uczuje się swojską w swym zamku.

Godziny upływały na milej rozmowie, a prędzej niż hrabia tego się spodziewał, Herminja odzyskała zwykłą swą swobodę umysłową i poczucie swego szczęścia. Gdyż kochała go, kochała całym zapalem swej ognistej duszy. Gdy spoglądała w jego oko, czuła uścisk jego dłoni, umilkło jej sumienie i nie myślała już więcej o wizji w kaplicy.

Było to nazajutrz po ślubie. W eleganckim negligu Herminja spoczywała na miękkiej sofie w swym buduarze. Hrabia Artur siedział obok niej, spoglądając w jej duże, promieniejące oczy, i gładząc jej

miękkie loki. Oboje milczeli, oboje w równej mierze czuli nieskończone szczęście należenia do siebie wzajem.

— Gdzie bawiły w tej chwili twoje myśli? — zapytał Staremborg, spostrzegłszy małą chmurkę na białem czole swej małżonki.

— U ciebie, kochany — odrzekła.

On zaś potrząsał z niedowierzaniem głową, Herminja zarumieniła się i spuściła oczy.

— Masz słuszość, Arturze, powinnam być szczerą względem ciebie. W tej chwili myśli moje nie tu bawiły.

— A gdzież była moja luba żoneczka?

— U mego brata — odparła drżącym głosem — u mego biednego, opuszczonego brata...

Łza zapełniła jej oko; Artur pocałunkiem ją obtarł.

— Którego dla mnie opuściłaś — czy żałujesz Herminjo, żeś go opuściła?

Ona zarzuciła namiętnie swe ramiona w około jego szyi. — Nie, nie, nie żałuję niczego. A gdybym i niebiańską błogość miała przez krok ten utracić, i wieczne potępienie na się ściągnąć, nie żałowałabym go.

On ją przycisnął do swej piersi. — I nie pożałujesz tego nigdy ukochana, nigdy! — odparł z pewnością siebie, jakby niebo obdarzyło go wszechmocą.

Wreszcie wyrwała się z jego objęć.

— Muszę napisać do mego brata, muszę go o wszystkim zawiadomić. Jutro rannym pociągiem wraca on — a gdy znajdzie dom opustoszałym... Tyś mi przyrzekł wysłać list umyślnym posłańcem. Bardzo wiele mi na tem zależy, by list mój doszedł dziś jeszcze starej Marty, by brat mój znalazł go po swym powrocie.

— Pisz, luba, a jeżeli pozwolisz, to i ja kilka wierszy napiszę do mego szwagra, a ręczę ci, że stara dziś jeszcze list otrzyma.

Było to wieczorem tegoż samego dnia; stara Marta zajęta była przygotowaniem wszystkiego ku przyjęciu młodego państwa, którego powrotu na jutro rano się spodziewała. Staruszce smutno też było w opuszczonym domu i z niecierpliwością oczekiwała dnia jutrzejszego. Nagle dzwonek od sieni zabrzmiał i staruszka tak szybko jak mogła, pospieszyła na dół; przypuszczała, że Herminja pewnie zmieniła plan swój i chce brata w domu oczekiwać. Gdy jednak drzwi otworzyła, ujrzała przed sobą obcego człowieka w bogatej liberji.

— Czy pan Werner w domu?

— Pan Werner wyjechał, ale jutro wróci.

— Więc proszę zaraz po jego przyjeździe list ten mu wręczyć. — Zanim jeszcze stara mogła odpowiedzieć, człowiek odcałił się.

Potrząsając głową, staruszka zamknęła drzwi od sieni i wróciła na górę. Co to za dziwny człowiek w niebieskiej kapocie ze srebrnem szamerowaniem? W życiu swoim takiego jeszcze u państwa swego nie widziała, i cóż to za list, jaki przyniósł? — Obracała go na wszystkie strony, — patrz, korona na pieczęci. — wreszcie sam król chce z młodym jej panem interesa robić — jakże się on ucieszy...

Osroźnie, zaledwie końcami palców dotykając się go, położyła list na biurku Leona.

Nazajutrz ze świtem, stara już była na nogach; napaliwszy w pokojach i przyrządziwszy wszystko do śniadania, pełna niecierpliwości czekała. Wreszcie powóz jakiś zajechał i dzwonek od sieni wnet dał się słyszeć. Staruszka zbiegła na dół i otworzyła. Leon stał przed nią.

— Witam panieca, witam. Ach, jakże się panienska ucieszy...

— Jak się ma moja siostra? Śpi jeszcze pewnie?

— Nie wiem — odrzekła stara, usiłując równym

krokiem stapać z Leonem po schodach, — trzeba-bo panu wiedzieć, panie Werner, że biedna panienka nie mogła wytrzymać tak sama w pustym domu, i zaraz w niedzielę po wyjeździe pańskim pojechała do swej przyjaciółki Augusty Meyer, mówiąc, że pozostanie przy niej, aż pan powróci. I dobrze zrobiła, nieprawdaż?

— Zapewne, że dobrze — odrzekł Leon, i myślał, co mówił; mimo to wszakże dotknęło go coś, że siostry w domu nie zastał; niewytłomaczona jakaś obawa nagle go ogarnęła, lubo sam sobie powtarzał, że Herminja nie lepszego uczynić nie mogła. Stara ujrzała się zawiedziona, oczekiwała pochwały, że zgodziła się na plan panienki, a teraz zdaje się to paniczowi nie podobać. Nieśmiało zapytała, czy ma śniadanie przynieść; Leon odmówił; chciał czekać na siostrę i prosił starą służbę, by śpiesznie pobiegła do Hirminji i dała jej znać o jego powrocie.

— Niech Marta dorózkę weźmie — dodał — droga daleka, a goreję niecierpliwością ujrzenia mej siostry.

Marta szybko się oddalała; ale zaledwie dom opuściła, Leon żalować począł, że ją posłał; czemuż sam nie poszedł — byłby prędzej szedł, a teraz musi czekać.

Smutnie chodził tu i tam po pokoju, czas włókł się dlań strasznie powoli; z zegarkiem w ręku liczył, jak długo jeszcze wypadnie mu czekać, zanim Herminja długą drogę od mieszkania Meyerów przebędzie, gdy ujrzał na biurku swem list doń adresowany. Mniej dla dowiedzenia się o treści, niż dla skrócenia sobie czasu, odłamał pieczętkę i czytał:

„Leonie, mój drogi, ukochany bracie!

Onegdaj, w chwili rozstania się ze mną, przyrzekłeś mi, że nigdy, w żadnych okolicznościach, nie będziesz powątpiewał o mej miłości ku tobie. — Nie przyszło ci wprawdzie na myśl, że tak prędko przy-

pomnę ci to przyrzeczenie, a jednak muszę to już dziś uczynić. Leonie, kocham cię głęboko i serdecznie, jak tylko siostra brata kochać może. Lecz istnieje inna jeszcze miłość, która nie jest bezinteresowna jak miłość braterska, a przeciwnie, jest pożądającą, gorąco pożądającą. Kto ją uczuje, poświęci dla niej wszystko... I ty ją kiedy poznasz i krok mój pobłażliwiej osądzisz. Lecz dziś mogę cię tylko błagać, byś mi krok ten przebaczył. Przebacz, Leonie, boleść jaką ci sprawia; przebacz mi, czuję tę boleść wraz z tobą, a jednak nie jestem w stanie oszczędzić ci jej... Bo kocham, Leonie, kocham najlepszego, najszlachetniejszego z ludzi, i jestem przezeń wzajem kochaną; bez niego nie mogłabym już żyć, i dla tego wyszłam za niego. Wczoraj ksiądz pobłogosławił przy ołtarzu ślub nasz — od wczoraj jestem hrabiną Staremborg.

Że przy tym kroku zrzec się musiałam wiary naszych ojców — kochany, drogi Leonie, wiem, że to cię niewymownie boli — lecz pomnij na słowa wielkiego monarchy i nie gniewaj się na mnie. Chciałam na swój sposób stać się zbawioną, a stałam się nią. Szczęścia, jakie przy boku Artura znajduję, i w niebie napróżno szukać.

Dla tego, przebacz mi, Leonie, raz jeszcze cię oto błagam. Tyle razy powiedziałaś, że dla mnie tylko, dla mojego szczęścia żyć pragniesz. Oto patrz, jestem tak szczęśliwą, tak niewypowiedzianie szczęśliwą — jedyny cień, jaki szczęście moje przyćmić zdoła, ta obawa przed twoim gniewem.

Napisz mi Leonie, że mi przebaczasz, a dotrzymasz swego przyrzeczenia, a uwieńczysz me szczęście koroną doskonałości.

Miły list twój, którego z upragnieniem oczekuję, proszę zaadresować do Nicei — hôtel de l'Europe; gdyż w chwili, gdy słowa te cię dojdą, będziemy w drodze do Włoch.

Lato przepędzimy na zamku Staremborg, spo-

dziewam się, iż uradujesz nas tam swemi odwiedzinami.

A teraz, żegnam, kochany, drogi bracie! Ścisną cię i całuje kochająca cię siostra.

*Herminja.*

Pod temi wierszami znajdowało się nadzwyczaj uprzejme pozdrowienie i zaproszenie hrabiego Starremberg do swego szwagra.

Po odczytaniu pierwszych już słów listu, śmiertelna bladeść pokryła twarz Leona, drżenie go ogarnęło i napróżno silił się dalej czytać — ómiło mu się w oczach. Wreszcie, przewyciężywszy swą słabość, czytał dalej.

Dziki okrzyk wyrwał mu się z piersi. Był to prawda? Mogłoby to być prawda? Herminja, jego siostra, miałaby się przemieszczać religji swych przodków, i z nieżydkiem się połączyć?... Nie podobna — źle czytał, lub w głowie mu się przewróciło. Spójrzył dziko w koło siebie — czy się rzeczywiście znajdował we własnym domu? Tak jest, i w tym samym pokoju, gdzie przed paru dniami poraz ostatni siostrę uściskał, a złowrogie pismo, które mu wieść tę straszną przyniosło, znajdowało się w jego ręku. Raz jeszcze poniosł je od oczu, chciał się przekonać, czy się jednak w czytaniu nie mylił...

Daremne nadzieje — wyczytał wieść okropną raz jeszcze, a dzika rozpacz ogarnęła serce jego. Oszupiał, w niewysłowionej boleści, spoglądał do koła, gdy drzwi nagle się otworzyły i do pokoju wpadła stara Marta w towarzystwie p. Meyera.

— Nie ma jej tam — zawołała stara — nie ma jej tam. Dla Boga, panie Werner, panienki nie ma u Meyerów, weale tam nie była...

Leon nie słuchał, słów jej, jak bezprzytomny stał wciąż na miejscu, Meyer przystąpił doń i ujął go za rękę.

— Wernerze, Wernerze — rzekł — uspokój się pan, dla Boga. Musimy czynić poszukiwania za pańską siostrą — u mnie nie była. Czy nie domyślasz się dokąd się mogła udać?

Pouury uśmiech błakał się po ustach młodziana, i kilka niezrozumiałych słów wybełkotał. Nagle krzyknął i rozdarłszy na sobie wierzchnie ubranie, padł bez zmysłów na ziemię.

## 15.

Lata minęły od opowiedzianych wyżej wypadków.

Leon Werner, odziedziczywszy mienie i firmę ojcowską, prowadził dalej interes ojca i w niedługim czasie, zacnością postępowania i lojalnością zyskał sobie imię poważanego obywatela i kupca. A o ile godnie prezentował firmę ojca, o tyle wiernie piastował religijne jego zasady i poglądy, lubo ściagał tem na się ze strony wielu miano dziwaka. Pełen ukształcenia światowego i wytworny w obejściu, nieugiętym był w swych religijno-ortodoksyjnych zapatrywaniach. Ostatnia scena z okazji listu siostry, dała go nam z tej strony dokładnie poznać — i od owego czasu nie zmienił się w tej mierze ani na jotę. Nie przeszkadzało mu to atoli być światowcem, w całym tego wyrazu znaczeniu, i najswobodniej w towarzystwie się poruszać. Takich hermafrodytów religijno-swiatowych spotykamy mnóstwo wśród żydów niemieckich.

Na jednym z zebrań towarzyskich Leon poznał młodą panienkę, która od pierwszego wejrzenia niezmiernie go do siebie pociągnęła. Była to nasza znajoma, Helena v. Mosbach, córka barona Karola i aktorki Antonji, którą, jak na początku naszej opowieści widzieliśmy, na łoży śmierci był zaślubił. Poznaliśmy Helenę, gdy dzieckiem będąc, gorszyła swą

matkę wybrykami dobroczynności. Taką też i pozostała. Po śmierci baronowej przed kilku laty nastąpionej, dziedziczka milionowego majątku, pozbawiona rodziny, gdyż krewni barona Mosbacha jej nie uznali, oddaną została w opiekę najlepszemu przyjacielowi barona, radcy handlowemu v. Mülheim, zwierzchnikowi gminy izraelskiej. Był to człowiek podeszłego już wieku, wdowiec bezdzietny, bogaty, lecz sknera, zarozumiałą jak wszyscy dorobkiewiczze, przytem przebiegły i chciwy. Przybraną swą córkę, której majątkiem rozporządzał, kochał i jak oka w głowie strzegł, jak też na to zasługiwała. Piękną była, a z umysłem wysoce ukształconym łączyła serce szlachetne, wrażliwe na wszystko co piękne i dobre; z charakterem pełnym energii i stanowczości — obejście ujmujące, pełne wdzięku i swobody. Że się opiekunowi swemu zbytnią sympatją odplacać nie mogła, nie potrzebujemy dodać; ceniła go w duszy wedle prawdziwej jego wartości, choć tego niezem nie objawiała, cierpliwie oczekując swej pełnoletności i wyjścia z pod jego niemiłej opieki.

Z tą to dziewczicą zeszedł się nasz Leon na publicznej zabawie. Młodzi ludzie byli sobie wzajem przedstawieni, i wkrótce po oddaniu pierwszej wizyty opiekunowi panienki, panu Mülheim, Leon, zaproszony przez tegoż uprzejmie do częstych odwiedzin, stał się codziennym niemal gościem radcy handlowego i nadobnej jego wychowanicy.

Było to na jednej z tych wizyt nawpół etykietałnych, nawpół już poufnych, kiedy uczucia przepelniające tajnie serce kochających, zaczynają wszelkiemi szparami na wierzch się wrywać.

Leon i Helena siedzieli przy oknie wspaniałego salonu, zajęci rozmową, gdy gospodarz rozparty nieopodal w fotelu, czytał jakąś gazetę. Skutkiem nagłego ruchu Leona, odczepił mu się z dewizki u zegarka i spadł na ziemię ozdobny medaljon. Nie zauważył



tego, ale dostrzegła to Helena, podniosła medalion z ziemi i mimowoli nacisnęła sprężynkę; wieczko odskoczyło i oczom jej uśmiechało się cudownej piękności twarz kobieca. Uderzyło to ją niemile — w tej chwili poraz pierwszy poznała swe serce. Zbladła.

— Co pani jest? — zapytał Leon, dostrzegłszy tę zmianę w rysach dziewczęcia.

— Nic, — odrzekła z wymuszonym uśmiechem; ale omal żeś pan nie zgubił portretu swej narzeczonej. i przy tych słowach wręczyła mu medalion.

— Nie mam jeszcze narzeczonej — rzekł Leon — to obraz mej siostry.

— Obraz siostry pańskiej! — zawołała radośnie Helena — więc pozwól pan, bym się raz jeszcze jej przyjrzała. Ach, jak piękna, jak cudownie piękna! Panie radco — rzekła do tegoż, przystąpiwszy — czy to nie twarz przecudowna?

— W istocie, prześliczna — odrzekł ten spojrzawszy na fotografię — zkąd Helenciu masz ten medalion?

— To nie mój, a pana Wenera.

— Pana Wenera! Uniżony sługa, ale co ma pan Werner wspólnego z portretem hrabiny v. Staremberg?

— Ależ to nie żadna hrabina — śmiała się Helena — to panna Werner, siostra pana Leona!

— A ja mówię ci, duszko, że to obraz hrabiny Staremberg; przed kilku dopiero dniami widziałem ją przejeżdżającą.

— Ale przyjrz się pan bliżej, co za podobieństwo do pana Wenera.

— To prawda, rzadkie podobieństwo. Wyraz oczu trochę odmienny, ale usta, czoło, cały układ twarzy ten sam. Chciej nam pan wyjaśnić, panie Werner, czyś pan nie spokrewniony z hrabiną Staremberg?

— Ona jest moją siostrą — rzekł Leon cicho a twarz jego wyrażała smutek i żalobę.

— Siostra pańska! hrabina Staremburg pańska siostra! masz pan w istocie dostojne rodzeństwo!..

Słowa te porwieniusza wyrażały podziw i cześć zarazem dla gościa, mającego tak wysoce arystokratycznych krewnych. Helena zauważyła zmianę zaszłą w rysach Leona, i odgadłszy co się w jego wnętrzu dzieje, z współczuciem nań spoglądała.

— Hrabowie Staremburg należą do najdawniejszych rodzin kraju. Opowiedz nam przecież, kochany panie Werner, w jaki to sposób spokrewniliście się z tą wysoce arystokratyczną rodziną?

— Najmocniej państwo przepraszam — odrzekł Werner głosem stłumionym, — oczekuje mię ktoś u mnie o tej godzinie i muszę śpieszyć.

I szybko pożegnawszy radcę i Helenę, wyszedł.

— Szczególny człewiek — rzekł radca po odejściu gościa — ma tak znakomitego szwagra i nigdy o nim nie wspomina, jakby się go wstydził.

Helena wzruszyła ramionami i przystąpiła do okna, by patrzeć za odchodzącym.

## 16.

Dzień chylił się ku schyłkowi; w mieszkaniu Leona panował już zmrok, gdy zatopionego w smutnych myślach wyrwało z zadumy wejście nieznanego jakiegoś człowieka.

— Czy mam honor widzieć przed sobą pana Leona Werner? — zapytał obcy uprzejmie.

— Jestem nim — odrzekł Leon — czego pan sobie życzysz?

— Pani moja, hrabina v. Staremburg, zasyła panu uprzejme ukłony i prosi, aby pan zechciał łaskawie do niej mi towarzyszyć.

Silne wzruszenie malowało się w rysach Leona. Od lat sześciu blisko, odkąd stanowczy ów krok uczyniła, nie widział swej siostry, mimo jej powtarzanych listownych zaproszeń. Wargi jego drgały, jakby pod naciskiem pytań do nich się cisnących, lecz brzmienia żadnego nie wydawały. Wreszcie odezwał się.

— Nie mam zaszczytu znać pani hrabiny Starenberg. . .

— Nie znasz pan mojego państwa? Pani hrabina jest z domu Werner!

Werner wzruszył ramionami.

— Nie mam przyjemności...

— Dla Boga, panie! — wołał obcy błagalnie. Nie odmawiaj pan pani hrabinie jej prośby; ona jest cierpiącą, i prosi usilnie, byś ją pan odwiedził.

Werner odwrócił się; siła jakaś niewidzialna ciągnęła go do jedynej istoty na ziemi, z którą związek krwi go łączył; lecz fanatyczna srogość przemogła.

— Powiedziałem już panu — odrzekł głosem stłumionym, niepewnym — powiedziałem już panu, że niepodobna mi panią hrabinę odwiedzić.

Raz jeszcze sługa błagał, ale napróżno; stary wiarus w widocznym smutku oddalił się. Był on z całej duszy państwu swemu oddany, i bołało go, że tak usilnej prośbie swej pani nie mógł zadość uczynić. Czarowna piękność Herminji, połączona z łagodnem obejściem względem podwładnych, zjednała jej od razu serce starego sługi. Pojął on doskonale, że dla niej hrabia zerwał z całą arystokratyczną swą familją. Hrabia nigdy też kroku tego nie pożałował; kochał Herminję dziś jeszcze z tym samym żarem namiętności, jak pierwszego dnia ich zapoznania się.

I Herminja była szczęśliwą, — miała wszystko, czego jej serce tylko zapragnąć mogło. Przy boku męża, który ją ubóstwiał, który książęcym przepychem ją otaczał i każde jej życzenie uprzedzał, czegoż więcej pragnąć mogła? A jednak słyszał ją hrabia

niekiedy we śnie wzdychającą — sny dzikie ją straszły. Po takiej nocy zwykle wyglądała blada, rozstrojona, a hrabia zdawał wtedy swą koło niej pieczołowitość; domyślał się bowiem, że krok, jaki z miłości ku niemu uczyniła, niekiedy jeszcze jej sumienie niepokoi. Mało się atoli o to troszczył, licząc, że czas i to zagoi.

Minęły lata; szczęścia młodej pary najmniejsza chmurka nie przyémiewała; jeśli mieli jeszcze jedno życzenie, którego spełnienia los im dotychczas odmawiał, to i ono blizkiem było swego ziszczenia się — po latach daremnego oczekiwania, Herminja uczuła się wreszcie matką.

Hrabia Staremborg nie przypuszczałby nigdy by jego uczucia dla gorąco ukochanej mogły się stać jeszcze spotęgowanemi, a jednak czuł to, iż silniej jeszcze teraz ją pokochał; widział wszak w niej już matkę swego syna, spadkobiercy swego imienia, gdyż z dziwną pewnością liczył na narodzenie się syna. Herminja nie zawsze czuła się tak szczęśliwą; w nieobecności męża opanowywał ją jakiś niepokój, i z trwogą wyglądała tak długo upragnionej godziny. Lekarz, którego o to konsultowała, upewniał ją, że niepokój taki nierzadkim jest objawem u kobiet w jej stanie; zalecał bawienie się i niezaprzątanie się wcale tem, co nastąpić ma. I nie mylił się w sędzie. W wirze uciech, otoczona wszystkiem co najczulsza miłość wymyśleć zdoła, Herminja odzyskała spokój i odwagę.

Jesień chyliła się ku końcowi, zima ukazywała już mroźne swe oblicze, choć bywały jeszcze dni jasne i pogodne.

Było to w południe jednego takiego dnia; hrabia i hrabina Staremborg przechadzali się po bezlistnych już alejach parku zamkowego, wesoło rozmawiając. Hrabia objawił zamiar obchodu narodzenia się syna uroczystościami wszelkiego rodzaju; główną zaś uroczystość, na którą wszystkich krewnych myśli zapro-

się, ma mieć miejsce wtedy dopiero, gdy i Herminja będzie mogła w niej uczestniczyć. Herminja wyraziła powątpiewanie, czy familja jego przybędzie, gdyż od czasu ich połączenia się wszyscy odeń się odwrócili.

— Niechaj i nie przyjdą — śmiał się hrabia — tym weselej bawić się będziemy. Zapraszam ich też tylko dla przyzwoitości. Lecz stary wuj z pewnością przybędzie, jest on twym gorącym wielbicielem; gdyby był młodszym, mógłbym stać się zazdrosnym. Ostatnio u księcia N. dopytywał się mnie o twoje zdrowie z serdecznym współczuciem, zapewniając mię, że gdyby był tyle szczęśliwym, by rękę twą uzyskać, tobu nie zawałał się ani chwili zerwać z całą swą rodziną. Czym ci to już powiedział, że zaprosił mi się na ojca chrzestnego? On i księżna N. chcą syna naszego do chrztu trzymać.

Lekki cień przebiegł po jasnym czole Herminji. Szczególna, sama dała na sobie aktu chrztu dopełnić, a dotknęła ją nieprzyjemnie myśl, że na synie jej akt ten ma być dopełniony...

— I jak się ono będzie zwało? — zapytała.

— Syn nasz będzie się zwał: „Kuno, Artur, hrabia v. Staremborg.“

— Kuno? czemu Kuno? — pytała Herminja.

— To imię mego wuja, domyślnego ojca chrzestnego — rzekł hrabia — możebyś sobie życzyła jeszcze jedno imię mu dodać?

— Pragnęłabym go zwać „Wiktor“ — odrzekła Herminja, rumieniąc się. — Nieboszczyk mój ojciec tak się zwał; a u nas jest we zwyczaju nadawać imiona dzieciom po zmarłych dziadkach.

— Podobą mi się ten zwyczaj — odparł Artur — ale gdyby mi się i niepodobał, twoje życzenie jest mi rozkazem, o tem wiesz. Więc Kuno, Artur, Wiktor v. Staremborg. Wiktor v. Staremborg — to brzmi dość dźwięcznie.

— Nie, nie — zawołała Herminja, nagle zadrzawszy, — nie, nie Wiktor...

W tejże chwili zbliżył się z pałacu lokaj i wręczył swemu panu depeszę dopiero co nadeszłą. Hrabia otworzył, przebiegł i bladość trupia okryła jego kwitnące oblicze.

— Co ci jest, Arturze, dla Boga?

— Wuj mój spadł z konia, wątpią o jego ocaleniu — żąda mego przyjazdu—odrzekł cicho. Boże, co począć?— i ręką uderzył się w czoło.

— Co za pytanie, Arturze, musisz wyjechać, i to zaraz, pierwszym pociągiem.

— A ciebie opuścić, teraz...

— Jeśli chcesz pojedę z tobą, gotowa jestem.

— Niepodobna, dziecko, podróż uciążliwa, o tej porze roku, wzruszenie...

— Ale ty musisz wyjechać, Arturze, bezzwłocznie...

— Nie mogę, kochana, nie mogę, mówi mi coś, że nie powinienem cię teraz opuścić.

— Lecz Arturze, to twój wuj, twój umierający wuj, który chce cię widzieć. Jedyne twój krewny, który się od ciebie nie odwrócił, i ty mógłbyś się wahać?...

— Masz rację, luba, jak zawsze i we wszystkim. — Przycisnął ją namiętnie do serca — ale nie mogę cię opuścić, nie teraz...

— A jednak musisz to uczynić. Chodź, każę natychmiast Janowi przygotować ci rzeczy. we dwie godziny musisz być w drodze.

Hrabia widział, że istotnie nie podobna mu odmówić wezwaniu starego wuja, i z ciężkiem sercem czynił przygotowania do wyjazdu.

Powóz czekał już przed bramą zamkową. Jan stał przy otwartych drzwiczkach, a hrabia wciąż przyciskał swą towarzyszkę do stroskanego, pełnego smutnych przeczuć serca. Zdawało mu się, jakby ukochanej swojej, w całym blasku piękności i mło-

dzieńczości przy nim stojącej, nigdy już nie miał ujrzeć. Herminja czyniła co mogła, by go uspokoić; przypominała mu wierność i przywiązanie osób ją otaczających; przyrzekała dwa razy dziennie telegrafować mu o swem zdrowiu, aż wreszcie wyrwał się.

Skoro jednak ją opuścił i powóz z jej oczu zniknąć począł, i jej odwaga zaczęła zniknąć. Poraz pierwszy-to od ich połączenia się ją opuścił. Wróciła do swego buduaru, i głośno łkając, rzuciła się na kanapę. Wszystkie złowrogie przecucia, które z takim trudem zwalczała, zaległy znów jej strwożony umysł, gdy ten, co niezucia te tak zwyciężko w niej wyszydzał, obecnie sam im uległ.

Powóz, co zawiózł hrabiego do stacji kolei, wrócił, a stangret przywiózł hrabinie ostatnie pokłony męża. W powozie dopiero uczuł on żal srogi, że własną swoją trwożliwością wzbudził nanowo uspiiony w sercu żony niepokój. Napisał jej więc ołówkiem słów kilka, zachęcając do odwagi i zaklinając, by gwoli dziecku, co w łonie swem nosi, była wesołą, i wszelki smutek i obawę od siebie odganiała. I jemu ciężko nad wyraz przyszło rozstanie, ale dla niej mężko się przezwyciężył, tegoż i od niej się spodziewa. Zakończył słowami „do prędkiego, szczęśliwego widzenia się.”

## 17.

List męża rozweselił nieco Herminję; lzy jej płynące przestały, a sama zaśmiała się nawet ze swego wzruszenia. Ponieważ mrok już zapadał, usiadła, jak ongi w dziecinnych swych latach, przed kominkiem i dumać poczęła.

— Otóż jestem znów małą Herminją Werner — rzekła do siebie, patrząc w płonący wesoło ogień. Od lat sześciu już nie zaznała tej przyjemności. Czemu? — szukała myślą i znalazła. Tak, gdy raz „w tej

samej znajdowała się pozycji, miała jasne widzenie. Ojciec jej żył jeszcze, ale była już wtedy zaznajomioną z hrabią, a gdy pewnego wieczoru usiadła w swym pokoju przed kominkiem, śniła, iż przy boku kochanka klęczy w ślubnej szacie przy ołtarzu, a gdy potem próg kościoła przestąpić miała, ukazał jej się ojciec w śmiertelnym ubraniu i ciskał na nią przekleństwa... Okropne widzenie! Wspomnienie o tem ścina jej dziś jeszcze krew w żyłach... Onego wieczoru — dziwna, jak to wszystko żywo w pamięci jej staje — onego wieczoru przysięgała sobie, iż hrabiego więcej nie ujrzy, zdaje jej się, iż słyszy własne swoje słowa: „nie, nie!“ Przysięgała to sobie uroczyście, a jednak jak ślubu tego dopełniła?... Lecz jakżeby mogła żyć bez Artura, jak Artur bez niej? Niepodobna! co za nonsens myśleć ciągle o przekleństwie ojca! On jej wszak nigdy nie wyklął i jakżeby to mógł czynić, nie wiedząc nigdy o tem co uczyniła? Prawda, gdyby wiedział.. Ale precz, precz z temi niedorzecznymi myślami! Przyrzekła wszak mężowi być wesolą, pogodną!...

— Ah, witam serdecznie szanownego konsyljarza — i z ujmującym uśmiechem podała rękę wchodzącemu właśnie doktorowi Wolter. Co za szczęśliwa gwiazda sprowadza pana tutaj, do mej samotni?

Konsyljarz poniósł piękną rękę do ust i oznajmił, że telegrafem wezwany został przez hrabiego do natychmiastowego udania się do zamku Staremberg, dla pilnego czuwania nad zdrowiem hrabiny.

— Ah, jak to grzecznie, jak pięknie ze strony Artura — zawołała Herminja uradowana szczerze z obecności wesolego, dowcipnego lekarza. I zabawisz pan u nas pewnie aż do powrotu Artura! Witam więc pana tym serdeczniej!

Na milej pogawędzie zeszedł wieczór, aż znużona wzruszeniami dnia tego Herminja, na poradę konsyljarza, wcześniej niż zwykle poszła na spoczynek.



Zamknęła oczy; lecz sen którego tak łaknęła, nie zjawiał się; w miejsce jego wróciło straszne widzenie, od którego przybycie doktora ją było zwolniło.

Szczególna,—przez czas tak długi nie myślała zgoła o tych rzeczach, a naraz narzucają się one z taką natarczywością jej wewnętrznemu oku. Gdyby się nie czuła tak znużoną, spróbowałaby odegnać te widziadła czytaniem; ale nie była w stanie oczy mieć otwarte, a jednak zasnąć nie mogła. Przerzucała się z jednego boku na drugi, ale w każdej pozycji zmarły ojciec w śmiertelnych szatach stawał przed nią... „Przekleństwo, przekleństwo!“ — zdawało jej się wciąż słyszeć. Był-że to szmer wzburzonej krwi w jej żyłach, czy głośne uderzenia jej serca — nie umiała sobie tego wytłumaczyć; lecz wzruszenie jej rosło z każdą chwilą, aż wreszcie zupełnie wyczerpana, zasnęła.

Była godzina pierwsza po północy. Wszyscy mieszkańcy zamku leżeli dawno we śnie głębokim pograżeni. Nagle silny wiatr się zerwał, świszcząc i jęcząc w parku zamkowym, jakby najstarsze tam drzewa obalić chciał. Ponad jedną z gospodarczych budowli zamku ukazał się potężny słup dymu. Ani żywa dusza ludzka nie zauważyła tego złowrogiemu znaku, a wichur szalał wciąż tak, że wkrótce słup dymu zamienił się w lunę ognistą, która zamek i park jak wśród dnia jasnego oświecała. Wnet krzyki: „Gore, gore!“ rozlegać się zaczęły ze wszechstron. Świsł wiatru, trzeszczenie spadających belek, dym do każdego kąta się wdzierający, ogólne zamieszanie,—wszystko to grozą napelniało tych, co w tej chwili ze snu się budzili. Do nich należała i pani zamku. Jak trup blada, drżąca na całym ciele, Herninja wyjrzała oknem na morze ogniste. W tej chwili wpadł doktor, prosząc, aby jak najspieszniej się ubrała, by z zamku wyjechać. Straszliwy wichur czynił niemo-

żebnym wszelki ratunek, a ograniczać się musiano na ocalaniu najkosztowniejszych efektów.

W dziesięć minut później, hrabina z doktorem i dwiema pokojówkami znajdowała się już w powozie na drodze do stacji kolei, gdzie przez konnego posłańca zamówiony już był ekstracug, mający ją zawieźć do nieodległej stolicy. Herminja leżała oparta o poduszki powozu, nawpół martwa; nie była w stanie ani słowa przemówić, dreszcze ją przebiegały, cierpiała straszliwie. Pełen troskliwości lekarz czynił co mógł, by ją ożywić i odwagą natchnąć; upewniał, że w półtorej godziny znajdować się będzie w pałacu swym w stolicy; a co się tyczy pożaru zamku, to nie potrzebuje nawet myśleć o tem, gdyż jest on przekonany, że hrabia niewielką do tego przywiąże wagę, ponieważ liczy z pewnością, że za kilka godzin będzie mógł telegrafować mu o narodzeniu się następcy. Na te słowa lekki uśmiech zaigrał na bladych ustach Herminji, — Artur w takim razie przyjmie wiadomość o pożarze zamku istotnie obojętnie; lecz to, czego blizkie nadejście doktor jej zwiastował, zdawało się jej być tak dalekiem... tak dalekiem...

## 18.

Jak doktor przepowiedział, w półtorej godziny po wyjeździe z zamku, Herminja spoczywała już w istocie we wspaniałym swym buduarze w pałacu hrabiów Starembergów.

Spoczywała — spokoju jednak i tu nie znalazła. Przytem wróciło znów straszne widzenie, jakie poprzedniego dnia ją dręczyło. Z otwartymi czy z zamkniętymi oczyma, w którąbądź stronę spoglądała, wszędzie widziała trupa ojca swego, już złowrogo na nią mrugającego, już złorzeczącego. Wzbu-

rzenie jej jak i boleści przybierały z każdą minutą — siły jej znikwały straszliwie prędko.

Doktor Wolter, uznając niebezpieczeństwo, przybrał do narady dwóch jeszcze kolegów, by odpowiedzialności względem hrabiego sam na sobie nie dźwigać. Przekonanym on był zupełnie o bezsilności sztuki w takich wypadkach.

Godziny upływały chorej wśród niewypowiedzianych cierpień. Cień zmarłego ojca nie przestawał ją dręczyć.

— Nie, nie! — szeptała wśród dreszczów — nie chcę, precz! — lecz widzenie nie ustępowało.

— Pani hrabina rozkaże? — zapytał lekarz, nachylając się ku niej.

— Mego brata — Leona — niech przyjdzie — prędko — zaraz!...

Lekarze zdziwieni, pytali się wzajem wzrokiem, — o bracie hrabiny nikt nigdy nie nie słyszał. Wolter wyszedł, by służby się zapytać, aż oto stary Józef przypomniał sobie list, jaki nazajutrz po ślubie hrabiego zawiózł był do miasta, i natychmiast udał się w drogę, by upragnionego przez panią swoją rychło sprowadzić.

— Czy przyjdzie? — zapytała chora, gdy doktor wszedł.

— Kamerdyner Józef pobiegł — rzekł — pan Werner pewnie niebawem nadejdzie.

— Gdyby tylko prędko — prędko — inaczej będzie za późno...

Herminja nie mówiła więcej — następca Starembergów przyszedł na świat. Minęła godzina. Młoda matka leżała bez ruchu, wyczerpana do ostatniego. Doktor osiłował ją ożywić, w słowach pełnych przyjaźni winszując jej narodzenia syna. Mdły uśmiech igrał na licu chorej, gdy na dziecko swej spojrzała.

— Telegrafować — rzekła z nateżeniem — hrabie mu...

— Już to uskuteczniiono — odrzekł Wolter — pan hrabia jest już pewnie w tej chwili powiadomiony o szczęściu, jakie go spotkało, a kto wie, czy na radosną wieść tę, stary hrabia Kuno nie wróci do zdrowia?

— Kuno — szepnęła chora — Kuno, Artur, Wiktor v. Staremborg. W tejże chwili mara ukazała się znów jej oczom, groźnie jej przymrugując.

— Precz! — bełkotała Herminja. — Leonie, Leonie, pomóż! Czy przyjdzie? — zwróciła się do doktora.

— Spytam się kamerdynera — odrzekł tenże i chciał wyjść; chora jednak zatrzymała go. — Niechaj Józef tu przyjdzie, zaraz!

Nie pomogły wymawiania lekarza, kamerdyner wszedł i lękliwie pozostał przy drzwiach.

— Tu — skinęła hrabina — tu!

— Przystąpcie bliżej — rzekł doktor — do łóżka pani hrabiny.

— Józefie — szeptała chora — czyś mówił z mym bratem?

— Tak jest, jaśnie pani!

— Czy przyjdzie?

Wzdychając Józef potrząsnął siwą głową.

— Nie? — rzekła Herminja — i cóż ci powiedział?

Starzec spójrział zakłopotany na lekarza.

— Mów, odpowiedz! — rozkazywała hrabina.

— Powiedział, że nie ma zaszczytu znać pani hrabiny.

Herminja wydała lekki, stłumiony okrzyk, silne drzenie ją ogarnęło. Lekarz zbliżył się, kiwając na służbę, by odszedł. Chora jednak dała znak, by pozostał.

Starzec usłuchał; ze spuszczoną głową stał nieopodal łoża, a łza potoczyła się po zmarszczonem jego licu; oddany bowiem był pani swojej z całego serca.

Napad wreszcie ustał; Herminja kiwnęła znów na starca, by się zbliżył. Napróżno lekarz prosił, by teraz spokojnie się zachowała — nie zważała na to.

— Bliżej, Józefie — bliżej — jeszcze bliżej...

Stary schylił ku niej głęboko głowę.

— Józefie, musisz jeszcze raz pójść do niego — ale prędko, zaraz — musi przyjść, słyszysz, musi. . .

— Słucham jaśnie pani — i chciał szybko odejść.

— Czekał — rozkazywała chora z wielkiem nateżeniem — czekaj, schył się jeszcze bliżej...

Stary ukląkł i przyłożył ucho prawie do bladych ust hrabiny.

— Powiedz memu bratu -- rzekła cicho tak, że prócz sługi nikt więcej słów jej dosłyszeć nie mógł — powiedz mu, by sobie przypomniał ostatnie słowa swego ojca — powiedz mu, że musi zaraz przyjść — inaczej będzie za późno — powiedz mu — że nie mogę ni żyć ni umrzeć — musi przyjść — muszę z nim pomóc — względem mego dziecka. . .

Łzy sługi spadały na dłoń chorej.

— Dobry stareze! — szepnęła chora i podała mu przezroczywą rękę — ale idź, śpiesz!

Józef dotknął lekko ustami dłoni swej pani. — Sprowadzę go, jaśnie pani, sprowadzę, choćbym go na barkach mych miał przynieść.

Temi słowy wybiegł. Doktor podążył za nim aż do drzwi i szepnął mu jeszcze słów kilka. Józef nie odpowiadając na współczucia pełne wypytywania się reszty sług, porwał swój kapelusz, i wyleciał na ulicę. Była już późna noc, a na ulicy mało ruchu, udało mu się jednak dostać doróżkę, i przyrzekłszy woźnicy podwójną takse, kazał galopem do wskazanego zawieść się miejsca. — Musi pójść ze mną, musi, jeśli tylko jest w domu — mówił do siebie stary wiarus po drodze, a jeśli go nie ma w domu, to go tak długo będę szukał, aż znajde; musi pójść, a choćbym go

gwałtem do niej miał zanieść. Biedna pani!.. I gęste lzy potoczyły się po ogorzałych licach staruszka.

— Czekać — zawołał kamerdyner na dorożkarza, gdy przed domem Wenera stanęli — i spojrzął w górę ku oknom.

— Bogu dzięki — jasno tam, — jest u siebie.

I tak szybko, jak stare nogi na to mu zezwalały, wszedł schodami. Znał już miejscowość, bez pytania więc przystąpił do drzwi pokoju Wenera, i lekko zapukawszy, bez oczekiwania odpowiedzi, wszedł.

Werner nie dosłyszał ani jego pukania, ani wejścia; siedział przy stole pochylony nad książką, nie czytając jej wszelako — bo myśli jego czem innem były zaprzątnięte.

Przyzwanie siostry silnie go wzruszyło. Była cierpiącą, wezwała go i on odmówił przyjsia... Czy dobrze uczynił? — O, pewnie, pewnie — jej, która wiary ojców się wyparła, nie mógł nigdy za siostrę uważać. Hrabina Staremborg przyzwała go do siebie — hrabina Staremborg nie była jego siostrą — a jednak, a jednak... Przed okiem jego duszy stały szczęśliwe lata młodości. Jakże brat i siostra wzajem się wtedy kochali! O, kochali się jeszcze. poznał to po jej przyzwaniu — poznał to po tęsknem a tak silnem kołataniu własnego swego serca... Lecz ona wyrzekła się wszystkiego, co mu było świętem — zerwała najświętszą nić, co ich łączyła... Głębokie westchnienie wyrwało mu się z piersi...

W tejsze chwili kamerdyner jego siostry przystąpił doń.

— Daruj, panie Werner, że raz jeszcze go utrudzam, lecz miłościwa moja pani, pani hrabina...

— Powiedziałem już wam raz — wpadł Werner, a głos jego drżał — powiedziałem już wam, że nie znam waszej pani.

— Panie Werner! — wołał stary, podnosząc błagalnie ręce — pani hrabina Staremborg jest siostrą

pana, a siostra pańska — wzruszenie odmawiało mu głosu — leży umierająca. . .

Werner zakrył twarz obiema dłońmi i głośno jęknął.

— Chodź pan — naglił stary — chodź pan, doktor Wolter kazał panu powiedzieć, że musisz pan śpieszyć, nie może on ani za godzinę życia hrabiny ręczyć; ale możliwem jest, że obecność pana dobry wpływ na nią wywrze, ponieważ usilnie pragnie pana widzieć. A pana hrabięgo także nie ma — o Boże, o Boże! jakże mój biedny pan cios ten zniesie. Chodź pan, chodź pan! . .

Lecz Werner wciąż się jeszcze z miejsca nie ruszał. Serce jego ciągnęło go zbyt silnie do nieszczęśliwej, by miał temu uczuciowemu parciu zaufać. Fanatyzm brał górę nad uczuciem człowieczem. Stary sługa był zrozpaczony.

— Dla miłosierdzia bożego, panie Werner, bądź pan miłosiernym! . . Ale jakże mogłem o tem zapomnieć! — i uderzył się ręką w czoło.

— Panie Werner, miłościwa moja pani kazała mi panu powiedzieć, byś sobie przypomniał ostatnie słowa ojca pańskiego, że nie może ni żyć ni umrzeć bez pana i że musi z panem pomówić względem swego dziecka. . .

— Względem jej dziecka! — szepnął Werner do siebie, dając wolny bieg łzy do oka się cisnącej. Odetchnął wolniej. — Względem dziecka swego chce ze mną się widzieć. — Szybko się podniósł i porwał za kapelusz.

— Gotów jestem, śpieszmy!

— Bogu niechaj będą dzięki! — rzekł uszczęśliwiony stary, i z młodzieńczą żywością poprowadził Leona na dół do oczekującej dorożki. Leon wsiadł i konie galopem się puściły.

## 19.

Smutne a tęskne myśli zaprzętały duszę Leona podczas drogi. Miał ujrzeć swą siostrę, swą umierającą siostrę, którą niegdyś tak serdecznie kochał. Od lat sześciu wytrwale odtrącał wszelkie z jej strony kroki zbliżenia się, nie uważał jej więcej za siostrę, a teraz. . .

Powóz zatrzymał się przed pałacem hrabiów Staremburg: kamerdyner zeskoczył, prosząc Wenera, by szedł za nim. Jak rozmarzony kroczył po szerokich, kobiercami wyłożonych schodach, tak, że starzec zaledwie za nim podążać zdołał.

— Daruj pan, panie Wenera, jeśli o przybyciu jego zawiadomię wprzód pana konsyljarza; chciej pan wstąpić.. — I otworzył drzwi jednego z salonów. Za chwil kilka wszedł także doktor Wolter. Panowie ukłonili się wzajem.

— Czy mam przyjemność witać pana Wenera?

Leon ukłonił się ponownie.

— Moje imię jest Wolter; jestem ordynującym lekarzem pani hrabiny Staremburg.

— Jak? — bełkotał Wenera — jak?.. — nie był w stanie pytania dokończyć.

— Pragniesz pan dowiedzieć się, jak się pani hrabina ma? Niestety, nie mogę przed panem zataić, że należy się najgorszego obawiać. Siły chorej są zupełnie wyczerpane, a prócz tego wzburzenie jej umysłu jest natury nader zatrważającej. Pani hrabina pokilkakroć i nagłaćo żądała przybycia pana; gdyby się panu udało jej wzburzenie ukoić, moglibyśmy jeszcze mieć nadzieję. . .

Wenera wzruszył ramionami. — Wątpię, czy mi się to uda — szepnął.



— Kto wie, może jednak... Coś straszego unosi się jej wciąż przed oczyma, a przytem woła często: pomóż, Leonie, pomóż!

— Czy mogę wejść? — zapytał Werner cicho.

— Pewnie, pewnie, a proszę pana najusilniej, by niczego nie zaniedbał dla uspokojenia w czemkolwiek pani hrabiny.

W towarzystwie lekarza Leon wszedł do pokoju chorej. Wejście ich nie spowodowało żadnego szelestu,—uczula je wszakże Herminja.

— Leon! — zawołała, wyciągając doń obie ręce, a słaby rumieniec pokrył jej lica.

Na jej widok wszystko zapominając, Werner pobiegł do łóża. uścisnął ręce i gorący pocałunek wycisnął jej na czole.

— Dzięki — szepnęła — dzięki! — a szczęśliwy uśmiech okraślił jej usta—wreszcie mi przebaczyłeś!..

Werner drgnął, ale nie odpowiedział. Doktor, przysunawszy mu krzesło, prosił by usiadł; on sam oddalił się do niszy okna, skinawszy zarazem na kobietę dozorującą, by wyszła dla zostawienia rodzeństwa samych.

Patrzeli na siebie długo, oko w oko.

— Powiedz, Leonie, powiedz, żeś mi przebaczył!

— Nie zgrzeszyłaś względem mnie, Herminjo, nie mam ci czego wybaczyć!..

— A jednak, jednak i względem ciebie... .

— O, otóż on znowu. Pomóż, Leonie, pomóż! patrz jak na mnie mruga — chce mię ująć! — o, o, czyż ty nie widzisz?

— Cóż, Herminjo, cóż?

— Tam, tam, nieboszczyka ojca — szepnęła drżąc cała — nieboszczyka ojca w śmiertelnej koszuli — od wczoraj po południu jest on wciąż przy mnie. Oh, czyż go nie widzisz?

Werner osłupiał z przerażenia, przemógł się atoli, by nie dać tego poznać. — Nie widzę nic, Herminjo,

twoja wyobraźnia jest wzburzoną. — I położył rękę swą na jej czole; ona odetchnęła swobodniej. — Ach — jak to dobrze — teraz znikł — dzięki ci Leonie, wiedziałam wszak wprzód, że mi pomożesz. — Wyczerpana umilkła i przytknęła oczy. Werner chciał cofnąć rękę, ona ją swemi dłońmi przytrzymała.

— Pozostań tak — błagała — lżej mi daleko, w głowie jaśniej mogę myśleć — a muszę z tobą pomówić, pozwól mi tylko nieco wytechnąć.

Nieporuszony siedział Werner przy łożu z dłonią na czole siostry opartą. Lekarz, zbliżywszy się do chorej, znalazł ją spokojniejszą i prosił młodego człowieka, by w tej pozycji wytrwał.

Twarz Leona trupio była bladą, bledszą niż twarz jego siostry; podobieństwo obojga wystąpiła teraz w całej swej pełni. Lekarz to zauważył i z zajęciem spoglądał już na jedno, już na drugie z tak podobnego do siebie, a jednak tak różnego rodzeństwa. Były to te same rysy, te same duże czarne a ogniste oczy, to samo wysokie czoło, te same ciemne wijące się włosy. Lecz delikatna, rzec można wątła postać Leona stanowiła dziwną sprzeczność z wysoką imponującą postawą Herminji, a jej w zdrowych dniach kwitnąca, różowa cera, z jego bladym, prawie chorobliwym wejrzeniem. Co zaś najbardziej ich od siebie wyróżniało, to wyraz ich twarzy. Wielkie, wspaniałe oko Herminji promieniało zawsze wesołością i czarującą swobodą — lica Leona zalegała prawie zawsze głęboka powaga, ogniste oko zdradzało zawsze spokojną a cichą rezygnację.

Minał tak z kwadrans w milczeniu, gdy z przyległego pokoju doleciał głos płaczu nowonarodzonego. Młoda matka drgnęła.

— Leonie — szepnęła z przytkniętymi oczyma. Czy jesteśmy sami?

Doktor skinął na Wenera, by potakiwał i usunął się.

— Jesteśmy sami, Herminjo, nikt nas nie słyszy. Przycisnęła silniej jego rękę do swego czoła. — Ręka twoja jest ciepłą i ulgę mi sprawia, lecz słowa twoje są zimne. Lecnie, mój bracie, mój drogi, ukochany bracie, nazwij mnie choć raz *siostrą*.

Głęboki, bolesny jęk dobył się z piersi Leona i drżącym głosem odrzekł:

— Herminjo, przed sześciu laty, gdy cztery tygodnie żałoby po zgonie rodziców były upłynęły, a ja zmuszony byłem wyjechać, a potem powróciłem i straszłą wieść otrzymałem — natedy po raz trzeci zdarłem na sobie ubranie, i boleśniej niż śmierć rodziców oplakiwałem siostrę, która mi żyjąco umarła. . .

Bezwiednie chciał usunąć swą rękę z jej czoła.

— Zostaw tak rękę swą, Leonie — prosiła — lepiej mi tak, i mogę wszystko poznawać — lecz muszę spieszyć — czas mój jest krótki. . . .

— Nie mów tak, Herminjo! — rzekł on — lekarz zapewnia, że jeśli tylko spokojnie będziesz się zachowywała, możemy się spodziewać. . . .

— *Możemy się spodziewać!* — powtórzyła, a gorzki uśmiech zaigrał w kolo ust jej — co to ciebie obchodzi Leonie?

— Herminjo!

— Daj pokój, Leonie, daj pokój, rozumiem cię — poznaję teraz wszystko tak jasno, tak wyraźnie. — Tak, Leonie, masz rację — przed sześciu laty siostra twoja umarła dla ciebie — ale teraz żyje ona — choćby przez kilka godzin.

— Herminjo, nie rozumiem cię. . .

— Nie przerywaj mi, Leonie — czas jest mój krótki, bardzo krótki. Tak jest — żałuję — o, jak ciężko żałuję winy, jakiej się dopuściłam! Ale żałuję od wczoraj dopiero — odkąd Artur mię opuścił. Przez całe sześć lat kiedy w jego objęciach spoczywałam — niczego nie żałowałam, bo kocham go tak serdecznie, tak gorąco, o, gdybyś pojąć mógł jak go kocham,

wtedybyś może łagodniej winę mą oceniał, — nie, to nie, ale przynajmniej wytłumaczyłbyś ją sobie... Biedny Arturze, jakże to on zniesie — on mię tak kocha, — a jest tak dobry, tak czysty, tak szlachetny, na nim żadna wina nie ciąży... A jednak, dziękuję Bogu, że mię wczoraj opuścił, tak skończyłabym może bez żalu. O, gdybyś wiedział, jakie męczarnie zgryzoty od wczoraj serce me rozdzierają...

— Herminjo, droga, luba siostró!..

— Leonie, powiedz mi, co mam czynić, by błąd swój naprawić. Urodziłam się izraelitką, i nie powinienam była rodowej się wyprzysiądz wiary, zwłaszcza, że to czyniłam nie z przekonania, ale z postronnego, ślepego uczucia... Nie byłam też przez te sześć lat szczerą chrześcijanką — kłamałam Bogu, ludziom i sobie... Oto męka, jaką sumienie bezlitośnie mię dręczy. Izraelitką pozostałam w duszy, a izraelitą jest mój syn. Nieprawdaż?

— Bóg ci da zdrowie, a wychowasz syna, jak ci to własne serce dyktować będzie...

— Ja nie, Leonie, ja nie, mnie pozostaje kilka godzin zaledwie.

— Nie mów tak, Herminjo, umysł twój jest teraz spokojniejszy, miejmy nadzieję, że Bóg ci użyczy czasu, byś zacnem a bogobojnem życiem błąd swój naprawiła...

— Nie, Leonie, nie ludźmy się, czuję, że konam. A ponieważ szczerze żałuję, nie pragnęłabym, by skon mój się przedłużał, bo jak Artur mój wróci... nie ręczę, czy będę miała tyle sił, by w postanowieniu swem wytrwać... Biedny, biedny Artur, gdy wróci i nie zostanie mię więcej... Owóż, przyrzecz mi Leonie, że pójdziesz do niego i oddasz mu moje ostatnie pozdrowienie — i powiesz, że mu dziękuję za szczerą jego miłość — że go kochałam aż do ostatniego mego tchnienia — a potem, powiesz mu także — nie, nie powiedz mu, że żalowałam, mogłoby go to boleć —

ale powiedz, że go błagam, zaklinam — nigdy jeszcze żadnej prośby mi nie odmówił — niechże tedy i ostatniej, choć najcięższej mi nie odmówi — by syna mojego tobie powierzył, byś go wychowywał w rodowej wierze matki — by kiedyś zmasał winę swej rodzicielki. . .

Głos jej słabł coraz bardziej, ostatnie jej słowa zaledwie już były dosłyszane. Leon, do głębi wzruszony, ze łzami odrzekł:

— Byłoby to dla mnie najwyższem szczęściem, syna mojej drogiej siostry jako własnego syna wychowywać; spełnię twe życzenie, i twą prośbę zaniosę hrabiemu; lecz wątpię, czy jej zadosyć uczyni. . .

— Artur, biedny, biedny Artur — nie, zrazu jej nie spełni — lecz przyrzecz mi, Leonie, że nie zrazisz się i nie ustanieś w usiłowaniach, by go do tego nakłonić — coś mi mówi, że wreszcie się zgodzi. . .

— Spełnię twe życzenie, droga, ukochana siostrzo! Zdjął rękę z jej głowy, i złożył pocałunek na białem jej czole.

— Dzięki — szepnęła, i uśmiech przemknął po jej twarzy. Z przerażeniem jednak dostrzegł Leon zmiany, z każdą chwilą w jej wejrzeniu widocznie zachodzące.

— Herminjo! — rzekł drżącym od wzruszenia głosem. Pytałaś się wprzod co masz czynić, by z sumieniem swem się pojednać — powiem ci to — czy będziesz się czuła na siłach za mną to powtarzać?..

Skinęła mu oczyma potakująco; wtedy schylił się nad nią i cicho wyrecytował spowiedź przedśmiertną. Słabym głosem powtarzała słowo za słowem; a gdy skończyli spowiedź, zarecytował wyznanie wiary izrality „Szema“. Ona i to słowo w słowo powtórzyła. Skończywszy modły, raz jeszcze dotknął ustami jej czola.

— Dzięki, Leonie, dzięki — a teraz moje dziecko — chciałabym je jeszcze raz widzieć. . .

Leon pośpieszył do drugiego pokoju i wyjawił doktorowi życzenie swej siostry. Ten, przystąpiwszy do chorej i uznawszy, że minuty jej są policzone, skinął na dozorczynię, by śpiesznie przyniosła dziecko. Leon wziął z rąk wolno idącej kobiety niemowlę i zaniósł je sam do łóża swej siostry, a zbliżywszy usta swe do jej ucha, rzekł:

— Będzie to mojem dzieckiem, uczynię wszystko, co w mojej możności będzie!..

— Dzięki — wybełkotała, usiłując konwulsyjnie drżącemi dłońmi dotknąć dziecka. Leon ujął drobną rączkę niemowlęcia i powiódł nią po twarzy konającej matki. . .

Jak ostatni promyk słońca błysło w łamującym się oku. Potem szepnęła jeszcze kilka słów urywanych, w których Leon sądził poznawać „Szema“. W tejże chwili doleciał z przedpokoju jasny dźwięk dzwonka. Pomimowoli Leon odwrócił się. Aż oto drzwi się rozwarły i wszedł ksiądz z monstrancją, by umierającej udzielić ostatnie namaszczenie; w przedpokoju zgromadzoną była cała służba, wszyscy płacząc ukłękli, bo wszystkim była Herminja dobrą, łagodną panią.

Leon struchlał; ze zgrozą spoglądał już na pasującą się ze śmiercią siostrę, już na wolno postępującego kapłana. Doktor Wolter, człowiek liberalny, pojął co się w duszy młodego człowieka dzieje; ocenił trafnie stan duszy hrabiny, i gorycz ostatnich chwil ile możności starał się jej ulżyć. Dla tego też ukrywał przed domownikami prawdziwy stan rzeczy, aż gdy uznał, że jej już nie zastanie, posłał po księdza.

— Bądź pan spokojny — rzekł on cicho do Leona, przystąpiwszy doń — siostra pańska nie wie już co się w około niej dzieje; oko już jest przygasłe, świadomość znikła. . .

Przez chwilę ciemno się zrobiło Leonowi i uchwycić się musiał krzesła, by nie upaść. Wnet atoli o-

przytomniał i raz jeszcze rzuciwszy wzrok na umierającą siostrę i na księdza, wyszedł.

## 19.

We dwa dni po śmierci Herminji, hrabia Staremburg wrócił do osamotnionego swego domu. Rozpacz jego granic nie znała — przemocą przyszło go oderwać od ukochanej. Zbyt silnie ją kochał, zbyt silnie lgnął do niej wszystkimi fibrami swej duszy, by mógł jej stratę znieść ze spokojem. I zbyt wiele dla niej poświęcił; dla niej stawiał on czoło przesądom całej swej kasty; dla niej zerwał z całą swą niemal familją — a teraz, po sześcioletniem zaledwie pożyciu została mu wydartą.... Nie można go jeszcze było nakłonić, by ujrzał swe dziecię, syna swego, spadkobiercę swego imienia, do którego tak gorąco tęsknił — widział on w nim niewinną wprawdzie przyczynę swego nieszczęścia, i nie był w stanie znieść jego widoku.

Z zupełną obojętnością przyjął wiadomość o zgorzeniu swego dziedzicznego zamku. Po co zamek, kiedy tej już nie było, przy boku której najszczęśliwsze lata swego życia przepędził? Zamek Staremburg był jej najulubieńszem miejscem pobytu, czuł więc pewne zadowolenie, że po niej nikt go już zamieszkiwać nie będzie. Pogrzeb Herminji odbył się trzeciego dnia po jej zejściu z należną jej stanowi ostentacją. W stanie omdlenia prawie odwiedziono hrabiego z cmentarza do domu. Odtąd w ponurym smutku przesiadywał on w swym pokoju, nieprzystępny dla nikogo.

Stary Józef, który stał się był niejako powiernikiem swej pani, wiedział, iż ostatnią swą wolę względem swego dziecka objawiła swemu bratu; nie chcąc zaś, w interesie zmarłej, by hrabia przyjął szwa-

gra swego w sposób odstręczający, jak każdego innego, czekał dni kilka, aż gdy się dowiedział, że hrabia na skutek natarczywych żądań swych przyjaciół, ma nazajutrz na dłuższy czas wyjechać, uważał sobie za obowiązek dać znać o tem Wernerowi.

O oznaczonej godzinie Leon stanął znów w pałacu Staremburgów, i bez zameldowania — gdyż hrabia nikogo nie przyjmował — wszedł do jego pokoju. Po raz pierwszy stanął on przed tym, który mu tyle boleści i utrapienia przyczynił, który go o utratę ukochanej siostry przyprawił. Hrabia siedział w fotelu, wysoka jego imponująca postać była złamaną; kwitnąca zwykle cera przybrała barwę żółtawą, ogniste oko utkwione było nieruchomie w dużym obrazie, przedstawiającym zgasłą ukochaną. Nie spostrzegł zrazu wejścia obcego, aż po kilku chwilach odwróciwszy się, ujrzał nieproszonego gościa, i szorstko wyrzekł: — Czego chcecie, kim jesteście?.

— Nazywam się Leon Werner — odrzekł zapytany, zbliżywszy się — i przychodzę...

— Leon Werner — powtórzył hrabia, kładąc rękę na czole, jakby dla przypomnienia sobie — Leon Werner...

— Przynoszę pann hrabiemu ostatnie pozdrowienie mej zmarłej siostry....

Hrabia podskoczył — teraz dopiero przypomniawszy sobie, co mu doktor Wolter opowiedział, że Herminja nagląco żądała przybycia brata swego, i że ten ostatnie godziny przy niej przepędził. — Leon — bełkotał — Leon — ona pana tak kochała, tak często wymieniała imię pańskie — Leon, Leon, wybacz pan, że go tak nazywam....

Głęboko wzruszony szczerą boleścią hrabiego, Werner ujął dłoń mu podaną. Oko jego spoczywało na obrazie siostry, gdy hrabia z wzrastającym zajęciem spoglądał na brata. — To podobieństwo — szepnął — to straszne, cudowne podobieństwo!.. Tak,



to jej oczy, to jej piękne sklezione czoło, to jej... Głos mu odmówił, w porywie namiętności pociągnął młodego człowieka do piersi swojej, a potok łez z oczu mu się puścił.

— Panie hrabio! — odezwał się do głębi wzruszony Leon, gdy łkania hrabiego ustały.

— Nie tak, nie tak — przerwał Artur — jesteś pan jej bratem — nie mogę ze strony pana znieść tej obcej nazwy.... Powinienbym być zły na pana — ciągnął po kilku chwilach — odrzucałeś szorstko wszelkie z naszej strony kroki zbliżenia, zimnym pozostałeś na wszelkie prośby i błagania swej siostry. Lecz ona pana tak kochała, że czuję to mocno, jaką ulgę obecność pańska musiała jej w ostatnich godzinach sprawić. Uważaj mię wiecznie jako swego dłużnika. A teraz... opowiedz mi pan o niej. Spoglądałeś pan później w jej anielskie oblicze — uściskałeś później odemnie jej lubą, lubą rękę. O, a ja musiałem być w oddaleniu!

Zakrył twarz dłońmi i jęknął boleśnie.

— Herminja prosiła mię — odrzekł Werner głosem drżącym od wzruszenia — bym panu ostatnie jej oddał pozdrowienie i dzięki za miłość, którą ją uszczęśliwiłaś, i którą do ostatniego swego technienia dla pana zachowała....

— Dziękuję panu — odrzekł hrabia westchnąwszy — dziękuję. Czy dała panu jeszcze jakie zlecenie do mnie? — dodał po chwili.

— Tak jest — odparł Leon z wahaniem, i to prośbę....

— Prośbę? O, prędzej, mów pan!

— Wielka to, wielka prośba....

— Tym lepiej, tym skorzej ją spełnić. Ale czemu się pan wahasz? Mów pan, proszę!

— Panie hrabio — rzekł Leon po chwili namysłu — siostra moja była urodzoną izraelitką.

— Wiem o tem, wiem, i cóż?

— Umierając, prosiła mię, abym panu powiedział, iż pomimo całej ezi, jaką żywiła dla wiary, na którą przeszła, nigdy izraelitką być nie przestała i taką umarła...

— Żydówka, czy chrześcijanka — odparł hrabia — była ona najwspanialszem, najszlachetniejszem stworzeniem — ale prośba pańska... prośba?...

— Oto, Herminja prosi pana, zaklina, by jej dziecko w jej rodowej wierze było wychowane, byś mnie je powierzył.

Stłumiony okrzyk wyrwał się z piersi hrabiego, cofnął się, jakby go żądło jakie ukłuło. Tak chętnie spełniłby ostatnią prośbę ukochanej — lecz to było niemożliwem...

— Niepodobna, — szepnął — niepodobna...

— To ostatnia prośba tej, która miłości pańskiej życie swoje, spokój duszy swojej poświęciła...

— Komuż to pan mówisz? — zawołał hrabia — po co zwiększasz męczarnie mej duszy?... O, Herminjo, czemuż mi to uczyniła? — życzeniu twojemu mam odmówić — lecz nie mogę je spełnić, niepodobna!.. Czyż nie ma wyjścia żadnego, powiedz, Leonie, powiedz!

— Nie znam żadnego!

— Syn mój jest moim spadkobiercą, jedyną i ostatnią odrosłą mojego szczepu... Powiedz pan, czy nie jest to żądać wymarcia rodu Staremburgów?... Gdybyś pan wiedział, ile mię kosztuje odmówić ostatniej jej prośbie!..

— Powiedziałem to już mojej siostrze, że byłoby to za wiele od pana żądać; ona jednakże zobowiązała mię, bym nie zrażając się odmową, prośbę moją wciąż wznawiał. Daruj więc pan...

I przy tych słowach podniósł się w zamiarze pożegnania hrabiego. Ten jednak dał mu ręką znak zatrzymania się i po sporej chwili przechadzania się

po pokoju, w widocznej walce z samym z sobą, przystąpił do Leona, ujął go za rękę i rzekł:

— Chodź pan, pójdziemy do dziecka twojej siostry.... Duch zgasłej jego matki natechnie nas przy niem szczęśliwszą może myślą....

Wszyscy domownicy byli zdumieni, stary Józef pełen radości, gdy hrabia Staremburg w towarzystwie Wenera po raz pierwszy wszedł do pokoju swego dziecięcia.

— Bogu dzięki — szepnął wierny sługa — lody pekły.

W spokojnem śnie leżało niemowlę w swej kołysce. Chwiejnym krokiem, na ramieniu towarzysza swego oparty, zbliżał się ojciec. Piastunka chciała dziecko unieść, hrabia wzbronił, skinąwszy zarazem, by wyszła. Po długim, bolesnem patrzeniu na niewinne dziecko, odezwał się głosem drżącym od wzruszenia, ale podniosłym, uroczystym, jakby w natchnieniu:

— Leonie, bracie mój, dla umarłej naszej drogiej Herminji chciałbym wszystko uczynić; gdyby mego własnego życia zażądała, nie wahałbym się je oddać. Lecz to, czego ty w jej imieniu żądasz — to ofiara, nie z mego życia, ale z najświętszych mych przekonań, z przeświadczenia mej duszy, z prawdy, z wzniosłych celów ludzkości. Lubo wychowany w ścisłych zasadach konfesyjnych, odkąd jednak samodzielnie myśleć począłem, zienawidziłem w duszy wszelką konfesyjność, a umiłowalem za to tym goręcej ludzkosć, a ideałem moim stało się zjednoczenie rozszczępionych rodzin ludzkich pod godłem jedynej prawdziwie ludzkiej wiary w duchowy pierwiastek świata, równości i zgody braterskiej wszystkich. Mająż wiecznie nas dwoić wiekowe przesady i zabobony? Maż każdy z nas wiecznie i zacięcie trzymać się odziedziczonych po mrocznych czasach wierzeń, i jedynie swoje za prawdziwe głosząc, w wiecznem odgraniczeniu pozostawać od innych? Dokąd na tej drodze ludzkosć

zajdzie? Małoż jeszcze krwi to nieszczęsne rozdwojenie kosztowało, małoż klęsk na ród ludzki sprowadziło?... Nie, czas jest wielki, aby lepsi, oświeceni wszystkich wyznań i narodowości podali sobie ręce, by sprowadzić nową erę, erę jedności w wierzeniu, w pojęciach, w pracy koło powszechnego dobra.... Wy, wy izraelici, chwalcie się, że nigdy nie robiliście propagandy waszej religji, że nie staracie się o prozelitów. Czemuż chcesz teraz niewinnie zrodzoną istotę pod jarzmo konfesjonalizmu podciągnąć? Dozwól, by syn twojej siostry, która była izraelitką, i potomek rodu Staremburgów, którzy są chrześcijanami, wychował się w zasadach czysto ludzkiej religji, wolnej od wszelkiego separatyzmu obrządkowego. Niechaj się stanie człowiekiem jasno myślącym, moralnym, uczciwym i dobrym, ale niechaj będzie wolny od więzów jakichbądź dogmatyczno-obrzędowych. Nazwij go później izraelitą, bo wasza religja bliższą jest tego ideału człowieczeństwa, niż wszelka inna, — ale niechaj żyje po za obrębem przepisów i urzędzeń, jakie wasza tradycja potworzyła niby mur koło siebie dla odgraniczenia od innych. Oto ustępstwo, jakie chcę i mogę uczynić dla ostatniej prośby mej ukochanej towarzyszki, której duch z jasnych sfer prawdziwego poznania nie może obecnie mojego poglądu nie podzielać. Niech syn mój, dziecię izraelitki i chrześcijanina, stanie się pierwszym ogniwem łączącym smutną przeszłość z lepszą przyszłością, niechaj on będzie zakładem tej tyle upragnionej ery, kiedy chrześcijan i żydów więcej nie będzie, a będą ludzie zjednoczeni prawdą, miłością i sprawiedliwością!...

Przyrzecz mi, Leonie, w obec tego niewinnego niemowlęcia, które nie wie jeszcze nic o rozdziałach dwójzących ród jego, że go tak będziesz wychowywał, że nie będziesz się starał wpajać w jego duszę zasady jakiegś konfesyjnego, obrzędowego, ale prawdziwą religijność, wiarę i miłość dla ludzi, dla wszystkiego co dobre i szla-

chetne, a będziesz wychowawcą mego dziecka, a twojej pieczy powierzę go, aż do wieku, kiedy sam będzie mógł kroczyć torem życia....

Leon z wzrastającym zajęciem i wzruszeniem słuchał mowy pełnej zapału i natchnienia swego szwagra. I ten ogień przekonania, i ten żar wymowy płynącej z duszy jasno-widzącej, jasno-czującej, porwał go, bezwiednie wniknął w jego duszę, i jakby nagłym błyskiem nieznanego światła rozświetliło jej wnętrze...

Kilka chwil stał w głębokiej zadumie, pierzchył przez ten czas z jego umysłu mroki, jakie pleniły się tam od najpierwszych jego lat dziecińczych.... Odrodził się....

Wreszcie, rozrzuwiony, z okiem jaśniejącym myślą, podał hrabiemu rękę.

— Przyrzekam spełnić twe życzenie — na synu odplacę dług, jaki w tej chwili względem ojca zaciągnąłem. Wychowam syna twego na człowieka, a stawszy się nim, najlepiej może urzeczywistni ideał, jaki moja wiara rodowa, Judaizm dobrze pojęty, stawia....

Nie wiele już nam pozostaje do opowiedzenia z życia i przygód *nawróconych*.

Było to we dwa dni po wyż opisaney scenie u hrabiego v. Staremborg. Leon Werner od dni kilku już nie był u starego Mühlhejma; nie widział ubóstwianej swej Heleny, którą za przyszłą towarzyszkę życia uważał, i której ręka przez starego opiekuna została mu już przyrzeczoną. Leon rozstał się był ostatnio z Mühlhejmem po gorącej sprzeczce w kwestji jakiejś religijnej, w której młodzian nasz, jak zwykle, okazywał nieugiętość zasad prawowiernych. Obecna przystem narzeczona mało zwracała uwagi na przedmiot sporu, za to z tem większem zadowoleniem i uwielbieniem spoglądała na broniącego swej sprawy oblubieńca,

podziwiała jego moc duszy, stałość w przekonaniach, niepokonaną energję w ich bronieniu. Nieobecność jego potem przez dni kilka niepokoiła ją i smuciła. Miałaby ów spór z jej opiekunem zniechęcić go do tego stopnia, że unikać postanowił jego domu, że... nie śmiała dokończyć, nie śmiała obwinić wybrańca swego serca o odwrócenie się od niej, z niechęci ku jej opiekunowi — choć bolesna myśl ta ją trapiła.

— Obrzydł mi już w gruncie ten świętoszek — mówił do siebie stary Mühlheim, siedząc w swym gabinecie zajęty myślami. Ta sztywna, nieugięta ortodoksja w młodym człowieku, zkadinał przyzwoitym i dobrze wychowanym, gorszy i oburza... Nie, on nie będzie mężem mojej gołębiczy — za fanatyka jej nie wydam. Nie po to wychowałem dziewczynkę milionowej fortuny, by ją wreszcie oddać szalonemu zafociańcowi... Postarajmy się pozbyć nieznosnego konkurenta, i własną jego odstręczyć go bronią — dodał po chwili, uśmiechnawszy się złośliwie, gdy myśl pewna błysła mu w głowie — odechce mu się już córka barona v. Mosbach i aktorki Antonji S...

Wreszcie zjawił się ten, którego nieobecność tak sprzeczne budziła uczucia w wychowawcy i opiekunie. Leon przyszedł tegoż dnia, ku nietajonej radości oblubienicy, ku skrytemu nieukontentowaniu opiekuna. Przybył, a dziwna jakaś radość, dziwny wyraz szczęścia promieniał z jego oblicza. Ucałował rękę narzeczonej, i przywitawszy uprzejmie gospodarza, przeproszał z powodu paru dni niebytności, które, jak rzekł, familijnym sprawom musiał poświęcić. Mühlheim czynił niby wyrzuty, że ten, którego już za syna uważa, zaniedbuje go, udawał radość z jego przybycia, ale w słowach jego przebijał się pewien odcień ironji i niechęci. Po wspólnej jak zwykle gawędzie, Mühlheim poprosił gościa na kilka chwil do swego gabinetu.

— Panie Werner! — rzekł mu — przyrzekłem panu rękę mej drogiej wychowawicy; lecz gdy poznałem pana za człowieka niezmiennych zasad prawowiernych, co wielce w nim szanuję, choć sam na innem stoję stanowisku, czuję obowiązek sumienia odkryć mu wszystko, co się tyczy rodu jego przyszłej towarzyski, i coby na ostateczne jego postanowienie oddziałać mogło....

Zatrzymał się przez chwilę, spoglądając badawczo na młodzieńca. Ten, osłupiały i przestraszony tą stanowczą przemową, milczał również, wreszcie odezwał się:

— Proszę, panie radco, proszę, gotów jestem słuchać....

— Oto — zaczął Mühlheim — ojciec drogiej mojej Heleny, baron Karol v. Mosbach, był żydem, ale nie ortodoksa, raczej tem, co to zwykle nazywają *mauvais sujet*. Niezmiernie bogaty, oddawał się tylko swym passjom. W dawnych latach, gdy był młodszym, zmieniał swe metresy co parę miesięcy, później jednak pozostał stale przy jednej. Trzy czy cztery lata Antonja Rossa, była artystka dramatyczna, żyła przy jego boku, używając wszelkich praw żony, nie mogąc jednak go nakłonić, by ją zaślubił. Aż oto baron nagle zapadł na czarną ospę, i to tak niebezpiecznie, że wszelki ratunek okazał się daremnym. Antonja była w rozpacz; gdy baron umrze nie poślubiwszy jej, pozostanie żebraczką. Nie zważając więc na przestrogi lekarzy, nie odstępowała ani na minutę łóżka chorego, aż wypatrzyła chwilę, kiedy odzyskał przytomność, wtedy zdołała go nakłonić do połączenia się z nią. Na pół-godziny przed jego śmiercią kaznodzieja izraelski dr. Hahn udzielił im ślub. W kilka dni później ujrzała światło dzienne — baronówna v. Mosbach, moja najdroższa Helena....

Leon słuchał z nateżoną uwagą; gdy Mühlheim skończył, zapytał:

— I cóż dalej, panie radco?

— Dalej, nie powinienem przed panem, jako przed prawowiernym izraelitą, zataić, że matka pańskiej narzeczonej była chrześcijanką, że lubo biorąc ślub z umierającym izraelitą, czyniła to jako nawrócona, nawrócenie to jednak nie było żadnym przepisany aktem religijnym dopełnione. Kaznodzieja dr. Hahn, bacząc na nagłość położenia, dał się nakłonić prośbom i naleganiom Antonji, do przyjęcia jej prostego oświadczenia za dostateczne, i do udzielenia im ślubu wedle żydowskiego rytuału.... Oto, o czym za obowiązek sumienia sobie uważałem pana uprzedzić.— Ta, którą masz poślubić, jest córką żyda, co żył nie wedle przepisów swej wiary, i chrześcijanki, która nie w myśl tradycyjnych przepisów wiarę tę przyjęła....

Mühlheim zamilkł, patrząc z tryumfującym zadowoleniem na zatopionego w myślach młodzieńca.

Przez kilka chwil panowało milczenie. Wreszcie Leon podniósł się i rzekł:

— Dziękuję panu, panie Mühlheim, za objaśnienia mi dane; dziękuję za troskliwość, ale muszę panu wzajem ze swojej strony oznajmić, że dziś mylisz się pan co do mego sposobu myślenia, — nie widzisz pan więcej przed sobą, jak przed kilku dniami, zaciętego ortodokse, coby wszystko gotów był poświęcić dla zachowania joty ze swej tradycji, ale człowieka jaśniej patrzącego na obowiązki, jakie religja, ludzkość i cywilizacja nań wkłada.... Na trzy dni wstecz odrzuciłbym, na wiadomość mi przez pana udzieloną, najdroższe skarby świata, zabiłbym w sobie najgorętsze miłości uczucie — dziś jestem innym, przy kolebce nowonarodzonego człowieka, którego dla ludzkości, w imię zjednoczenia rodu ludzkiego, mam być wychowawcą — samem się odrodziłem.... Czy ojciec mej Heleny żył pobożnie, czy nie — czy matka jej była chrześcijanką, czy żydówką — rzeczą to było ich su-



mienia, za winę tę sami odpowiedzą przed wiekuią, sprawiedliwością — na córce ich wina ta w niczem nie ciąży.... Wychowałeś ją pan w zasadach prawdziwej religijności, starałeś się pan wpoić w jej czystą duszę zamiłowanie do wszystkiego co dobre i szlachetne, a siew ten wspaniały przyniósł owoc — to dla mnie więcej niż dostateczne. Helena v. Mosbach, córka złego żyda i nienawróconej chrześcjaniki, jest dla mnie, z cnót swoich i przymiotów swej duszy, najlepszą izraelitką, taką, jakiebym wszystkie córki mego plemienia widzieć pragnął... Dozwól pan, by stała się towarzyszką mą dozonną; by jeśli Bóg związek nas błogosławi, w cnotach tych czysto ludzkich wychowywała własne swoje dzieci i syna, również jak ona, mieszanego małżeństwa, chrześcjanina i żydówki, to jest hrabiego v. Staremborg i mej zmarłej siostry, którego ojciec mojemu powierzył wychowaniu....

Stary Mühlheim słuchał tej mowy młodzieńca z wzrastającym coraz zdziwieniem — takiej zmiany nigdyby w nim nie przypuszczał, a gdy Leon skończył, starzec z uśmiechem radosnego zadowolenia ujął dłoń jego, serdecznie ją uściskał i rzekł:

— Chodź, synu mój, choć, niechże cię przedstawię twej przyszłej takim, jakim teraz jesteś, innym, odrodzonym, jeśli nie sercem, które zawsze było dobre i zacne — to umysłem, to sposobem myślenia....

---

W miesiąc później odbyły się wspaniałe gody weselne Leona Werner z Heleną v. Mosbach.

Dom ich należy dziś w stolicy do najbardziej postępowych, najzacniejszych i najdobroczynniejszych razem. Pod okiem przybranych rodziców wychowuje się starannie, w miłości ku Bogu i ludziom, odrośł starego szlchetnego rodu Staremburgów i córę starożytniejszego jeszcze szczepu abrahamowego.

KONIEC.



INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
60-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63



F

22.710